

AGATHA CHRISTIE

4.50 Z PADDINGTON

TLUMACZYŁ TOMASZ CIOSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: 4.50 FROM PADDINGTON

AGATHA CHRISTIE

4.50 Z PADDINGTON

**TŁUMACZYŁ TOMASZ CIOSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU: 4.50 FROM PADDINGTON**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pani McGillicuddy dysząc podążała wzdłuż peronu w ślad za bagażowym niosącym jej walizkę. Pani McGillicuddy była niska i pękata, a bagażowy wysoki i długonogi. W dodatku pani McGillicuddy zmagala się z utrzymaniem wielkiej ilości paczek - efektem całego dnia zakupów świątecznych. Wyścig był więc nierówny i bagażowy skręcał już za róg przy końcu peronu, kiedy pani McGillicuddy znajdowała się wciąż jeszcze na prostej.

Pierwszy peron londyńskiego dworca Paddington nie był w tym momencie zbyt zatłoczony, gdyż jakiś pociąg właśnie odjechał, ale pozostała po nim pustkę szybko wypełnił kłębiący się tłum, który pędził we wszystkich kierunkach naraz, do tablic świetlnych, z przejść podziemnych, biur rzeczy znalezionych, kawiarni, punktów informacyjnych, ukazując się i ginąc w dwóch, połączeniach ze światem zewnętrznym, oznaczonych: "Przyjazdy" i "Odjazdy".

Pani McGillicuddy, poszturchiwana ze wszystkich stron, dotarła w końcu ze swoimi paczkami do wejścia na trzeci peron i oparłszy jedną z paczek o nogę, przeglądała torbę w poszukiwaniu biletu, który pozwoliłby jej przejść obok groźnego kolejarza, stojącego u wejściowej bramki na peron.

W tym momencie rozległ się nad jej głową chrypliwy, choć wyszkolony głos:

- O 4.50 z peronu trzeciego odjedzie pociąg do Brackhampton, Milchester, Waverton, Carvil Junction, Roxeter i Chadmouth. Pasażerowie udający się do Brackhampton i Milchester proszeni są o zajęcie miejsc w wagonach końcowych. Pasażerowie do Vanequay przesiadają się w Roxeter.

Głos wyłączył się z trzaskiem, a następnie odezwał się ponownie, zapowiadając wjazd pociągu z Birmingham i Wolverhampton na peron dziewiąty o 4.35.

Pani McGillicuddy odnalazła bilet, kolejarz skasował go i wymruczał: - Po prawej, tylna część.

Pani McGillicuddy podreptała wzdłuż peronu w podanym kierunku i przed drzwiami wagonu trzeciej klasy odnalazła swojego bagażowego, który, znudzony, gapił się przed siebie.

- Bardzo proszę.

- Podróżuję pierwszą klasą. - oznajmiła pani McGillicuddy.

- Nie powiedziała pani tego - sarknął bagażowy.

Jego wzrok prześliznął się lekceważąco po jej tweedowym płaszczu w czarno-białą jodełkę.

Pani McGillicuddy, która dokładnie pamiętała, że mówiła o pierwszej klasie, nie miała ochoty spierać się. Była zupełnie bez tchu.

Bagażowy podniósł walizkę, pomaszerował z nią do najbliższego wagonu i ulokował panią McGillicuddy w pustym przedziale, w kojącej samotności. Pociąg o 4.50 nie był nigdy przepełniony; podróżujący pierwszą klasą wybierali szybszy poranny ekspres lub ten o 6.40 z wagonem restauracyjnym. Pani McGillicuddy wręczyła bagażowemu napiwek, przyjęty z wyraźnym rozczarowaniem. Pasował bardziej do pasażera klasy trzeciej niż pierwszej. Pani McGillicuddy, choć przygotowana na wydatek związany z wygodną podróżą po nocnej jeździe z Północy i

całodziennych gorączkowych zakupach, nigdy nie była skłonna do rozdawania ekstrawaganckich napiwków.

Z westchnieniem usadowiła się na pluszowych poduszkach i otworzyła ilustrowany tygodnik. Pięć minut później rozległy się gwizdki i pociąg ruszył. Magazyn wysliznął jej się z rąk, głowa przechyliła na bok i nie minęły trzy minuty, kiedy pani McGillicuddy zasnęła. Spała trzydzieści pięć minut i obudziła się odświeżona. Usiadła prosto, poprawiła przekrzywiony kapelusz i popatrzyła przez okno na niewyraźne kontury umykającego w tył krajobrazu. Było zupełnie ciemno; ponure, mgliste grudniowe popołudnie. Boże Narodzenie już za pięć dni. Londyn był szary i smutny, reszta kraju również, tylko czasami rozjaśniana wstęgami świateł, gdy pociąg pędził przez miasteczka i dworce.

- Podajemy herbatę - powiedział steward, pojawiając się nagle jak dzimn w uchylonych drzwiach na korytarz. Pani McGillicuddy zaspokoili pragnienie herbatą w barze dużego domu towarowego i nie miała już ochoty na następną. Steward poszedł dalej wzdłuż korytarza, powtarzając monotonnie swą propozycję. Pani McGillicuddy z zadowoleniem spojrzała na półkę, gdzie spoczywały jej pakunki. Ręczniki do twarzy były znakomitej jakości i dokładnie takie, jakich pragnęła Margaret; pistolet kosmiczny dla Robbiego i króliczek dla Jean nader udane, wieczorowy płaszcz był tą właśnie rzeczą, której sama potrzebowała - ciepły, a zarazem wytworny. A pulower dla Hektora... z przyjemnością rozmyślała o prezentach.

Zadowolona, powróciła wzrokiem do okna, w momencie, kiedy pociąg z przeciwka przemknął z nagłym wizgiem, sprawiając, że szyby zadrżały, a pasażerka aż wzdrygnęła się. Jej pociąg zastukotał na rozjeździe i minął jakąś stację. Wówczas począł nagle zwalniać, zapewne posłuszny sygnałom semafora. Przez kilka minut pełził powoli, zatrzymał się i wreszcie ruszył. Następny skład, jadący, jak poprzedni, do Londynu, minął ich, choć nie tak gwałtownie. Pociąg znowu przyspieszał. W tym momencie inny, jadący sąsiednim torem także na południe, w kierunku Brackhampton, zrównał się z nim. Przez pewien czas oba pociągi jechały obok siebie, raz jeden trochę wysuwał się do przodu, raz drugi. Pani McGillicuddy zaglądała w okna jadących obok wagonów. W większości przedziałów rolety były opuszczone, w niektórych mogła dostrzec pasażerów. Ten drugi pociąg też nie był zbyt pełny, i miał wiele przedziałów pustych.

W chwili, kiedy oba pociągi sprawiały wrażenie, jakby stały w miejscu, zasłona w jednym z okien nagle zrolowała się w górę. Pani McGillicuddy ujrzała oświetlony przedział pierwszej klasy, oddalony tylko o kilka stóp. Gwałtownie wstała i wciągnęła powietrze.

Tylem do okna, a tym samym do niej, stał mężczyzna. Jego dłonie zaciskały się na szyi kobiety zwróconej twarzą ku niemu i powoli, bezlitośnie ją dusiły. Oczy ofiary były wytrzeszczone, a twarz purpurowa i przekrwiona. Pani McGillicuddy patrzyła ze zgrozą, kiedy nadszedł koniec: ciało zwiotczało i zwisło w rękach mężczyzny.

W tej samej chwili pociąg pani McGillicuddy znowu zwolnił, a ten na sąsiednim torze ją przyspieszać, wysunął się do przodu i chwilę później zniknął z oczu.

Niemal automatycznie ręka pani McGillicuddy powędrowała do rączki hamulca bezpieczeństwa i zawisła w niezdecydowaniu. W końcu jaki sens miało zatrzymywanie pociągu, którym podróżowała? Groza tego, co ujrzała tak blisko siebie i niezwykłość sytuacji sprawiły, że czuła się jak sparaliżowana. Koniecznie coś trzeba było natychmiast zrobić - ale co?

Konduktor odsunął drzwi jej przedziału.

- Bilet proszę.

Pani McGillicuddy zwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Uduszono kobietę - powiedziała. - W pociągu, który właśnie nas minął. Widziałam to.

Konduktor spojrzał na nią z powątpiewaniem:

- Słucham panią?

- Jakiś mężczyzna udusił kobietę! W pociągu. Widziałam - wskazała na okno.

Konduktor wyglądał na nieprzekonanego.

- Udusił? - rzekł z niedowierzaniem.

- Tak, udusił! Widziałam to, mówię panu. Musi pan coś natychmiast zrobić!

Konduktor chrząknął przepraszająco.

- Czy nie sądzi pani, że zdrzemnęła się trochę i... hm... - przerwał taktownie.

- Owszem, zdrzemnęłam się, ale jeżeli pan sądzi, że to był sen, to jest pan w całkowitym błędzie.

Widziałam to, zapewniam pana.

Wzrok konduktora padł na magazyn leżący na siedzeniu, otwarty na ilustracji przedstawiającej mężczyznę duszącego dziewczynę i jednocześnie grożącego rewolwerem parze stojącej w drzwiach.

Spróbował więc ponownie perswazji:

- Czy nie sądzi pani jednak, że czytała pani jakieś ekscytujące opowiadanie, zdrzemnęła się na chwilę i, budząc się, uległa wrażeniu...

Pani McGillicuddy przerwała mu.

- Widziałam to. Byłam równie przytomna, jak pan. Spojrzałam w okno jadącego obok pociągu w chwili, kiedy jakiś mężczyzna dusił tam kobietę. A teraz chciałabym się dowiedzieć, co pan ma zamiar z tym uczynić?

- Cóż... Proszę pani...

- Przypuszczam, że coś ma pan zamiar zrobić?

Konduktor westchnął z niechęcią i zerknął na zegarek.

- Będziemy w Brackhampton dokładnie za siedem minut. Złożę raport o tym, co mi pani powiedziała. W jakim kierunku jechał tamten pociąg?

- W tym samym co nasz, rzecz jasna. Nie sądzi pan chyba, że byłabym w stanie zobaczyć to wszystko, gdyby pociąg przemknął, jadąc z przeciwnika?

Konduktor sprawiał wrażenie, jakby wierzył, że pani McGillicuddy była zdolna widzieć wszystko i wszędzie, gdziekolwiek tylko zawiodła ją wyobraźnia. Pozostał jednak uprzejmy.

- Może pani na mnie polegać - rzekł. - Przekażę pani oświadczenie. Czy mógłbym prosić o pani nazwisko i adres, tak na wszelki wypadek...

Zapisał adres, pod którym pani McGillicuddy, miała pozostawać przez kilka dni oraz jej adres domowy w Szkocji, po czym wycofał się z poczuciem, że spełnił swój obowiązek i skutecznie dał sobie radę z uciążliwą reprezentantką podróżującej części społeczeństwa.

Pani McGillicuddy pozostała ze zmarszczonymi brwiami i nieokreślonym poczuciem niezadowolenia. Czy konduktor złoży raport o jej oświadczeniu? A może tylko ją uspokajał? Przeczowała niejasno, że było wiele starszych pań podróżujących tu i ówdzie, całkowicie przekonanych, że zdemaskowały komunistyczny spis, lub że grożono im śmiercią, lub że widziały latające talerze i tajemnicze statki kosmiczne, a także donoszących o morderstwach, które nigdy nie zostały popełnione. Jeśli ten człowiek potraktował ją jako jedną z nich...

Pociąg zwalniał teraz, stukając na rozjazdach pośród jasnych świateł dużego miasta.

Pani McGillicuddy otworzyła torebkę i wyciągnęła jakiś stary rachunek - jedyną rzecz, jaką

zdołała znaleźć; szybko napisała kilka słów na jego odwrocie i włożyła do koperty, którą szczęśliwym trafem miała przy sobie, zakleiła ją i coś na niej napisała.

Pociąg wolno wjechał na zatłoczony peron. Taki sam, jak zwykle, głos zaintonował:

- Na peron pierwszy wjeżdża pociąg o 5.38 do Milchester, Waverton, Roxeter i do Chadmouth.

Pasażerowie przesiadający się na pociąg do Market Basing proszeni są o przejście na peron trzeci. Na torze trzecim stoi pociąg osobowy do Carbury.

Pani McGillicuddy spojrzała niecierpliwie wzdłuż peronu. Tylu podróżnych, a tak mało bagażowych. O, tam był jeden! Zatrzymała go zdecydowanie.

- Bagażowy! Proszę to zanieść do zawiadowcy stacji. - Wręczyła mu kopertę wraz z jednoszylingówką. Następnie westchnęła i usadowiła się wygodnie. Cóż, zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Przez chwilę pożałowała szylingówki... Sześciopensówka doprawdy by wystarczyła...

Powróciła myślą do sceny, której była świadkiem. Przerazające, zupełnie przerazające... Była kobietą o mocnych nerwach, mimo to zadrzała. Cóż za dziwny, cóż za nieprawdopodobny przypadek i że też przydarzył się właśnie jej, Elspeth McGillicuddy! Gdyby roleta w przedziale nie odskoczyła niespodzianie w górę... Ale w tym, rzecz jasna, była ręka Opatrzności. To Opatrzność sprawiła, że ona, Elspeth McGillicuddy, została świadkiem przestępstwa. Zacisnęła usta ze zdecydowaniem.

Na peronie coś wykrzykiwano, gwizdki świstały, zatraskiwano drzwi. 5.38 odjeżdżał powoli z dworca w Brockhampton. Godzinę i pięć minut później zatrzymał się w Milchester.

Pani McGillicuddy zebrała swoje paczki, chwyciła walizkę i wysiadła. Wyteżając wzrok na obie strony peronu, powierzyła po raz kolejny swoją opinię: za mało bagażowych. Ci w zasięgu wzroku wydawali się zajęci workami pocztowymi i wózkami towarowymi. Zdawało się, że od pasażerów w dzisiejszych czasach oczekiwano, by sami nosili swoje torby. Cóż, nie była w stanie dźwigać walizki, parasolki i wszystkich paczek. Musiała czekać. Po pewnym czasie udało jej się zdobyć bagażowego.

- Taksówka?

- Sądzę, że ktoś powinien na mnie czekać.

Przed dworcem podszedł do nich taksówkarz obserwujący wyjście. - Czy pani McGillicuddy? Do St Mary Mead? - zapytał miękko, lokalnym dialektem.

Pani McGillicuddy potwierdziła.. Bagażowego wynagrodziła odpowiednio, jeśli nie hojnie. Samochód z panią McGillicuddy, jej walizką i paczkami odjechał w dziewięćmiłową drogę pośród nocy. Siedząc sztywno wyprostowana, pani McGillicuddy nie była w stanie się odprężyć. Jej uczucia musiały znaleźć ujście. W końcu taksówka przejechała wzdłuż znajomej wiejskiej ulicy i dotarła do miejsca przeznaczenia. Pani McGillicuddy wysiadła i po ceglanej ścieżce podeszła do drzwi. Otworzyła je niemłoda pokojówka, kierowca złożył bagaże w hallu. Pani McGillicuddy poszła prosto ku otwartym drzwiom salonu, gdzie oczekiwała ją pani domu - delikatna, sędziwa dama.

- Elspeth!

- Jane!

Ucałowały się i pani McGillicuddy, bez żadnego wstępu czy wprowadzenia, wybuchła słowami:

- Och, Jane! - poskarżyła się. - Widziałam morderstwo!

ROZDZIAŁ DRUGI

I

Zgodnie z wpojona jej przez matkę i babkę zasadą, że prawdziwej damy nigdy nic nie jest w stanie zaszokować ani zaskoczyć, panna Marple uniosła tylko lekko brwi i pokiwała głową, mówiąc:

- Jakież to dla ciebie przykre, Elspeth i, doprawdy, niezwykle. Sądzę, że zrobiłabyś najlepiej opowiadając mi o tym od razu.

Pani McGillicuddy nie pragnęła niczego bardziej. Pozwoliwszy swej gospodyni przyprowadzić się bliżej kominka, usiadła, ściągnęła rękawiczki i z ożywieniem zaczęła swoją opowieść.

Panna Marple słuchała z wielką uwagą. Kiedy pani McGillicuddy zatrzymała się na chwilę dla zaczerpnięcia tchu, panna Marple przemówiła zdecydowanie:

- Najlepiej będzie, kochanie, jeśli pójdziesz teraz na górę, zdejmiesz kapelusz i weźmiesz kąpiel. Później zjemy kolację, i podczas niej nie będziemy o tym rozmawiały. Potem możemy dokładnie omówić sprawę i rozważyć wszystkie jej aspekty.

Pani McGillicuddy zgodziła się skwapliwie. Obie damy zjadły kolację, gawędząc o rozmaitych stronach wiejskiego życia w St Mary Mead. Panna Marple opowiadała o powszechnej nieufności do nowego organisty, zrelacjonowała najnowszy skandal z żoną aptekarza i wspomniała o zatargu pomiędzy kierowniczką szkoły a radą wiejską. Następnie obie panie rozmawiały o swoich ogrodach.

- Peonie - powiedziała panna Marple wstając od stołu - są najbardziej kapryśne. Albo się udają, albo nie. Ale jeśli już się przyjmą, to, że tak powiem, do końca życia, a teraz mamy naprawdę najpiękniejsze odmiany.

Ponownie usadowiły się przy kominku, a panna Marple wyjęła z narożnego kredensu butelkę i dwa bardzo stare kieliszki z waterfordzkiego szkła.

- Dla ciebie, Elspeth, żadnej kawy dziś wieczorem - powiedziała. - Już jesteś nazbyt podekscytowana, zresztą nic dziwnego! I tak na pewno nie będziesz mogła zasnąć. Przepisuję ci kieliszek mojego domowego wina, a potem, być może, filiżankę herbaty rumiankowej.

Pani McGillicuddy poddała się chętnie tym zaleceniom, a panna Marple nalała wina.

- Jane - powiedziała pani McGillicuddy, pociągając ze smakiem łyk wina - ty chyba nie sądzisz, że mi się to wszystko przyśniło, ani że sobie to wymyśliłam?

- Oczywiście, że nie - odparła ciepło panna Marple.

Pani McGillicuddy westchnęła z ulgą:

- Tamten konduktor tak właśnie myślał. Był dosyć uprzejmy, ale jednak...

- Sądzę, Elspeth, że to zupełnie naturalne, zważywszy na okoliczności. Brzmiało to niczym zmyślona historyjka. A on ciebie przecież zupełnie nie znał. Nie, nie mam najmniejszych wątpliwości, że naprawdę widziałaś to wszystko, o czym mi opowiadałaś. To rzeczywiście niezwykle, ale całkiem prawdopodobne. Pamiętam, jak kiedyś sama patrzyłam z ciekawością w okna

jakiegoś pociągu, który zrównał się z moim, także zobaczyłam żywo i wyraźnie jeden czy dwa przedziały. Pamiętam, jak mała dziewczynka, bawiąca się pluszowym misiem, rzuca go nagle i z rozmysłem w grubego człowieka, śpiącego w kącie. Kiedy obudzony w ten sposób strasznie się oburzył, pozostali pasażerowie byli najwyraźniej ogromnie rozbawieni. Widziałam ich zupełnie wyraźnie. Mogłabym opisać dokładnie nawet dziś, jak wyglądali i co mieli na sobie.

Pani McGillicuddy przytaknęła z wdzięcznością.

- Właśnie tak samo było ze mną.

- Mężczyzna, jak mówisz, był zwrócony do ciebie tyłem. Nie widziałaś więc jego twarzy?

- Nie.

- A kobieta, czy ją możesz opisać? Młoda, stara?

- Raczej młoda. Mogła mieć trzydzieści, najwyżej trzydzieści pięć lat. Nie umiem o niej powiedzieć nic bliższego.

- Ładna?

- Tego też nie potrafię ocenić. Wiesz, jej twarz... zupełnie wykrzywiona i...

- Tak, tak, rozumiem doskonale - szybko przerwała panna Marple. - A jak była ubrana?

- Miała na sobie jakieś futro, raczej jasne. Była bez kapelusza, widziałam jej blond włosy.

- A nie zauważyłaś niczego szczególnego w tym mężczyźnie? Może coś zapamiętałaś?

Pani McGillicuddy zastanowiła się przez chwilę, nim odparła:

- Był dość wysoki, chyba brunet. Miał na sobie obszerny płaszcz, więc nie mogę dokładnie ocenić jego budowy. Obawiam się, że niczego więcej nie spostrzegłam - powiedziała z przygnębieniem.

- To już jest coś - pocieszyła przyjaciółkę panna Marple. - Ale czy ty jesteś rzeczywiście przekonana, że dziewczyna była... martwa? - zapytała po chwili.

- Była. Jestem tego pewna. Jeżyk jej wyszedł na' wierzch i... Wolalabym o tym nie mówić.

- Oczywiście. Oczywiście - powiedziała szybko panna Marple. - Sądzę, że rano dowiemy się więcej.

- Rano?

- Spodziewam się, że sprawa będzie w porannych gazetach. Ten mężczyzna miał niewątpliwie kłopot z ciałem zabitej. Co mógł zrobić? Pewnie wysiadł szybko z pociągu na najbliższej stacji. Przy okazji, może pamiętasz, czy ten wagon miał korytarz?

- Nie, nie miał*.

- W takim razie nie był to pociąg dalekobieżny. Prawie na pewno zatrzymywał się w Brackhampton. Powiedzmy, że wysiadł w Brackhampton, być może ułożywszy ciało w kącie i zasłoniwszy twarz ofiary kołnierzem futra, aby opóźnić odkrycie zbrodni. Tak, sądzą, że tak właśnie zrobił. Ale oczywiście wkrótce ją znajdą i spodziewam się, że wiadomość o zwłokach zamordowanej kobiety w pociągu prawie na pewno pojawi się w porannych gazetach. Zobaczymy.

II

Poranne gazety nie zamieściły jednak żadnej wzmianki na ten temat. Upewniwszy się o tym, obie damy w milczeniu dokończyły śniadania. Obydwie zastanawiały się.

Po śniadaniu odbyły rundkę po ogrodzie Ale temu, zwykle absorbującemu sposobowi spędzania czasu, oddały się tym razem bez przekonania. Chociaż panna Marple starała się zwrócić uwagę gościa na pewne nowe i rzadkie gatunki, jakie zdobyła do swego ogródka skalnego, czyniła to z pewnym roztargnieniem. A pani McGillicuddy tym razem nie występowała, jak to bywało w

zwyczaju, z listą swoich najnowszych nabytków.

- Ogród wygląda zupełnie nie tak, jak powinien - powiedziała wciąż roztargniona panna Marple.
- Doktor Haydock surowo zabronił mi jakiegokolwiek schylania się czy klęknięcia, a cóż można zrobić na grządkach nie klękając i nie schylając się? Oczywiście, jest stary Edwards, ale on jest zawsze taki przekonany o własnej słuszności. Pracuje na zlecenie u tak wielu ludzi naraz, że jest rozpuszczony: wszędzie częstowany filiżanką herbaty i właściwie objija się - żadnej prawdziwej pracy.

- Och tak, wiem - powiedziała pani McGillicuddy. - Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby mnie ktoś zabronił schylania się, ale doprawdy teraz, kiedy trochę przybyło mi na wadze - tu spojrzała na swoje obfite kształty - istotnie przyprawia mnie to o zgaę, szczególnie po posiłkach.

Zapadła cisza i po pewnym czasie pani McGillicuddy przystanęła i zwróciła się twarzą ku przyjaciółce.

- No i co? - zapytała.

Było to krótkie i niezbyt precyzyjne pytanie, ale nabrało wagi przez ton, jakim je wypowiedziano. Panna Marple doskonale zrozumiała. - Wiem - odparła. Obie panie spojrzały na siebie.

Sądzę - powiedziała panna Marple - że mogłybyśmy iść na posterunek i pomówić z sierżantem Cornishem. Jest inteligentny i cierpliwy, znamy się też bardzo dobrze. Myślę, że zechce nam poświęcić kwadrans, a potem przekaże sprawę właściwym służbom.

Po około trzech kwadransach panna Marple i pani McGillicuddy rozmawiały z poważnym mężczyzną około czterdziestki o czerstwej twarzy i bystrych, uważnie spoglądających oczach.

Frank Cornish przyjął pannę Marple serdecznie, choć z należnym respektem i podał obydwu damom krzesła.

- Czym mogę służyć? - zwrócił się do panny Marple.

- Bardzo bym chciała, żeby zgodził się pan wysłuchać tego, co moja przyjaciółka, pani McGillicuddy, ma panu do powiedzenia - odparła panna Marple.

Sierżant Cornish oczywiście się zgodził. W trakcie opowiadania uważnie przyglądał się pani McGillicuddy. Odniósł korzystne wrażenie: rozsądna kobieta, potrafiąca mówić przejrzyście i, jak mu się wydawało, nie obdarzona nadmiernie wybujałą fantazją, ani skłonnością do hysterii. Ponadto, panna Marple zdawała się wierzyć w historię swojej przyjaciółki, a sierżant Cornish ufał bez zastrzeżeń pannie Marple. Wszyscy w St Mary Mead znali tę damę - nieporadną i niezdecydowaną z pozoru, ale w rzeczywistości tak nieubłaganie przenikliwą, jak tylko to można sobie wyobrazić. Gdy pani McGillicuddy skończyła, policjant milczał jeszcze przez pewien czas.

- To naprawdę niezwykła historia - powiedział w końcu. Rzecz jasna - odchrząknął - wszystko mogło się pani wydawać. Nie twierdzę, proszę zauważyć, że tak było, lecz że mogło być. Jakaś wielka kłótnia, może nawet szarpanina, a w sumie nic poważnego ani, tym bardziej, zakończonego śmiercią.

- Dobrze wiem, co widziałam - powiedziała zdecydowanie pani McGillicuddy.

- I nie odstępisz od tego ani na krok. Rzekłbym jednak, prawdopodobne to, czy nie, że masz rację - pomyślał Cornish, a głośno dodał: - Opowiedziała to pani władzom kolejowym i przyszła do mnie złożyć zeznanie. To właściwy sposób postępowania i może pani polegać na moim słowie, że śledztwo w tej sprawie zostanie wszczęte.

Panna Marple z zadowoleniem i aprobatą pokiwała głową. Pani McGillicuddy nie była aż tak usatysfakcjonowana, ale nic nie powiedziała. Sierżant Cornish zwrócił się do panny Marple, ponieważ chciał usłyszeć jej opinię.

- Zakładając, że stan faktyczny jest taki, jak w zeznaniu, co, według pani, mogło stać się z ciałem?

- Zdaje się, że są tylko dwie możliwości - odparła panna Marple bez wahania. - Najbardziej prawdopodobna, rzecz jasna, jest ta, że ciało zostawiono w pociągu, ale trzeba ją wykluczyć, gdyż zostałyby znalezione już zeszłej nocy przez innego podróżnego albo przez pracowników kolei na stacji końcowej.

Frank Cornish przytaknął.

- Jediną możliwością, poza tą, jest więc wyrzucenie ciała na tory. Sądzę, że musi jeszcze gdzieś leżeć nie odkryte na trasie pociągu, choć wydaje się to raczej nieprawdopodobne. Ale, jak mi się zdaje, nie było innego sposobu, żeby się go pozbyć.

- Czyta się o zwłokach znalezionych w kufrach - powiedziała pani McGillicuddy - ale teraz nikt już nie podróżuje z kuframi, tylko z walizkami, a nie da się wsadzić ciała do walizki.

- Tak - powiedział Cornish. - Zgadzam się z obiema paniami. Ciało, jeżeli w ogóle istnieje, powinno być już odkryte, albo stanie się to wkrótce. Powiadomię panie o rozwoju sytuacji, chociaż myślę, że kobieta, choć brutalnie zaatakowana, przeżyła. Mogła wysiąść z pociągu o własnych siłach.

- Nie sądzą, że bez pomocy kogoś z zewnątrz - powiedziała panna Marple. - A skoro tak, to ktoś musiał zauważyć na przykład mężczyznę, na którym wspiera się kobieta wyglądająca na chorą.

- Tak, to na pewno zostałyby zauważone - potwierdził Cornish. - A jeśli tę kobietę znaleziono nieprzytomną w wagonie i przewieziono do szpitala, wtedy też o tym napiszą w gazecie. Może pani być pewna, że usłyszysz o tym wszystkim bardzo prędko.

Jednak minął dzień, a po nim drugi i dopiero wieczorem panna Marple otrzymała kartkę od sierżanta Cornisha: W związku ze sprawą, którą panie konsultowały ze mną, zostało wszczęte śledztwo, które jednak nie przyniosło żadnych rezultatów. Nie odnaleziono zwłok. Żaden szpital nie przyjął kobiety, jaką pani opisuje, jak również nie zaobserwowano żadnej chorej ani zszokowanej, która by wychodziła z dworca z pomocą mężczyzny. Może być pani pewna, że wszczęto bardzo drobiazgowe śledztwo. Moim zdaniem, przyjaciółka pani mogła być świadkiem opisanej przez nią sceny, lecz był to incydent znacznie mniej poważny, niż jej się wydawało.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

- Mniej poważny?! Nonsens! - wykrzyknęła pani McGillicuddy. - To było morderstwo!

Spojrzała wyzywająco na pannę Marple, która spokojnie zniosła jej spojrzenie.

- No, dalej, Jane! Powiedz, że zmyśliłam sobie całą tę historię! Przecież tak właśnie teraz myślisz, prawda?

- Każdy może się omylić - zauważyła łagodnie panna Marple. - Każdy, Elspeth, nawet ty. Sądzę, że musimy brać to pod uwagę. Ale wiesz, wciąż myślę, że najprawdopodobniej ty się nie omyliłaś... Nosisz okulary do czytania, ale na odległość twój wzrok jest bardzo dobry i to, co zobaczyłaś, zrobiło na tobie ogromne wrażenie. Kiedy tu przyjechałaś, byłaś z całą pewnością w stanie szoku.

- To było coś, czego nigdy nie zapomnę - powiedziała drżąc pani McGillicuddy. - Kłopot w tym, że nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić w tej sprawie.

- Nie sądę, żebyś ty mogła coś zrobić.

Gdyby pani McGillicuddy zwróciła w tym momencie uwagę na ton głosu swej przyjaciółki, zauważyłaby bardzo delikatny nacisk na słówku ty.

- Złożyłaś już zeznanie na kolei i na policji o tym, co widziałaś. Nie, nic więcej nie możesz zrobić.

- To w pewnym sensie ulga, ponieważ, jak wiesz, zaraz po świętach wyjeżdżam na Cejlon do Roderyka, a z całą pewnością nie chcę odkładać tej wizyty, tak bardzo na nią czekałam. Jednak, rzecz jasna, nie pojedę, gdyby się okazało, że mogę się przydać - oświadczyła pani McGillicuddy pełna uczuć powinności obywatelskich.

- Jestem pewna, Elspeth, że tak byś postąpiła, ale, jak już mówiłam, uważam, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

- Teraz to sprawa policji - powiedziała pani McGillicuddy. - A jeśli policja woli być głupia...

Panna Marple żywo pokręciła głową:

- O nie. Policja nie jest głupia. I to właśnie czyni sprawę tak interesującą, prawda?

Pani McGillicuddy spojrzała na nią nie rozumiejąc i panna Marple utwierdziła się w swojej opinii o przyjaciółce jako kobiecie nieskazitelnym zasad i zupełnie pozbawionej wyobraźni.

- Warto by się dowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło - powiedziała.

- Zamordowano kobietę.

- Tak, ale kto ją zabił, dlaczego i co stało się z jej ciałem? Gdzie jest?

- Wykrycie tego jest sprawą policji. Już to ustaliliśmy.

- Rzeczywiście - a ich ludzie niczego nie znaleźli. To znaczy, że morderca był sprytny, bardzo sprytny. Nie mogę sobie wyobrazić, jak się jej pozbył - powiedziała panna Marple marszcząc brwi. - Zabił kobietę w napadzie szału, na pewno nie z premedytacją; nikt nie zaplanowałby zabójstwa w

takich okolicznościach, tylko parę minut przed wjazdem pociągu na dużą stację. Nie, to musiała być kłótnia, zazdrość, coś w tym rodzaju. Udusił ją i musiał coś zrobić z ciałem właśnie wtedy, zanim pociąg wjechał na oświetlony dworzec. Cóż by można zrobić, poza, jak mówiłam na początku, ułożeniem ciała w kącie w pozycji śpiącego i ukryciem twarzy, a potem jak najszybszym opuszczeniem pociągu? Nie widzę żadnej innej możliwości, a jednak jeszcze jakaś musiała być...

Panna Marple zatopiła się w myślach.

Pani McGillicuddy musiała odezwać się do niej dwukrotnie, zanim przyjaciółka zareagowała.

- Głuchniesz, Jane.

- Może trochę. Wydaje mi się, że ludzie mówią teraz jakby mniej wyraźnie niż kiedyś. Ale słyszałam cię. Przepraszam, że nie uważałam.

- Pytałam o jutrzejsze pociągi do Londynu. Chodzi mi o popołudnie. Jadę do Margaret, a ona nie spodziewa się mnie przed porą podwieczorku.

- Czy odpowiadałby ci ten o 12.15? Zjadłybyśmy lunch wcześniej.

- Oczywiście, i...

- Zastanawiam się też - panna Marple mówiła dalej, przerywając jej - czy Margaret nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyś nie przyjechała na podwieczorek, a gdzieś około siódmej?

Pani McGillicuddy popatrzyła na przyjaciółkę z zaciekawieniem.

- Co masz na myśli?

- Proponuję, żebyśmy pojechały razem do Londynu, a potem z powrotem aż do Brackhampton pociągiem, którym jechałaś tamtego dnia. Z Brackhampton wróciłaś do Londynu, a ja przyjechałabym tu, tak jak ty wtedy. Oczywiście pokrywam koszty podróży - panna Marple wyraźnie podkreśliła tę kwestię.

Pani McGillicuddy zignorowała finansowy aspekt sprawy.

- A czegoż ty się spodziewasz, Jane? Następnego morderstwa?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała wstrząśnięta panna Marple. - Ale przyznam się, że chciałabym sama zobaczyć, pod twoim przewodnictwem, ten... ten... Doprawdy, trudno jest tu znaleźć stosowny termin... teren morderstwa.

Tak więc następnego dnia panna Marple i pani McGillicuddy siedziały naprzeciwko siebie w narożnikach przedziału pierwszej klasy pociągu odjeżdżającego z londyńskiego dworca Paddington o 4.50. Sam dworzec był jeszcze bardziej zatłoczony niż w ubiegły piątek, do świąt Bożego Narodzenia zostały już tylko dwa dni, ale pociąg o 4.50 był względnie luźny, w każdym razie jego tylne wagony.

Tym razem żaden pociąg nie zrównał się z nimi, ani ich pociąg nie dogonił innego. Co jakiś czas przejeżdżały składy z przeciwka, a dwukrotnie wyprzedziły ich pośpieszne z Londynu. Pani McGillicuddy co chwilę niepewnie spoglądała na zegarek.

- Trudno powiedzieć dokładnie, kiedy przejechaliśmy przez stacje, które pamiętam... - Ale ciągle przejeżdżali przez jakieś stacje.

- Za pięć minut mamy być w Brackhampton - powiedziała panna Marple.

W drzwiach pojawił się konduktor. Panna Marple pytająco uniosła brwi. Pani McGillicuddy pokręciła głową. To nie był ten sam. Skasował bilety i poszedł dalej, zataczając się lekko, gdy pociąg wchodził w długi łuk, zmniejszając prędkość.

- Zdaje się, że dojeżdżamy do Brackhampton - powiedziała pani McGillicuddy.

- Wjeżdżamy już w przedmieścia - potwierdziła panna Marple.

Za oknem uciekały do tyłu budynki, czasem migwały lampy uliczne i światła tramwajów. Pociąg zwolnił jeszcze bardziej. Zaczęły się rozjazdy.

- Będziemy za minutę - powiedziała pani McGillicuddy - a ja doprawdy nie widzę żadnego pożytku z tej podróży. Może tobie coś zasugerowała?

- Obawiam się, że nie - powiedziała panna Marple raczej niepewnym głosem.

- Pożałowania godny wydatek sporych pieniędzy - oświadczyła pani McGillicuddy, co prawda z mniejszą dezaprobatą, niż gdyby płaciła sama za siebie. Panna Marple okazała się bowiem w tej kwestii niewzruszona.

- Mimo wszystko dobrze zobaczyć na własne oczy, gdzie to się zdarzyło. Jesteśmy kilka minut spóźnieni. Czy w piątek przyjechał punktualnie?

- Tak myślę. Naprawdę nie zwróciłam uwagi. Pociąg wolno wtoczył się na zatłoczony dworzec w Brackhampton. Głośnik zapowiedział coś chrypliwie, drzwi otwierały się i zamykały, jedni pasażerowie wysiadali, inni wsiadali, tłocząc się wzdłuż peronu. Było to ruchliwe i tłumne widowisko.

Panna Marple pomyślała, że morderca mógł łatwo wmieszać się w tłum i wyjść z dworca pośród cisnącej się masy ludzkiej, albo nawet wybrać sobie jakiś inny przedział i dalej jechać tym samym pociągiem w jemu tylko znanym kierunku. Łatwo być jednym z wielu mężczyzn wśród pasażerów, ale niełatwo sprawić, by ciało rozplynęło się w powietrzu. Musi gdzieś być.

Pani McGillicuddy wysiadła. Stojąc na peronie, prosiła przyjaciółkę wychyloną z okna:

- Uważaj na siebie, Jane. Nie przezięb się. To okropna i zdrażliwa pora roku, a ty już nie jesteś taka młoda...

- Wiem - powiedziała panna Marple.

- I nie martwmy się więcej tą historią. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

Panna Marple przytaknęła.

- Nie stój na zimnie, Elspeth, bo sama się przeziębisz. Idź do restauracji dworcowej na filiżankę gorącej herbaty. Masz jeszcze czas, dwanaście minut do odjazdu powrotnego pociągu.

- Chyba tak zrobię. Do widzenia, Jane.

- Do widzenia, Elspeth. Wesołych Świąt! Mam nadzieję, że Margaret czuje się dobrze. Życzę ci udanego pobytu na Cejlonie i pozdrów serdecznie Roderyka, jeżeli mnie w ogóle pamięta, w co wątpię.

- Oczywiście, że tak, i to bardzo dobrze. Pomogłaś mu pewnego razu, kiedy jeszcze chodził do szkoły, w historii z jakimiś pieniędzmi znikającymi z uczniowskich szafek. Ciągle to wspomina.

- Ach, tamto! - przypomniała sobie panna Marple. Pani McGillicuddy odwróciła się, zabrzmiał gwizdek i pociąg ruszył. Panna Marple spoglądała za oddalającą się masywną sylwetką przyjaciółki. Elspeth mogła jechać na Cejlon z czystym sumieniem; spełniła swój obowiązek i była wolna od dalszych kłopotów.

Panna Marple nie oparła się wygodnie, gdy pociąg przyspieszał. Siedziała sztywno wyprostowana i rozmyślała. Choć zdarzało się jej mówić nieskładnie i na ogół wydawała się rozkojarzona, umysł miała jasny i przenikliwy. Musiała rozstrzygnąć problem dotyczący swego przyszłego postępowania, który, choć to być może dziwne, jawił się jej, tak jak przyjaciółce ze Szkocji, jako kwestia obowiązku.

Pani McGillicuddy powiedziała, że obie zrobiły wszystko, co mogły. Była to prawda, choć co do siebie samej panna Marple nie miała takiej pewności. Dręczyła starą damę kwestia wykorzystania jej

szczególności... Ale może to zarozumiałość... Cóż w końcu mogła zrobić? Przypomniały jej się słowa przyjaciółki, że już nie jest taka młoda...

Beznamiętnie, jak generał planujący kampanię lub jak księgowy wyceniający przedsiębiorstwo, panna Marple rozważyła i posegregowała w myślach wszystko, co przemawiało za i przeciw jej ewentualnemu przedsięwzięciu. Po stronie MA były następujące aktywa:

1. Długie doświadczenie życiowe i znajomość natury ludzkiej.
2. Sir Henry Clithering i jego chrześniak (obecnie, jak sądzę, w Scotland Yardzie), taki miły w trakcie rozwikływania sprawy Little Paddocks.
3. Dawid, młodszy syn mojego siostrzeńca Raymonda, który, jestem tego prawie pewna, pracuje na kolei.
4. Leonard, syn Gryzeldy, który wie bardzo wiele o mapach.

Panna Marple oceniła te walory i zaaprobowała je. Wszystkie były naprawdę niezbędne, jeśli miały zrównoważyć słabe pozycje po stronie WINIEN, a w szczególności jej własną słabość fizyczną. Pomyślała, że nie mogłaby jeździć tam i z powrotem, prowadząc dochodzenie i osobiście sprawdzając różne fakty. Tak, to były główne kontrargumenty: jej lata i słabość. Jednakże, jak na taki wiek, zdrowie jej dopisywało, choć rzeczywiście nie była młoda. Skoro doktor Haydock surowo zabronił wykonywania jakichkolwiek prac w ogrodzie, raczej nie zaaprobowałby pościgu za mordercą. A to, w rzeczy samej, planowała zrobić i w tym właśnie był problem. Jeżeli bowiem dotychczas sprawy morderstw były jej niejako narzucane, w tym wypadku sama, rozmyślnie wychodziła na spotkanie zbrodni, a zarazem nie była wcale pewna, czy rzeczywiście chciała to zrobić... Była stara - stara i zmęczona. W tej chwili, pod koniec wyczerpującego dnia, czuła wielką niechęć do rozpoczynania jakichkolwiek przedsięwzięć. Nie miała ochoty na nic, chciała tylko pójść do domu, usiąść przy kominku do dobrej kolacji, po czym położyć się do łóżka, a następny dzień spędzić po prostu w ogrodzie na przycinaniu i bardzo umiarkowanym zimowym porządkowaniu krzewów, bez schylania się i nadwerężania...

- Jestem za stara na przygody - powiedziała panna Marple do siebie, patrząc bez zainteresowania przez okno na nikły zarys zakrzywionej linii nasypu kolejowego... Zakręt... Coś jej zaświtało bardzo niejasno... Zaraz potem, jak konduktor skasował bilety... To wskazywało na pewną możliwość. Tylko możliwość. Zupełnie inną możliwość... Twarz panny Marple lekko się zaróżowiła. Nagle poczuła, że wcale nie jest zmęczona!

- Jutro rano napiszę do Dawida - powiedziała do siebie. I w tej samej chwili jeszcze jeden wartościowy aktyw przyszedł jej do głowy.

- Oczywiście. Moja wierna Florencja!

II

Panna Marple rozpoczęła realizację planu swojej kampanii metodycznie, biorąc poprawkę na okres świąt, który był czynnikiem zdecydowanie opóźniającym.

Napisała do Dawida Westa, syna siostrzeńca, łącząc świąteczne życzenia z pilnym zapytaniem o informacje.

Na szczęście była zaproszona, jak w latach ubiegłych, na świąteczny obiad na plebanię, a tam mogła zwrócić się w sprawie map do młodego Leonarda, który przyjechał do domu na święta.

Mapy wszelkich możliwych rodzajów były namiętnością Leonarda. Powód zainteresowania sędziwej damy mapą pewnego szczególnego rejonu, w dużej skali, nie wzbudził jego ciekawości. Biegłe wypowiadał się o mapach w ogólności i zapisał, jakie mapy dokładnie odpowiadałyby jej

potrzebom. Zrobił nawet więcej: stwierdził, że posiada taką mapę w swojej kolekcji i zgodził się ją wypożyczyć, a panna Marple zobowiązała się bardzo na nią uważać i zwrócić w określonym czasie.

III

- Mapy - powiedziała Gryzelda, która wciąż, mimo że miała dorosłego syna, wyglądała bardzo młodo i kwitnąco jak na osobę mieszkającą w starej, zapuszczonej plebanii. - Czego ona chce z tymi mapami? To znaczy, po co jej one?

- Nie wiem - odparł Leonard. - Chyba nie mówiła dokładnie.

- Ciekawa jestem... Coś mi tu brzydko pachnie... W jej wieku powinna wreszcie rzucić takie sprawy.

Leonard spytał, o jakie sprawy chodzi, ale Gryzelda odpowiedziała wymijająco:

- Och, wtykanie nosa w różne historie. Ciekawam, czemu właśnie mapy?

Po pewnym czasie panna Marple otrzymała list od Dawida Westa, syna swojego siostrzeńca, który pisał z widoczną nutką czułości: Droga ciociu Jane, co tym razem zamierzasz? Mam te informacje, których chciałaś. Są tylko dwa pociągi mogące wchodzić w rachubę - 4.33 i 5.00. Pierwszy to osobowy, zatrzymujący się w Haling Broadway, Barwell Heath, Brackhampton i na stacjach na trasie do Market Basing. Ten 5.00 to walijski ekspres do Cardiff, Newport i Swansea. Osobowy mógł być gdzieś wyprzedzony przez ten o 4.50, chociaż ma planowy przyjazd do Brackhampton pięć minut wcześniej od niego, a drugi wyprzedza odjeżdżający o 4.50 przed samym Brackhampton.

Czy nie mam racji wietrząc w tym jakiś soczysty wiejski skandal? Czy wracając tym o 4.50 z zakupowych szaleństw w mieście podejrzałaś w przejeżdżającym obok pociągu żonę burmistrza w objęciach inspektora sanitarnego? Ale jakie to ma znaczenie, co to był za pociąg? Dziękuję za pulower. Dokładnie taki chciałem. Jak tam Twój ogród? Sądzę, że chyba niezbyt bujny o tej porze roku.

Zawsze Twój Dawid

Panna Marple lekko się uśmiechnęła, a potem przeanalizowała przysłane informacje. Pani McGillicuddy wyraźnie stwierdziła, że wagon był bez korytarza. A więc - nie ekspres do Swansea. Pozostawał ten o 4.33.

Jeszcze pewna ilość podróży okazała się nieunikniona. Panna Marple westchnęła, ale sporządziła plany.

Tym razem dojechała do Londynu jak poprzednio o 12.15, ale wróciła nie o 4.50, lecz o 4.33 do Brackhampton. Podróż nie obfitowała w wydarzenia, ale panna Marple zarejestrowała pewne fakty. Pociąg nie był zatłoczony - 4.33 nie była jeszcze godziną wieczornego szczytu. Tylko w jednym z przedziałów pierwszej klasy siedział pasażer, bardzo sędziwy pan czytający gazetę. Panna Marple jechała w pustym przedziale i na dwóch stacjach, Haling Broadway i Barwell Heath, wychyliła się z okna, by obejrzyć wsiadających i wysiadających pasażerów. Paru wsiadło do wagonu trzeciej klasy w Haling Broadway. W Barwell Heath kilku z trzeciej klasy wysiadło. Nikt nie wsiadł ani nie wysiadł z wagonu pierwszej klasy, oprócz starszego pana niosącego pod pachą "New Statesmana".

Kiedy pociąg wjeżdżał do Brackhampton po łuku torów, panna Marple, chcąc coś sprawdzić, stanęła tyłem do okna, na które wcześniej opuściła roletę.

Tak, siła bezwładności wywołana nagłym skrętem i hamowaniem pociągu mogła rzeczywiście spowodować utratę równowagi mordercy i pchnąć go do tyłu na okno, a wtedy roleta mogła się bardzo łatwo zwinąć. Wyjrzała przez okno w noc. Było jaśniej niż wtedy, kiedy podróżowała pani

McGillicuddy, ale i tak niewiele można było dojrzeć w ciemnościach. Żeby coś zobaczyć, musi odbyć podróż za dnia.

Nazajutrz pojechała do Londynu rannym pociągiem i kupiła cztery lniane poszewki na poduszki (krzywiąc się na ich cenę!), aby połączyć śledztwo z potrzebami domu, a wróciła odjeżdżającym z Paddington o 12.15. Znow była sama w wagonie pierwszej klasy. Pomyślała, że to przez te podatki. Nikt nie może sobie pozwolić na podróżowanie pierwszą klasą oprócz biznesmenów. I to tylko dlatego, że mogą to wliczyć w koszty.

Około piętnastu minut przed planowym przyjazdem pociągu do Brackhampton, panna Marple wyjęła dostarczoną jej przez Leonarda mapę i rozpoczęła obserwację terenu. Przedtem już przestudiowała ją bardzo dokładnie i zobaczywszy nazwę mijanej stacji, zorientowała się, gdzie jest, kiedy tylko pociąg zaczął zwalniać przed łukiem. Zakręt był rzeczywiście duży. Panna Marple z nosem w szybie bardzo uważnie śledziła grunt poniżej (pociąg jechał po dość wysokim nasypie). Porównywała mapę z terenem, póki pociąg nie dojechał do Brackhampton.

Późnym wieczorem tego dnia napisała i nadała list zaadresowany do panny Florence Hill, 4 Madison Road, Brackhampton... Następnego ranka w bibliotece hrabstwa przejrzała książkę telefoniczną Brackhampton, spis miejscowości hrabstwa i jego historię.

Nic, jak dotąd, nie przemawiało przeciwko nader niepewnemu i ledwie zarysowanemu pomysłowi, który wcześniej przyszedł jej do głowy. To, co sobie wyobraziła, było prawdopodobne. Dalej już nie mogła działać sama.

Następny krok wymagał aktywności, do jakiej nie była fizycznie zdolna. Jeżeli jej hipoteza ma być ostatecznie udowodniona bądź obalona, musi uzyskać teraz pomoc z zewnątrz. Pytanie brzmiało - od kogo? Panna Marple dokonała przeglądu rozmaitych nazwisk i możliwości, odrzucając wszystkie, gniewnie kręcąc głową. Wszyscy, na których inteligencji mogła polegać, byli stanowczo zbyt zajęci. Nie tylko mieli mniej lub bardziej ważne obowiązki, ale także ich czas wolny był z góry szczegółowo zaplanowany. Ludzie inteligentni, którzy swobodnie dysponowali swoim czasem, byli, jak zdecydowała panna Marple, do niczego.

Rozmyślała z coraz większym rozdrażnieniem. I nagle jej twarz rozjaśniła się i stara dama wykrzyknęła głośno:

- Oczywiście! Lucy Eyelesbarrow!

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Lucy Eyelesbarrow dała się już poznać w pewnych kręgach. Miała trzydzieści dwa lata. Z pierwszą lokatą ukończyła matematykę w Oksfordzie, gdzie została uznana za błyskotliwą umysłowość i sądzono, że rozpocznie znakomitą karierę uniwersytecką.

Jednak Lucy Eyelesbarrow, poza swą akademicką błyskotliwością, miała jeszcze sporo zdrowego rozsądku. Nie mogła nie zauważyć, że naukowym splendorom towarzyszyło wyjątkowo niskie wynagrodzenie. Zupełnie nie miała ochoty na uczenie, choć kontakt z umysłami o wiele mniej błyskotliwymi niż jej własny sprawiał jej przyjemność. Krótko mówiąc, lubiła ludzi, ludzi w ogóle, byle nie tych samych przez cały czas. Poza tym, mówiąc zupełnie szczerze, lubiła pieniądze, a żeby zdobyć pieniądze, trzeba zorientować się w popycie.

Lucy Eyelesbarrow trafiła od razu tam, gdzie zapotrzebowanie było istotnie ogromne: brak było wszelkich rodzajów wykwalifikowanych pomocy domowych. Ku zdziwieniu przyjaciół i kolegów uniwersyteckich, Lucy Eyelesbarrow zdecydowała się na pracę w tej właśnie branży.

Powodzenie było natychmiastowe i oszałamiające. Wkrótce była już znana na całych Wyspach Brytyjskich. Zwyczajem żon stało się mówienie do mężów, że wszystko jest załatwione: "będę mogła pojechać z tobą do Stanów. Mam Lucy Eyelesbarrow! Rzecz polegała na tym, że kiedy tylko wracała do jakiegoś domu, znikaly zeń wszelkie troski, zmartwienia i ciężka praca. Lucy robiła wszystko, wszystkiego doglądała, wszystko załatwiała. Była niewiarygodnie kompetentna we wszelkich dziedzinach, jakie tylko można sobie wyobrazić w życiu domowym. Opiekowała się sędziwymi rodzicami, zgadzała zajmować małymi dziećmi, pielęgnowała chorych, genialnie gotowała, dobrze żyła ze wszystkimi starymi, skwaszonymi służącymi, jacy tylko mogli być (zwykle jednak ich nie było), była taktowna wobec nieznośnych osób, koła cierpienia nałogowych pijaków, była cudowna dla psów. A co najważniejsze, chętnie wykonywała właściwie wszystko: szorowała podłogę w kuchni, kopała w ogrodzie, sprzątała psie nieczystości i nosiła węgiel!

Jedną z jej zasad było nieprzyjmowanie zatrudnienia na dłuższy okres. Dwa tygodnie były jej zwykłym czasem pracy w jednym domu - miesiąc tylko w naprawdę wyjątkowych okolicznościach. Za dwa tygodnie trzeba było jej zapłacić krocie, ale przez te czternaście dni życie pracodawców stawało się rajem. Można się było całkowicie odprężyć, wyjechać za granicę, zostać w domu, robić to, na co się miało ochotę, z poczuciem pewności, że w pewnych rękach Lucy Eyelesbarrow w domu wszystko szło dobrze.

Rzecz jasna, zapotrzebowanie na jej usługi było ogromne. Mogła przyjąć rezerwację, jeśliby chciała, na prawie trzy lata naprzód. Proponowano jej niebotyczne kwoty, by zgodziła się zostać na stałe, ale Lucy nie miała na to najmniejszej ochoty, nie zobowiązywała się też na żadne terminy z wyprzedzeniem większym niż pół roku. A i w tym czasie, w tajemnicy przed swymi naprzykrzającymi

się klientami, zawsze pozostawiała tyle wolnego czasu, że mogła pozwolić sobie na krótkie, luksusowe wakacje (ponieważ w okresach zatrudnienia nic nie wydawała na swoje potrzeby, będąc hojnie opłacana i utrzymywana) lub przyjąć niemal z marszu każdą pracę, jaka tylko ją zainteresowała, czy to ze względu na rodzaj zajęcia, czy też dlatego, że podobali jej się ludzie. Ponieważ miała pełną swobodę wyboru klientów spośród spragnionych jej usług, kierowała się w bardzo dużym stopniu własnymi gustami. Samo wysokie wynagrodzenie nie wystarczało do zapewnienia usług Lucy Eyelesbarrow. Mogła wybierać dowolnie, więc dowolnie wybierała. Cieszyła się życiem i znajdowała w nim niewyczerpane źródło rozrywki.

Lucy Eyelesbarrow przeczytała dwukrotnie list od panny Marple. Poznała ją dwa lata temu, kiedy pisarz Raymond West zatrudnił ją w charakterze opiekunki jego starej ciotki, rekonwalescentki po zapaleniu płuc. Lucy podjęła się tej pracy i pojechała do St Mary Mead. Bardzo polubiła pannę Marple. Ta zaś, zobaczywszy z okna sypialni, jak Lucy Eyelesbarrow w naprawdę prawidłowy sposób okopywała słodki groszek, położyła się na poduszkach z westchnieniem ulgi. Zajadała małe, smakowite posiłki przyrządzane jej przez opiekunkę i słuchała, mile zaskoczona, opowieści swojej drażliwej starej służącej, jak to nauczyła tę pannę Eyelesbarrow wzoru szydełkowego, o którym tamta nigdy nie słyszała i za co była jej prawdziwie wdzięczna! Panna Marple zaskoczyła wtedy lekarza swą szybko postępującą rekonwalescencją. A teraz pytała w liście, czy panna Eyelesbarrow nie mogłaby podjąć się dla niej pewnego zadania, dosyć niezwykłego. Może zechciałaby zorganizować spotkanie, podczas którego mogłyby omówić tę sprawę?

Lucy Eyelesbarrow przez chwilę marszczyła brwi w zamyśleniu. Miała co prawda komplet zamówień na swoje usługi, ale słówko niezwykłego i wspomnienie osobowości panny Marple sprawiły, że od razu zadzwoniła do starej damy z wyjaśnieniem, że nie może przybyć do St Mary Mead, ponieważ teraz właśnie pracuje, ale będzie wolna jutro po południu, między drugą a czwartą i wtedy może się z nią spotkać w jakimkolwiek punkcie Londynu. Zaproponowała swój klub, miejsce raczej pozbawione wyrazu, na którego korzyść przemawiało kilka małych, zacisznych gabinetów, zwykle wolnych. Następnego dnia spotkanie doszło do skutku. Po przywitaniu Lucy Eyelesbarrow poprowadziła gościa do najbardziej chyba ponurego ze wszystkich saloników klubu i powiedziała:

- Obawiam się, że sprawię pani zawód, bo jestem właśnie teraz bardzo zajęta, ale może by mi pani powiedziała, co miałabym zrobić?

- To naprawdę bardzo proste - odrzekła panna Marple. - Niezwykłe, ale proste. Chcę, żeby pani odnalazła ciało.

Przez moment przez umysł Lucy przemknęło podejrzenie, że siedząca naprzeciw niej dama była niespełna rozumu, ale od razu je odrzuciła. Panna Marple była najzupełniej zdrowa psychicznie i miała na myśli dokładnie to, co powiedziała.

- Jakiego rodzaju ciało? - spytała Lucy Eyelesbarrow z podziwu godnym opanowaniem.
- Kobięce. Ciało pewnej kobiety, zamordowanej, uduszonej, dokładnie rzecz biorąc, w pociągu. Brwi Lucy lekko się uniosły.
- Cóż, z całą pewnością jest to zajęcie niezwykłe. Proszę mi o tym opowiedzieć.

Panna Marple opowiedziała. Lucy Eyelesbarrow słuchała uważnie, nie przerywając. Wreszcie skonstatowała:

- Wszystko opiera się na tym, co pani przyjaciółka widziała, albo myślała, że widzi... - pozostawiła zdanie bez zakończenia, jakby było pytaniem.

- Elspeth McGillicuddy nigdy niczego nie zmyśla - oświadczyła kategorycznie panna Marple. -

Oto dlaczego polegam na tym, co powiedziała. Gdyby to była Dorothy Cartwright, cóż, wtedy byłaby to zupełnie inna sprawa. Dorothy zawsze ma jakieś ciekawe historyjki do opowiedzenia, a dosyć często sama w nie wierzy, zwykle też gdzieś u ich podstaw jest ziarno prawdy, ale z całą pewnością nic poza nim. Elspeth jest jednak kobietą, która tylko z wielkim trudem może się zmusić, by uwierzyć, że coś nadzwyczajnego czy niezwykłego mogłoby się w ogóle wydarzyć. Jest jak granit, nie ulega żadnym wpływom.

- Rozumiem - powiedziała Lucy w zamyśleniu. - Cóż, przyjmijmy to więc jako fakt. Jaka rolę widzi pani dla mnie w tej sprawie?

- Zrobiła pani na mnie wielkie wrażenie, kiedyśmy się poznały - powiedziała panna Marple. - A ja, widzi pani, nie mam już dosyć sił, by się osobiście tym zająć.

- Chce pani, bym prowadziła dochodzenie? O to chodzi? Ale czyż policja już tego nie zrobiła? A może sądzi pani, że się po prostu nie przyłożyli?

- Ależ nie, nie byli niedbali - zapewniła panna Marple. - Mam po prostu pewną teorię. Ciało tej kobiety musi gdzieś być. Skoro nie znaleziono go w pociągu, więc musiało zostać z niego wyrzucone lub wypchnięte, ale wzdłuż torów go nie odkryto. Przejechałam się więc tą samą trasą, aby zobaczyć, czy nie mogło zostać wyrzucone z pociągu gdzieś, gdzie by nie było łatwo na nie trafić. Jest takie miejsce! Tory kolejowe tworzą wielki łuk przed wjazdem do Brackhampton, i biegną tam skrajem wysokiego nasypu. Gdyby ciało wyrzucono tam, kiedy pociąg jechał w przeczyle, to sądzę, że zwałiłoby się w dół z nasypu.

- Ale na pewno by je odnaleziono, nawet tam?

- O tak. Ktoś musiał je stamtąd zabrać... Ale już do tego przechodzimy. Tu na mapie jest to miejsce.

Lucy pochyliła się, żeby zobaczyć, co wskazywał palec panny Marple.

- Teraz to już leży w granicach Brackhampton - powiedziała panna Marple. - Ale dalej jest posiadłością wiejską, z obszernym parkiem i gruntami, nietkniętą - otoczoną działkami budowlanymi i podmiejskimi domkami. Tę rezydencję, Rutherford Hall, wzniósł w roku 1884 bogaty przemysłowiec nazwiskiem Crackenthorpe. Jego syn, teraz już starszy pan, dalej tam mieszka z córką. Linia kolejowa otacza ponad połowę posiadłości.

- A pani chciałaby, żebym..

- Znalazła tam pracę - dokończyła od razu panna Marple. - Wszyscy poszukują teraz wykwalifikowanej służby i nie wyobrażam sobie, żeby przyszło to pani z trudem.

- Nie, nie sądzę, żeby to było trudne.

- Z tego co wiem, pan Crackenthorpe jest uważany w okolicy za kogoś w rodzaju skąpca. Jeśli zgodzi się pani na niską pensję u niego, uzupełnię ją do wysokości, która, jak sądzę, raczej przewyższałaby obecne stawki.

- Ze względu na trudności?

- Nie tyle trudności, ile raczej niebezpieczeństwo. Muszę panią ostrzec, że to może być niebezpieczne.

- Nie wiem, czy zagrożenie mnie zniechęca - powiedziała Lucy głęboko zamyślona.

- Wiem o tym. Nie jest pani tego rodzaju osobą.

- Pewnie myślała pani, że mnie to nawet skusi? Spotkałam się z bardzo niewieloma niebezpieczeństwami w życiu. Ale czy pani naprawdę wierzy, że może mi coś grozić?

- Ktoś popełnił przestępstwo niemal doskonale - zwróciła uwagę panna Marple. - Nie było

żadnego zamieszania, żadnych konkretnych podejrzeń. Dwie starsze panie opowiedziały dość nieprawdopodobną historię, policja ją sprawdziła i nie potwierdziła niczego. Jest więc ładnie i spokojnie. Nie sądzę, żeby zabójca, kimkolwiek jest, siedział spokojnie, kiedy będzie się tę sprawę rozgrzebywać. Szczególnie jeśli pani dociekliwość będzie skuteczna.

- A czego, dokładnie, mam szukać?

- Wszelkich śladów wzdłuż nasypu, kawałka materiału, połamanych krzewów, tego typu konkretów.

- A wówczas? - spytała Lucy.

- Będę pod ręką - powiedziała panna Marple.

- Moja dawna służąca, wierna Florencja, mieszka w Brackhampton. Przez lata opiekowała się swoimi starymi rodzicami. Oboje już nie żyją, przyjmuje więc lokatorów, samych szacownych ludzi. Zgodziła się, żebym u niej zamieszkała. Będzie się mną troskliwie zajmować, a chciałabym być w pobliżu. Proponuję, żeby pani wspomniała o starej ciotce, blisko której chciałaby pani dostać pracę. Proszę zażądać rozsądnych ilości wolnego czasu, żeby móc często odwiedzać staruszkę.

Lucy zgodziła się:

- Pojutrze miałam się wybrać na Taorminę. Ale wakacje mogą zaczekać. Mogę jednak obiecać pani tylko trzy tygodnie. Potem jestem już umówiona.

- To powinno zupełnie wystarczyć. Jeśli niczego nie odkryjemy przez trzy tygodnie, możemy o całej sprawie zapomnieć. Panna Marple pożegnała się, a Lucy, po chwili zastanowienia, zadzwoniła do biura pośrednictwa pracy w Brackhampton, którego kierowniczkę bardzo dobrze знаła. Wy tłumaczyła chęć otrzymania pracy w sąsiedztwie potrzebą bycia w pobliżu starej ciotki. Po odrzuceniu z pewnymi trudnościami i ogromną pomysłowością kilku proponowanych miejsc, wymieniono Rutherford Hall.

- Dokładnie czegoś takiego chcę - powiedziała Lucy pewnym tonem.

Z biura zatelefonowano do panny Crackenthorpe, która następnie zadzwoniła do Lucy. Dwa dni później utalentowana służąca wyjechała z Londynu w kierunku Rutherford Hall.

II

Prowadząc swój mały samochód, Lucy Eyelesbarrow przejechała przez imponująco szeroką, żelazną bramę. Zaraz za nią znajdowało się coś, co kiedyś było domkiem odźwiernego, a teraz wydawało się zupełnie opuszczone czy to na skutek wojny, czy zaniedbania - trudno było stwierdzić. Długi, zakręcony podjazd wiódł ku domowi między dużymi, bujnymi kępami rododendronów. Ujrzawszy dom, Lucy złapała oddech z lekkim trudem. Był to rodzaj zamku Windsor w miniaturze. Kamiennym stopniom prowadzącym do drzwi przydałoby się nieco starań, a zwirowy podjazd zielenił się chwastami.

Pociągnęła za staroświecką rączkę z kutego żelaza i dźwięk dzwonka rozległ się gdzieś w głębi domu.

Drzwi otworzyła niechlujna kobieta, wycierająca ręce w fartuch i spojrzała na Lucy podejrzliwie.

- Umówiona, nie? Panna Coştambarrow, tak mi powiedziała.

- Tak właśnie - potwierdziła Lucy.

Wewnątrz domu było przeraźliwie zimno. Przewodniczka powiodła ją przez ciemny hall i otworzyła drzwi po prawej. Ku zaskoczeniu Lucy, pokój okazał się całkiem przyjemnym salonikiem, z książkami i z krzesłami obitymi perkalem.

- Powiem jej - powiedziała kobieta spojrzawszy na Lucy z głęboką niechęcią i wyszła, zatrzasnąwszy drzwi.

Po kilku minutach otworzyły się. Od pierwszej chwili Lucy zdecydowała, że lubi Emmę Crackenthorpe. Była to kobieta w średnim wieku, o niezbyt wyrazistych rysach, ani ładna, ani pospolita, z ciemnymi włosami zaczesanymi na bok z czoła, spokojnymi, orzechowymi oczami i bardzo przyjemnym głosem, schludnie ubrana w tweedową spódnicę i pulower.

- Panna Eyelesbarrow? - spytała, wyciągając rękę. Spojrzała z powątpiewaniem na przybyłą.

- Nie wiem, czy ta posada jest rzeczywiście tym, czego pani poszukuje. Nie potrzebuję gospodyni do nadzorowania służby, lecz kogoś do roboty.

Lucy wyjaśniła, że właśnie tego oczekiwała większość jej pracodawców.

Emma Crackenthorpe powiedziała przepaszającym tonem:

- Wielu osobom chyba wydaje się, że wystarczy tu lekkie odkurzanie, ale to mogę robić sama.

- Doskonale rozumiem - powiedziała Lucy. - Chodzi pani o gotowanie i zmywanie, sprzątanie i palenie w piecu. W porządku. Tym właśnie się zajmuję. Nie boję się pracy.

- Obawiam się, że to duży dom i niezbyt wygodny, ale jest kuchnia elektryczna i bojler z ciepłą wodą. Zamieszkujemy, rzecz jasna, tylko część budynku, to znaczy ja i ojciec, już niezbyt sprawny. Żyjemy raczej spokojnie. Mam kilku braci, ale nie bywają tu zbyt często. Dochodzą do pomocy dwie kobiety, pani Kidder co rano, a pani Hart trzy razy w tygodniu, czyścić srebra i tak dalej. Pani ma samochód?

- Mam. Może stać na powietrzu, jeśli nie ma go gdzie wstawić. Jest do tego przyzwyczajony.

- Och, jest mnóstwo starych stajni. Nie ma z tym problemu - zmarszczyła brwi. - Eyelesbarrow to raczej niezwykle nazwisko. Moi znajomi, rodzina Kennedych, mówili mi o jakiejś Lucy Eyelesbarrow.

- Tak, w północnym Devonie. Byłam u nich, kiedy pani Kennedy miała dziecko.

Emma Crackenthorpe uśmiechnęła się.

- Mówili, że nigdy nie było im tak dobrze, jak wtedy, kiedy pani zajmowała się wszystkim. Ale sądziłam, że jest pani okropnie droga. Kwota, o której mówiłam...

- Jest całkiem wystarczająca - powiedziała Lucy. - Widzi pani, zależy mi na tym, żeby być blisko Brackhampton. Mam starą ciotkę w kiepskim stanie zdrowia i chcę być w pobliżu niej. Dlatego więc wynagrodzenie ma znaczenie drugorzędne, nie mogę zaś sobie pozwolić, żeby nic nie robić. Czy mogłabym liczyć na trochę wolnego czasu codziennie?

- Ależ oczywiście. Każde popołudnie do szóstej, odpowiada pani?

- Doskonale.

Panna Crackenthorpe zawahała się przez moment:

- Mój ojciec jest w podeszłym wieku i czasami bywa trochę... trudny. Zwraca wielką uwagę na oszczędności i mówi czasem ludziom nieprzyjemne rzeczy. Nie chciałabym...

Lucy przerwała prędko:

- Przywykłam do najróżniejszych ludzi w podeszłym wieku. Zawsze udaje mi się żyć z nimi dobrze.

Emma Crackenthorpe wyraźnie odczuła ulgę.

- Problemy z ojcem! - pomyślała Lucy. - Założę się, że to stary piekielnik.

Przydzielono jej wielką i ponurą sypialnię z małym grzejnikiem elektrycznym, który robił wszystko, co było w jego ograniczonej mocy, by ogrzać nieprzytulny pokój i oprowadzono po domu -

obszernej, niewygodnej rezydencji. Gdy przechodziły obok kolejnych drzwi w hallu, jakiś głos ryknął:

- To ty, Emmo? Masz tu tę nową? Dawaj ją tutaj! Chcę na nią popatrzeć!

Emma zarumieniała się i spojrzała przepaszająco na Lucy. Weszły do pokoju obitego ciemną tkaniną, pełnego ciężkich, mahoniowych, wiktoriańskich mebli. Wąskie okna wpuszczały tu niewiele światła.

Stary pan Crackenthorpe siedział rozparty na wózku inwalidzkim, laskę ze srebrną gałką miał przy boku. Był dużym, zasuszonym mężczyzną, a pomarszczona skóra zwisała luźnymi fałdami. Miał twarz buldoga z wojowniczo wysuniętym podbródkiem i małymi, podejrzliwie spoglądającymi oczami. Jego gęste, ciemne włosy były poprzątkane siwizną.

- Spójrzmy no na ciebie, młoda damo.

Lucy zbliżyła się, opanowana i uśmiechnięta.

- Lepiej będzie, jeśli od razu zrozumiesz jedno. To, że mieszkamy w dużym domu, nie znaczy wcale, że jesteśmy bogaci. Nie jesteśmy! Żyjemy skromnie, słyszysz? Skromnie! Nie ma co tu przychodzić z ekstrawaganckimi pomysłami. Dorsz jest równie dobrą rybą na co dzień, jak płastuga, zapamiętaj to sobie. Nie znoszę marnotrawstwa. Mieszkam tu, bo mój ojciec wybudował ten dom, a mnie on się podoba. Po mojej śmierci mogą go sobie sprzedać, jeśli przyjdzie im ochota, a spodziewam się, że tak właśnie będzie. Ani za grosz uczuć rodzinnych! Ten dom jest solidnie zbudowany, a wokół rozciąga się nasza własna ziemia. Daje to nam poczucie prywatności - jesteśmy u siebie. Wiele by się zarobiło, na sprzedaży gruntu pod zabudowę, ale nie póki ja żyję. Nie wyrzucicie mnie stąd, chyba nogami do przodu! - spiorunował wzrokiem córkę.

- Pański dom jest pańską twierdzą - powiedziała Lucy.

- Naśmiewasz się ze mnie?

- Oczywiście, że nie. Myślę, że to naprawdę niezwykle mieć prawdziwą wiejską posiadłość w samym mieście.

- Właśnie. Mieszka się w centrum, a nie zobaczy się stąd innego domu. Pola, łąki a na nich krowy, w samym środku Brackhampton. Słysząc trochę ruch uliczny, jeśli wiatr wieje akurat od śródmieścia, ale, poza tym, to ciągle wieś.

Bez żadnej przerwy, ani zmiany tonu, zwrócił się do córki:

- Zadzwon do tego cholernego durnia lekarza. Powiedz, że to, co mi ostatnio zapisał, jest całkiem do niczego.

Lucy i Emma uznały rozmowę za zakończoną. Kiedy wychodziły, krzyknął za nimi:

- I nie przysyłać mi tej przeklętej baby, która tu wyciera kurze. Poprzekładała mi wszystkie książki.

Lucy spytała:

- Czy pan Crackenthorpe od dawna jest inwalidą?

- Och, już od lat... - odpowiedziała Emma wymijająco. - To jest kuchnia.

Była olbrzymia. Obok zimnego pieca kuchennego, o którym dawno zapomniano, stała skromnie nowoczesna kuchenka elektryczna. Lucy zapytała o pory posiłków, przeprowadziła inspekcję spiżarni i zwróciła się do panny Crackenthorpe.

- Wiem już teraz wszystko. Proszę się o nic nie kłopotać i polegać na mnie.

Emma Crackenthorpe idąc tej nocy na górę, do swej sypialni, wydała z siebie westchnienie ulgi.

- Ci Kennedy mieli zupełną rację. Ona jest cudowna.

Następnego ranka Lucy wstała o szóstej. Posprzątała dom, podała śniadanie i przygotowała warzywa. Wraz z panią Kidder posłały łóżka i o jedenastej zasiadły obie w kuchni do gorącej herbaty i biszkoptów. Pani Kidder, nieco rozbrojona tym, że Lucy "nie stroiła fochów", a także mocną i dobrze posłodzoną herbatą, złagodniała i dała upust pasji do plotkowania. Była drobną, szczupłą kobietą o ostrym spojrzeniu i zaciśniętych ustach.

- Zwykły stary kutwa z niego. Ileż ona musi znosić! Jednakowoż, nie jest, jak ja to mówię, stłamszona. Potrafi postawić na swoim, jeżeli bardzo jej na czymś zależy. Kiedy panicze się zjeżdżają, zawsze dopatry, żeby było coś porządnego do zjedzenia.

- Panicze?

- Tak. To była duża rodzina. Najstarszy, panicz Edmund, został zabity na wojnie. Potem panicz Cedryk, ten mieszka gdzieś tam za granicą. Nie ożenił się. Maluje obrazy. Panicz Harold pracuje w City, mieszka w Londynie i poślubił lordowską córkę. Potem jest panicz Alfred, przyjemny w obejściu, ale to tutaj czarna owca, raz czy dwa miał kłopoty; jest też mąż panienki Edyty, pan Bryan, zawsze taki miły, jest... Ona umarła kilka lat temu, ale on był przywiązany do rodziny. No i panicz Aleksander, synek panienki Edyty. Uczy się w szkole, ale zawsze przyjeżdża na kawałek wakacji; panienka Emma okropnie go nie znosi.

Lucy trawiła wszystkie te wiadomości, co rusz pojąc swą informatorkę herbatą. W końcu pani Kidder podniosła się z ociąganiem.

- Zdaje mi się, że świetnie się poznailiśmy. Pomóc ci, kochana, przy ziemniakach?

- Już są gotowe.

- No, ty umiesz sobie dawać radę! Pójdę się lepiej uwinąć u siebie, bo tutaj chyba już nie ma dla mnie nic więcej do roboty.

Pani Kidder wyszła, a Lucy, mając czas do dyspozycji, wyszorowała stół kuchenny, do czego już od dawna tęsknił, ale co odkładała na później, żeby nie urazić pani Kidder, do której obowiązków to właściwie należało. Następnie wyczyściła srebra na wysoki połysk. Ugotowała lunch, sprzątnęła po nim i zmyła, a o drugiej trzydzieści była gotowa do rozpoczęcia poszukiwań. Nakryła na tacy do podwieczorku, przykrywając kanapki wilgotną serwetką, aby nie wyschły.

Przeszła się po ogrodzie, co było zupełnie naturalne. Ogród przykuchenny był tylko gdzieś tam obsadzony zaledwie kilkoma rodzajami warzyw, cieplarnie znajdowały się w stanie ruiny, a ścieżki wszędzie zarośnięte chwastami. Za to żywopłot jawił się zadbane. Lucy czuła w tym rękę Emmy. Ogrodnik, bardzo stary i cokolwiek głuchy, tylko pozorował pracę. Lucy zagadnęła go miło. Mieszkał w domku przylegającym do dużego stajennego podwórca.

Boczna aleja dojazdowa wiodła stamtąd przez ogrodzony po obu stronach park, pod wiaduktem kolejowym, do wąskiej bitej drogi. Co kilka minut po torach przetaczały się z łoskotem pociągi. Lucy patrzyła, jak zmniejszały prędkość na ostrym łuku, otaczającym posiadłość Crackenthorpe'a. Przeszła pod wiaduktem i wyszła na drogę, wyglądającą na mało uczęszczaną. Po jednej jej stronie znajdował się nasyp kolejowy, a po drugiej wysoki mur odgradzający jakieś duże zabudowania fabryczne. Droga zmieniła się wkrótce w ulicę z małymi domami. Z niewielkiej odległości dochodził hałas ruchu na głównej ulicy. Spojrzała na zegarek. Jakaś kobieta wyszła z domku nieopodal i Lucy zatrzymała ją.

- Przepraszam, czy jest tu gdzieś w pobliżu automat?

- Na poczcie, zaraz na rogu.

Lucy podziękowała jej i poszła dalej, aż dotarła do poczty, w której mieścił się jednocześnie

sklep. Przy ścianie stała kabina telefoniczna. Lucy weszła do niej i wykręciła numer. Poprosiła pannę Marple. Kobięcy głos warknął ostro.

- Teraz odpoczywa. I nie będę jej przeszkadzać!! Potrzebuje; odpoczynku. Jest w podeszłym wieku. Mam powiedzieć, że kto dzwonił?

- Panna Eyelesbarrow. Nie ma potrzeby jej przeszkadzać. Proszę tylko przekazać, że przyjechałam i że wszystko idzie pomyślnie oraz że dam jej znać, jak tylko będę miała coś nowego.

Odłożyła słuchawkę i udała się z powrotem do Rutherford Hall.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

- Czy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym poćwiczyła sobie trochę w parku uderzenia kijem golfowym?

- Och, z całą pewnością nie. Pani pasjonuje się golfem?

- Nie jestem zbyt dobra, ale lubię ćwiczyć. To znacznie przyjemniejsze niż samo spacerowanie.

- Poza tym miejscem nie ma tu gdzie spacerować - burknął pan Crackenthorpe. - Nic, tylko chodniki i żałosne szeregi małych, pudełkowatych domów. Chcą zagarnąć moją ziemię i zbudować ich jeszcze więcej. Ale póki żyję, nic z tego. Nie zrobię nikomu tej grzeczności i nie umrę szybko. Tyle ci mogę powiedzieć! Tej grzeczności nie zrobię nikomu!

- Ależ, ojcze... - powiedziała Emma Crackenthorpe łagodnie.

- Ja wiem, co oni myślą i na co czekają. Każdy z nich. Cedryk, i ten przebiegły lis Harold, ze swoją zadufaną miną. Co do Alfreda, to zastanawiam się, czy on sam nie próbował mnie wykończyć. Nie jestem pewien, czy tak nie było w czasie Bożego Narodzenia. Miałem wtedy bardzo podejrzaną sensację. Aż się stary Quimper zastanawiał. Zadał mi sporo dziwnych pytań.

- Każdy miewa od czasu do czasu niedyspozycje żołądkowe, ojcze.

- Dobra, dobra, powiedz wprost, że za dużo zjadłem! Oto, co masz na myśli. A czemu zjadłem za dużo? Bo było za dużo jedzenia na stole, o wiele za dużo. Rozrzutność i ekstrawagancja. A to przypomina mi o tobie, młoda damo. Przysłałaś na obiad pięć ziemniaków - i to całkiem sporych. Dwa starczą każdemu w zupełności. Na przyszłość zatem, nigdy nie przysyłaj więcej niż cztery. Ten dodatkowy się dziś zmarnował.

- Nie zmarnował się, panie Crackenthorpe. Zamierzam go dziś wieczorem wykorzystać do tortilli.

Wychodząc z pokoju z tacą do kawy, Lucy usłyszała, jak mówił:

- Szczwana dziewczyna! Na wszystko ma gotową odpowiedź. Gotuje jednak dobrze, a i niebrzydka z niej sztuka.

Lucy Eyelesbarrow wyjęła jeden ze swoich kijów golfowych, które przewidująco zabrała ze sobą i, przeszedłszy przez furtkę w płocie, wyszła spacerem do parku.

Zaczęła serię uderzeń. Po około pięciu minutach piłka, najwyraźniej uderzona bokiem, wpadła na nasyp kolejowy. Lucy wspięła się nań i rozpoczęła poszukiwania. Odwróciła się i zerknęła w kierunku domu. Był daleko i nikt nie interesował się nawet w najmniejszym stopniu tym, co robiła. Rozglądała się za swoją piłką. Od czasu do czasu spoglądała z nasypu w dół, na trawę. W ciągu popołudnia przeszukała blisko jedną trzecią terenu, który ją interesował. Nic. Zagrała piłką w stronę domu.

Następnego dnia na coś natrafiła. Krzak głogu, rosnący gdzieś w połowie zbocza, był połamany. Kilka jego gałęzi leżało rozrzuconych wokoło. Lucy zbadała sam krzew. Na jednym z kolców

nadziany był wydarty strzęp jasnobrązowego futra, zbliżonego kolorem do drewna.

Lucy patrzyła nań przez chwilę, potem wyjęła z kieszeni nożyczki i ostrożnie rozcięła go na pół. Odciętą połowę włożyła do koperty wyjętej z drugiej kieszeni. Zeszła w dół stromizny, patrząc, czy nie znajdzie jeszcze czegoś. Przyjrzała się dokładnie nierównej łące. Zauważyła ślad, który ktoś zostawił idąc po wysokiej trawie. Był jednak bardzo słabo widoczny, znacznie mniej wyraźny od jej własnego. Musiał powstać już jakiś czas temu i był tak nieznaczny, że nie była nawet pewna, czy nie był tylko wytworem jej wyobraźni.

Rozpoczęła metodyczne przeszukiwanie trawy u podnóża nasypu, dokładnie poniżej złamanego krzewu. Wkrótce jej wysiłek został nagrodzony. Znalazła puderniczkę, tanią, emaliowaną błahostkę. Zawinęła ją w chusteczkę i włożyła do kieszeni. Szukała dalej, ale niczego już więcej nie znalazła.

Następnego popołudnia wsiadła do swego samochodu i udała się w odwiedzinach do niedomagającej ciotki. Emma Crackenthorpe powiedziała uprzejmie:

- Niech się pani nie spieszy z powrotem. Nie będziemy pani potrzebowali przed kolacją.

- Dziękuję, ale i tak będę najpóźniej przed szóstą. Madison Road nr 4 był małym, nijakim domkiem przy małej, nijakiej ulicy. Miał bardzo czyste firanki z nottinghamskich koronek, lśniący biały próg i dobrze wypolerowaną mosiężną klamkę. Drzwi otworzyła wysoka, surowa kobieta w czerni, z dużym węzłem stalowoszarych włosów z tyłu głowy. Patrzyła bacznie na Lucy, lustrując ją nieufnym wzrokiem i poprowadziła do panny Marple.

Siwa dama oczekiwała jej w czystym aż do przesady, bocznym saloniku z widokiem na niewielki, schludny kwadrat ogrodu. W pokoju było mnóstwo podstawek i serwetek, ogromna ilość porcelanowych ozdób i raczej ciężkie meble w stylu króla Jakuba oraz dwie doniczki z paprotkami. Panna Marple siedziała w dużym fotelu przy kominku, pochłonięta szydełkowaniem.

Lucy zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na krześle naprzeciw panny Marple:

- No więc wygląda na to, że miała pani rację! - wydstała swoje znaleziska i opowiedziała, jak je odkryła.

Nieznaczny rumieniec satysfakcji pojawił się na policzkach panny Marple:

- Być może, to niewłaściwe w tym wypadku, ale rzeczywiście jest przyjemnie, gdy sformułuje się teorię i otrzyma dowód, który ją potwierdza - powiedziała, muskając palcami małą kępkę futra. - Elspeth widziała, że tamta kobieta miała na sobie jasne futro. Sądzę, że puderniczka była w jego kieszeni, a wypadła, kiedy ciało staczało się ze stromizny. Nie ma w niej nic charakterystycznego, może jednak pomóc. Nie zabrała pani całego kawałka futra?

- Nie, połowę zostawiłam na głogu. Panna Marple z aprobatą pokiwała głową.

- Całkiem słusznie. Jest pani bardzo inteligentna, moja droga. Policja będzie chciała sprawdzić dokładnie.

- Pójdzie pani na policję z tymi rzeczami?

- Cóż, jeszcze nie tak zaraz... - zastanowiła się panna Marple. - Myślę, że byłoby lepiej najpierw odnaleźć ciało. A jak pani sądzi?

- Z pewnością. Ale czy to nie beznadziejna sprawa? To znaczy, zakładając, że pani przypuszczenia są słuszne. Morderca wypchnął ciało z pociągu, a sam potem z pewnością wysiadł w Brackhampton i kiedyś - prawdopodobnie tej samej nocy - przyszedł i je usunął. Mógł zabrać zwłoki gdziekolwiek.

- Nie gdziekolwiek - powiedziała panna Marple. - Nie wydaje mi się, żeby śledziła pani cały tok rozumowania aż do jego logicznych wniosków, droga panno Eyelesbarrow.

- Proszę mówić mi Lucy. Dlaczego nie gdziekolwiek?

- Bo gdyby tak było, to mógłby znacznie łatwiej zabić tę dziewczynę w jakimś odludnym miejscu i wywieźć stamtąd ciało. Nie doceniłaś...

Lucy przerwała jej.

- Czy pani twierdzi... czy chce przez to powiedzieć... że to była zbrodnia z premedytacją?

- Początkowo tak nie myślałam - powiedziała panna Marple. - Nikt, naturalnie, tak by nie pomyślał. Wyglądało to na kłótnię: mężczyzna traci panowanie nad sobą i dusi, a potem musi w ciągu paru minut rozwiązać problem zwłok. Ale to już zbyt wiele, jak na zbieg okoliczności, żeby zabić dziewczynę w porywie wściekłości, potem wyrzucić z okna i stwierdziwszy, że pociąg jedzie po łuku dokładnie w miejscu, gdzie mógł wypchnąć ciało, być pewnym, że trafi tam później i je usunie. Gdyby je akurat tam wyrzucił przypadkowo, nic więcej by z nim nie zrobił, więc już dawno by zwłoki odnaleziono - urwała. Lucy patrzyła na nią w osłupieniu.

- Wiesz - ciągnęła panna Marple z namysłem - to naprawdę całkiem sprytny sposób zaplanowania zbrodni, a myślę, że ta została obmyślana bardzo starannie. W pociągach jest coś bardzo anonimowego. Gdyby zabił tę kobietę w miejscu, gdzie mieszkała czy przebywała, ktoś mógł zauważyć, jak przychodził czy odchodził. Albo gdyby wywiózł ją gdzieś w głąb kraju, ktoś mógłby zauważyć samochód, jego numery i markę. Ale pociąg pełen jest wsiadających i wysiadających ludzi, zupełnie sobie obcych. W przedziale wagonu bez korytarza, sam na sam z nią, było to całkiem łatwe, szczególnie jeśli zdamy sobie sprawę, że doskonale wiedział, co ma zamiar później zrobić. Wiedział - musiał wiedzieć - o Rutherford Hall i jego położeniu, to znaczy o dziwnym odizolowaniu tego miejsca, niby wyspy otoczonej przez tory.

- Posiadłość jest właśnie taka - powiedziała Lucy.

- Anachroniczna. Hałaśliwe życie miejskie toczące się wokół nie dotyka jej samej. Tylko dostawcy przybywają co rano i to wszystko.

- Zakładamy więc, jak powiedziałaś, że tamtej nocy morderca przybył do Rutherford Hall. Było już ciemno, kiedy ciało wypadło i nikt nie mógł go odkryć przed następnym dniem.

- Rzeczywiście.

- Jak morderca mógł tam dotrzeć? Samochodem? Ale którądy?

Lucy zastanowiła się:

- Jest tam droga wzdłuż fabrycznego muru. Prawdopodobnie przyjechałby tamtędy, skręcił pod wiadukt i pojechał wzdłuż bocznego podjazdu. Później przeszedłby przez płot, poszedł wzdłuż podnóża nasypu, znalazł ciało i zaniósł do samochodu.

- I zawiózł w jakieś uprzednio upatrzone miejsce - dopowiedziała panna Marple. - To wszystko było dobrze przemyślane. A ja, widzisz, nie sądzę, żeby wywiózł zwłoki z terenu Rutherford Hall, a jeśli nawet, to niezbyt daleko. Czy nie byłoby najoczywistszą rzeczą po prostu je gdzieś zakopać? - spojrzała na Lucy pytająco.

- Też tak uważam - przyznała Lucy z namysłem.

- Ale to nie byłoby takie łatwe, jak się wydaje.

Panna Marple zgodziła się:

- Nie zakopałby ciała w parku. Zbyt ciężka praca i łatwa do zauważenia. Raczej gdzieś, gdzie ziemia była już wcześniej kopana? - Może w ogrodzie warzywnym, ale to chyba zbyt blisko domku ogrodnika. Stary jest co prawda głuchy, ale i tak byłoby to ryzykowne.

- Czy jest tam pies?

- Nie.

- Może jakaś szopa albo przybudówka?

- To byłoby prostsze i łatwiejsze. Jest tam sporo nie używanych zabudowań - rozwalone chlewy, wozownie, warsztaty, do których nikt nigdy się nawet nie zbliża. A może wcisnął zwłoki po prostu w kępę rododendronów czy innych krzewów?

Panna Marple pokiwała głową:

- Tak, myślę, że to jest najbardziej prawdopodobnej Rozległo się pukanie do drzwi i wkroczyła groźna Florence z tacą.

- Miło, że ma pani gościa - powiedziała do panny Marple. - Zrobiłam moje specjalne scones, które pani zawsze lubiła.

- Florence zawsze robiła przepyszne ciastka do herbaty - pochwaliła panna Marple.

Usatysfakcjonowana Florence zmięła twarz w zupełnie niespodziewanym uśmiechu i opuściła pokój.

- Myślę, moja droga, że teraz, przy podwieczorku, nie będziemy rozmawiały o morderstwie - zdecydowała panna Marple. - To taki niemiły temat!

II

Po herbacie Lucy podniosła się: - Będę już wracać. Jak mówiłam, nikt z domowników Rutherford Hall nie mógł być tym mężczyzną, którego szukamy. Jest tam tylko starzec, kobieta w średnim wieku i stary, głuchy ogrodnik.

- Nie powiedziałam, że zabójca tam mieszka - powiedziała panna Marple. - Mam na myśli tylko to, że jest kimś, kto doskonale zna Rutherford Hall. Ale do tego przejdziemy, kiedy już znajdziesz ciało.

- Zdaje się, że pani jest pewna, że je odnajdę - uśmiechnęła się Lucy. - Ja nie byłabym wcale taką optymistką.

- Wierzę, że ci się uda, moja droga. Jesteś taka niezawodna.

- W niektórych sprawach czuję się pewnie, ale nie mam żadnego doświadczenia w poszukiwaniu zwłok.

- Sądzę, że wszystko, co jest do tego potrzebne, to odrobina zdrowego rozsądku - stwierdziła panna Marple zachęcająco.

Lucy spojrzała na nią i zaśmiała się, a stara dama odpowiedziała jej uśmiechem.

Następnego popołudnia Lucy zabrała się do pracy. Systematycznie przetrząsała przybudówki, rozchylała krzaki dzikiej róży spowijające chlewy i właśnie przypatrywała się kotłowni pod cieplarnią, kiedy usłyszała suchy kaszel. Odwróciła się i ujrzała starego ogrodnika Hillmana, patrzącego na nią z dezaprobatą.

- Niechże panienka uważa, żeby nie wpaść tam - ostrzegł ją. - Te tu schody nie są dobre. Była panienka na stryszku, a tam podłoga też niepewna.

Lucy starała się nie okazać zakłopotania.

- Myśli pan pewnie, że jestem bardzo wścibska - powiedziała wesoło. - Właśnie zastanawiałam się, czy coś z tego miejsca dałoby się zrobić, na przykład hodować pieczarki na sprzedaż, czy coś takiego. Wszystko tu okropnie zapuszczone.

- To przez naszego pana, przez niego. Nie wyda ani grosza. Winienem tu mieć dwu pomocników i chłopca, żeby utrzymać to miejsce, jak się patrzy, ale on o tym nie chce słuchać, nie. Robiłem wszystko, coby tylko kupił kosiarkę. Chciał, żebym ręcznie kosił cały ten tam trawnik od frontu!

- Ale gdyby dało się coś na tym zarobić, po pewnych remontach?

- Tego miejsca nie da się już wyszykować, żeby zarabiał. Za daleko to zaszło. A poza tym, on ani o to nie dba. Myśli tylko o oszczędzaniu. Dobrze wie, co będzie, jak odejdzie: młodzi panowie wszystko wyprzedadzą, jak tylko będą mogli. Tylko czekają, aż się przekreśli. Dostanie im się niezła sumka, jak mu się zemrze, takżem słyszał.

- Sądzę, że jest bardzo bogaty?

- Zaczął to stary pan, ojciec pana Crackenthorpe. Ostry gość, wszyscy tak mówili. Zrobił masę pieniędzy i pobudował to miejsce. Zdrowy był jak rydz i nigdy nie darował swojej krzywdy. Ale przy tym wszystkim miał hojną rękę. Nie było w nim nic ze sknery. Zawiódł się na obu synach, jak powiadają. Wykształcił ich i wychował jak się należy - Oksford i takie tam. Ale byli z nich za wielcy panowie, żeby chcieli wziąć się za interesy. Młodszy ożenił się z aktorką, a później rozwalił się po pijaku w wypadku samochodowym. Starszy, ten nasz tutaj - nigdy go ojciec nie lubiał. Dużo był za granicą, kupował jakieś pogańskie figurki i przysyłał do domu. Za młodu to nie był taki chciwy na pieniądze, to przyszło na niego później. Nie, nigdy nie żyli blisko, on i ojciec, tak żem słyszał.

Lucy chłoneła te informacje, starając się stwarzać wrażenie uprzejmego zainteresowania. Stary oparł się o ścianę i szykował do kontynuowania swej opowieści. Znacznie bardziej wolał rozmowę od jakiegokolwiek pracy.

- Zmarł przed wojną stary pan. Temperamentny był strasznie. Lepiej mu się było nie stawiać, nigdy by tego nie zniósł.

- A potem, jak umarł, nastał tu obecny pan Crackenthorpe?

- On i jego rodzina, taa. Już byli wtenczas prawie dorośli.

- Ale... Ach, rozumiem, ma pan na myśli wojnę roku 1914!

- Nie, nie mam. Zmarł w 1928, to mam na myśli.

- No, chciałby pan pewno pracować dalej. Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedziała Lucy.

- Ee, tam - wymamrotał Hillman bez entuzjazmu.

- Nie idzie wiele zrobić o tej porze dnia. Światło bardzo kiepskie.

Lucy wróciła do domu, zatrzymując się po drodze, by zbadać obiecująco wyglądające zarośla brzeziny i rododendronów. W hallu zastała Emmę Crackenthorpe, czytającą list. Właśnie doręczono popołudniową pocztę.

- Mój siostrzeniec będzie tu jutro ze swoim szkolnym kolegą. Pokój Aleksandra to ten nad wejściem. Ten obok będzie w sam raz dla Jamesa Stoddard-Westa. Będą korzystali z łazienki naprzeciwko.

- Dobrze, panno Crackenthorpe. Dopilnuję, żeby pokoje były przygotowane.

- Przyjadą rano, przed obiadem - Emma zawahała się. - Będą chyba głodni.

- Jestem pewna, że tak - powiedziała Lucy.

- Pieczeń wołowa, jak pani sądzi? I może ciasto z melasą?

- Aleksander uwielbia ciasto z melasą!

Obaj chłopcy przybyli następnego ranka. Mieli dobrze wyszczotkowane włosy, podejrzanie anielskie twarze i nieskazitelne maniery. Aleksander Eastley był niebieskookim blondynem, Stoddard-West brunetem w okularach. Podczas obiadu dyskutowali z powagą o wydarzeniach w sportowym świecie, od czasu do czasu nawiązując do najnowszej fantastyki naukowej. Ze sposobu zachowania przypominali starszawych profesorów, prowadzących dyskusję o paleolitycznych znaleziskach. Wobec nich Lucy czuła się całkiem młoda.

Wołowina zniknęła w okamgnieniu, a ciasto zostało zjedzone co do okruszka.

- Przeżrecie mi cały dom - mruknął pan Crackenthorpe.

Aleksander rzucił mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Będziemy jeść chleb i ser, skoro nie stać cię na mięso, dziadku.

- Nie stać? Ależ stać. Tylko nie znoszę marnotrawstwa.

- Nic nie zmarnowaliśmy, proszę pana - powiedział Stoddard-West, patrząc na swoje nakrycie, które wyraźnie o tym świadczyło.

- Wy, chłopcy, jecie dwa razy tyle, co ja.

- Jesteśmy w okresie wzrostu - wyjaśnił Aleksander. - Mamy ogromne zapotrzebowanie na proteiny.

Starzec chrząknął tylko.

Kiedy chłopcy wstawali od stołu, Lucy usłyszała, jak Aleksander mówił przeproszającym tonem do przyjaciela:

- Nie zwracaj najmniejszej uwagi na mojego dziadka. Musi być na czymś w rodzaju diety, a to sprawia, że bywa nieraz dziwny. Jest też przeraźliwie skąpy. Myślę, że to jakiś kompleks.

Stoddard-West odpowiedział ze zrozumieniem:

- Miałem ciotkę, która wciąż myślała, że bankrutuje. Naprawdę miała furę pieniędzy. Patologiczne, tak powiedział lekarz. Czy masz tę piłkę, Aleks?

Sprzątnąwszy i zmywszy po obiedzie, Lucy wyszła. Słyszała chłopców pokrzykujących na trawniku w oddali. Sama poszła w przeciwnym kierunku, po głównej alei dojazdowej i stamtąd na przełaj do zwartych kęp rododendronów. Uważnie je przeszukiwała, odchylając liście i zaglądając do środka. Systematycznie przechodziła od kępy do kępy i właśnie grzebała w którejś, kijem golfowym, kiedy uprzejmy głos Aleksandra sprawił, że podskoczyła.

- Czy pani czegoś szuka, panno Eyelesbarrow?

- Piłki golfowej - odparła bez chwili wahania.

- A właściwie to wielu piłek. Ćwiczyłam uderzenia przez kilka popołudni i straciłam całkiem sporo piłek. Pomyślałam, że dzisiaj naprawdę muszę znaleźć przynajmniej niektóre z nich.

- Pomożemy pani - zobowiązał się Aleksander.

- To bardzo uprzejme z waszej strony. Myślałam, że gracie w piłkę.

- Nie sposób bez przerwy kopać piłki - wyjaśnił Stoddard-West. - Można się nadmiernie zgrzać.

Czy pani dużo grywa w golfa?

- Lubię to. Nie mam zbyt wiele okazji.

- Spodziewam się, że nie. Pani zajmuje się tu gotowaniem, czy tak?

- Tak.

- To pani dzisiaj gotowała obiad?

- Tak. Smakował wam?

- Był po prostu cudowny - powiedział Aleksander.

- W szkole dają nam okropne mięso, całkiem suche. Uwielbiam wołowinę, która jest wewnątrz różowa i soczysta. Ciasto też było fantastyczne. - Musicie mi powiedzieć, co lubicie najbardziej.

- Czy moglibyśmy któregoś dnia dostać bezy z jabłkami? To lubię najbardziej.

- Oczywiście. Aleksander sapnął radośnie.

- Pod schodami jest zestaw do minigolfa. Moglibyśmy ustawić go na trawniku i trochę powrzucać. Co o tym sądzisz, Stodders?

- Dobra - powiedział Stoddard-West z australijskim akcentem. Nie miał naprawdę z Australią nic wspólnego, ćwiczył tylko wymowę na wypadek, gdyby rodzice zabrali go tam na przyszłoroczne rozgrywki krykieta.

Zachęceni przez Lucy, poszli po zestaw do golfa. Później, kiedy wracała do domu, zobaczyła, jak rozkładali go na trawniku, spierając się o rozmieszczenie numerów.

- Nie chcemy, żeby był jak tarcza zegara - powiedział Stoddard-West. - To dla dzieci. Chcemy z tego zrobić prawdziwe pole. Krótkie i długie dystanse. Szkoda, że numery są takie zatarte. Prawie wcale ich nie widać.

- Trzeba je tylko pociągnąć białą farbą - poradziła Lucy. - Jutro moglibyście je pomalować.

- Dobry pomysł - twarz Aleksandra rozjaśniła się. - Przypuszczam, że w Długiej Stodole jest parę starych puszek farby, które zostawili malarze podczas zeszłych wakacji. Zobaczymy?

- Co to jest ta Długa Stodoła? - spytała Lucy. Aleksander wskazał na podłużny, kamienny budynek, kawałek drogi od domu, blisko bocznego podjazdu.

- Jest dość stary - powiedział. - Dziadek nazywa to Cieknącą Stodołą i mówi, że pochodzi z czasów elżbietańskich, ale to przechwałki. Należała do farmy, która była tu pierwotnie. Mój pradziadek zburzył stary dom i na jego miejscu wybudował to paskudztwo, w którym teraz mieszkamy. A w Długiej Stodole jest sporo eksponatów z dziadkowej kolekcji - dodał.

- Rzeczy, które przysyłał do domu z zagranicy, kiedy był młody. Większość z nich jest też okropna. Długa Stodoła jest czasami używana do gry w wista i spotkań Women's Institute*. Chodźmy tam.

Lucy towarzyszyła im chętnie. Do stodoły prowadziły duże, nabijane ćwiekami, dębowe dzwierze. Aleksander wyciągnął rękę na prawo, powyżej framugi i z gwoździa pod bluszczem zdjął klucz. Przekręcił go w zamku i pchnął drzwi, które otworzyły się na oścież. Weszli do środka.

Na pierwszy rzut oka Lucy wydało się, że znalazła się w jakimś wyjątkowo podłym muzeum. Marmurowe głowy dwóch cesarzy rzymskich piorunowały ją spojrzeniem wylupiastych oczu, był tam też sarkofag ze schyłkowego okresu greko-romańskiego, uśmiechająca się głupkowato Wenus stała na cokole trzymając kurczowo opadające z niej draperie. Oprócz tych dzieł sztuki, było tam parę składanych stołów, trochę złożonych w stos krzeseł oraz rozmaitość gratów: zardzewiała ręczna kosiarka, dwa wiadra, para zżartych przez mole foteli samochodowych i pomalowana na zielono ławka ogrodowa, która straciła nogę.

- Wydaje mi się, że widziałem farbę gdzieś tam - powiedział niepewnie Aleksander. Podszedł do kąta - i odsunął obszarpaną zasłonę, która go oddzielała od reszty pomieszczenia.

Znaleźli kilka puszek farby i pędzle, zeschnięte i sztywne.

- Potrzebujecie teraz trochę rozpuszczalnika - powiedziała Lucy.

Szukali jednak nadaremnie, więc postanowili, że pojedą rowerami do miasta, żeby go kupić, a Lucy gorąco poparła ten pomysł. Miała nadzieję, że malowanie numerów zajmie ich przez pewien czas.

- Przydałoby się tu trochę posprzątać - zamruczała.

- Nie trudziłbym się tym - powiedział Aleksander. - Sprząta się tu, kiedy stodoła ma być do czegoś używana, ale o tej porze roku praktycznie nic się tu nie dzieje.

- Zawiesić klucz z powrotem na zewnątrz?

- Tam się go trzyma?

- Tak. Wie pani, tu nie ma nawet co ukraść. Nikt nie miałby ochoty na te marmurowe

okropieństwa, a poza tym ważą z tonę.

Lucy zgodziła się z nim. Nie była jakoś w stanie docenić artystycznych gustów pana Crackenthorpe. Zdawał się mieć nieomylny zmysł do wybierania najgorszego egzemplarza z każdego okresu.

Po wyjściu chłopców Lucy stała rozglądając się. Jej wzrok spoczął na sarkofagu i zatrzymał się. Ten sarkofag...

Powietrze w stodole było lekko stęchłe, jak w dawno nie wietrzonym pomieszczeniu. Podeszła do sarkofagu. Miał ciężkie, szczelnie dopasowane wieko. Lucy popatrzyła na nie z namysłem. Wyszła ze stodoły, poszła do domu, znalazła ciężki łom i wróciła.

Nie było to łatwe zadanie, lecz Lucy naciskała wytrwale. Z wolna wieko, podważane łomem, zaczęło się podnosić. Uniosło się wreszcie dostatecznie, aby Lucy mogła zobaczyć, co było pod nim...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Kilka minut później Lucy, dosyć blada, wyszła ze stodoły, zamknęła drzwi i zawiesiła klucz na miejscu.

Wyprowadziła szybko ze stajni swój samochód i wyjechała bocznym podjazdem. Zatrzymała się przed pocztą na końcu ulicy. Weszła do kabiny telefonicznej, włożyła monetę i wykręciła numer.

- Chcę rozmawiać z panną Marple.
- Odpoczywa, panienko. Panna Eyelesbarrow, nieprawdaż?
- Tak.
- Nie będę jej przeszkadzać i kwita, panienko. Jest staruszką i potrzebuje wypoczynku.
- Musi jej pani przeszkodzić. To pilne.
- Nie mam..
- Proszę natychmiast zrobić, co mówię.

Kiedy chciała, potrafiła nadać swemu głosowi twardość stali, a Florencja umiała docenić autorytet, gdy się z nim zetknęła.

Po chwili odezwał się głos panny Marple: - Słucham..

Lucy wzięła głęboki oddech:

- Miała pani całkowitą rację. Znalazłam je.
- Kobięce zwłoki?
- Tak. Kobieta w futrze. Jest w kamiennym sarkofagu, stojącym w czymś pośrednim między stodołą a muzeum, niedaleko od domu. Co mam zrobić? Powinnam chyba zawiadomić policję?
- Tak. Musisz zawiadomić policję. Natychmiast.
- Ale co z resztą? I panią? Pierwszą rzeczą, o jaką pytają, będzie, dlaczego podważałam wieko, ważące całe tony, bez żadnego powodu. Mam wymyślić jakiś powód? Mogę to zrobić.
- Nie - powiedziała panna Marple swoim łagodnym, a zarazem poważnym głosem. - Jedyne, co można zrobić, to powiedzieć całą prawdę.

- O pani?

- O wszystkim.

Niespodziewany uśmiech zagościł na pobladłej twarzy Lucy:

- Dla mnie to będzie dość łatwe. Ale wyobrażam sobie, że im może być raczej trudno w to uwierzyć!

Odłożyła słuchawkę, odczekała chwilę, wykręciła numer i dostała połączenie z posterunkiem policji:

- Właśnie odkryłam zwłoki w sarkofagu w Długiej Stodole przy Rutherford Hall.
- Co takiego?!

Lucy powtórzyła swoje oświadczenie i, uprzedzając następne pytanie, podała personalia.

Pojechała z powrotem, wprowadziła samochód na miejsce i weszła do domu. Przystanęła na moment w hallu, zastanawiając się. Potem gwałtownie kiwnęła głową i zapukała do drzwi biblioteki, gdzie siedziała Emma Crackenthorpe, pomagając ojcu w rozwiązywaniu krzyżówki z "Timesa".

- Czy mogę panią na chwilę prosić, panno Crackenthorpe?

Emma spojrzała na nią z cieniem niepokoju w oczach. Niepokój był, jak pomyślała Lucy, wyłącznie gospodarskiej natury. Takimi słowy zwykle służba domowa obwieszcza swoje natychmiastowe odejście.

- No, mów głośno, dziewczyno, mów głośno - stary pan Crackenthorpe podniósł z irytacją rękę.

Lucy zwróciła się do Emmy.

- Wolałabym pomówić z panią na osobności.

- Bzdury - burknął pan Crackenthorpe. - Mów tu wprost, co masz do powiedzenia.

- Jedną chwilę, ojcze.

Emma wstała i poszła do drzwi.

- Wszystko bzdury. To może zaczekać - powiedział starzec ze złością.

- Obawiam się, że to nie może zaczekać - odparła Lucy.

- Cóż za impertynencja! - wykrzyknął pan Crackenthorpe.

Emma wyszła do hallu. Lucy zamknęła dokładnie drzwi.

- O co chodzi? - zapytała Emma. - Jeśli uważa pani, że jest za dużo roboty z chłopcami tutaj, mogę pani pomóc i...

- Nie w tym rzecz - przerwała Lucy. - Nie chciałam mówić przy pani ojcu, bo rozumiem, że choruje, a to mogłoby przyprawić go o szok. Proszę pani, przed chwilą znalazłam ciało zamordowanej kobiety w tym wielkim sarkofagu w Długiej Stodole.

Emma szeroko otworzyła oczy.

- W sarkofagu? Zamordowana kobieta? To niemożliwe!

- Ale to prawda. Zadzwoiłam na policję. Będą tu lada chwila.

Policzki Emmy lekko się zarumieniły:

- Powinna była pani najpierw powiedzieć mnie, przed zawiadomieniem policji. - Przykro mi.

- Nie słyszałam, jak pani dzwoniła - spojrzenie Emmy powędrowało do telefonu na stoliku.

- Dzwoniłam z poczty na końcu ulicy.

- Ależ to zadziwiające. Czemu nie stąd?

Lucy zastanawiała się tylko przez moment:

- Obawiałam się, że chłopcy mogliby gdzieś być w pobliżu... i usłyszeć, gdybym dzwoniła stąd, z hallu.

- Rozumiem... Tak... Rozumiem... Przyjeżdżają... mam na myśli policję?

- Już tu są - powiedziała Lucy. Jakiś samochód wjechał z piskiem hamulców przed drzwi wejściowe, a w całym domu rozległ się dzwonek.

II

- Przykro mi, doprawdy, niezwykle przykro, że musiałem panią o to prosić - tłumaczył się inspektor Bacon.

Trzymając Emmę pod rękę, wyprowadził ją ze stodoły. Jej twarz była bardzo blada, wyglądała, jakby było jej niedobrze, ale szła sztywno wyprostowana.

- Jestem całkowicie pewna, że nigdy w życiu nie widziałam tej kobiety.

- Bardzo pani dziękujemy. To wszystko, co chciałem wiedzieć, panno Crackenthorpe. Może zechce się pani położyć?

- Muszę iść do ojca. Zatelefonowałam do doktora Quimpera, jak tylko się o tym dowiedziałam i teraz jest przy nim.

Doktor Quimper wyszedł z biblioteki, kiedy przechodzili przez hali. Był wysokim, dobrodusznym mężczyzną o swobodnym, nieco nawet nonszalanckim sposobie bycia, który jego pacjenci uważali za niezwykle krzepiący.

Doktor oraz inspektor ukłonili się sobie.

- Panna Crackenthorpe bardzo dzielnie zniosła to przykre zadanie - stwierdził inspektor Bacon.

- Podziwiam cię, Emmo - doktor ujął ją pod ramię. - Potrafisz znieść wiele. Zawsze to wiedziałem. Twój ojciec czuje się dobrze. Wejdz po prostu i zamień z nim kilka słów, a potem idź do jadalni i nalej sobie kieliszek koniaku. To ci przepisuję.

Emma uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i weszła do biblioteki.

- Ta kobieta to złoto - powiedział lekarz, patrząc za nią. - Wielka szkoda, że nie wyszła za męża. Przekleństwo jedynej kobiety w rodzinie samych mężczyzn. Jej siostra się wyrwała, poślubiła młodego oficera, kiedy miała siedemnastkę, zdaje się. A Emma jest naprawdę całkiem ładną kobietą. Byłaby wspaniała jako żona i matka.

- Zbyt oddana ojcu? - spytał inspektor Bacon.

- Tak naprawdę to wcale nie jest taka oddana, ale ma to instynktowne dążenie do uszczęśliwiania swoich mężczyzn, jakie mają niektóre kobiety. Widzi, że ojciec lubi być inwalidą, więc mu na to pozwala. Taka sama jest wobec braci. Cedryk czuje przy niej, że jest dobrym malarzem; ten - jak mu tam - Harold, wie, jak bardzo siostra polega na jego zdrowym rozsądku; cierpliwie wysłuchuje szokujących opowieści Alfreda o jego sprytnych transakcjach. O tak, jest mądrą kobietą. Cóż, czy jestem panu na coś potrzebny? Czy mam popatrzeć na pańskiego trupa, kiedy Johnstone już z nim skończy (Johnstone był lekarzem policyjnym) i sprawdzić, czy nie jest to przypadkiem jeden z moich błędów w sztuce lekarskiej? - Rzeczywiście, chciałbym, żeby pan rzucił na nią okiem. Chcielibyśmy ją zidentyfikować. Obawiam się, że dla starego pana Crackenthorpe byłoby to zbyt silne przeżycie?

- Przeżycie? Bzdury! Nigdy nie wybaczyłby ani panu, ani mnie, gdybyśmy nie dali mu zerknąć. Siedzi cały jak na szpilkach. Najbardziej podniecająca rzecz, jaka przytrafiła mu się od piętnastu lat lub coś koło tego i... nie będzie go kosztować ani pensa!

- Więc nic poważnego mu nie dolega?

- Ma siedemdziesiąt dwa lata - powiedział doktor. - To wszystko, co mu dolega. Od czasu do czasu ma bóle reumatyczne - któż ich nie ma? On nazywa je artretyzmem. Po jedzeniu miewa palpacje - czemu miałby nie mieć? - mówi, że to serce. A wolno mu robić wszystko, co chce! Mam mnóstwo takich pacjentów. Ci naprawdę chorzy zwykle desperacko upierają się, że są zupełnie zdrowi. Chodźmy więc zobaczyć to wasze ciało. Przykre to, jak sądzę?

- Johnstone ocenia, że kobieta nie żyje już - od dwóch lub trzech tygodni.

- A więc dość przykre.

Doktor stał przy sarkofagu i patrzył z nieskrywanym zainteresowaniem, zawodowo obojętny wobec tego, co nazwał "przykrością".

- Nigdy przedtem jej nie widziałem w Brackhampton. To żadna z moich pacjentek. Musiała być ładna... hm... Ktoś ją niezłe załatwił.

Wyszli na powietrze. Doktor Quimper spojrzał na budynek.

- Znaleziona w jak... jak to zwą? Długa Stodoła - w sarkofagu! Fantastyczne! Kto ją znalazł?

- Panna Lucy Eyelesbarrow.

- Nowa pomoc domowa? A po cóż ona grzebała w tym sarkofagu?!

- O to właśnie mam zamiar ją zapytać - powiedział inspektor Bacon groźnie. - Wracając do pana

Crackenthorpe. Czy mógłby pan?...

- Przyprawdżę go.

Pan Crackenthorpe, okutany szalikami, przydreptał żwawo z doktorem u boku.

- Haniebne - powiedział. - Absolutnie haniebne! Przywiozłem ten sarkofag z Florencji w... zaraz... to musiało być w 1908... a może to był 1909?

- Teraz spokojnie - ostrzegł go doktor. - To nie będzie przyjemne, wie pan.

- Niezależnie od tego, jak bardzo jestem chory, muszę spełnić swój obowiązek, prawda?

Bardzo krótka wizyta wewnątrz Długiej Stodoły okazała się wystarczająco długa, by pan Crackenthorpe z zadziwiającą chyżością poczłapał z powrotem na świeże powietrze.

- Nigdy w życiu jej nie widziałem! Co to znaczy? To doprawdy haniebne. To nie była Florencja, teraz pamiętam, to był Neapol. Bardzo cenny okaz. I jakieś głupie babsko musiało tu przyjść i dać się w nim zabić!

Chwycił się za fałdy grubego płaszcza:

- To dla mnie za wiele... Moje serce... Gdzie Emma? Doktorze...

Quimper chwycił go pod rękę:

- Wszystko będzie w porządku. Przepisuję mały środek wzmacniający. Brandy.

Obaj poszli w kierunku domu.

- Sir, prosimy...

Inspektor Bacon odwrócił się. Na rowerach przyjechali dwaj chłopcy, bez tchu, z twarzami o błagalnym wyrazie.

- Sir, czy możemy zobaczyć ciało?

- Nie, nie możecie - odparł inspektor.

- Och, tak bardzo pana prosimy, sir Nigdy nie wiadomo. A może wiemy, kim była. Prosimy pana, sir, no niech pan będzie równy. To nie w porządku. Jest morderstwo, właśnie tu, w naszej stodole. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć. Niech pan będzie równy, sir.

- A kim wy jesteście?

- Ja jestem Aleksander Eastley, a to mój przyjaciel James Stoddard-West.

- Czy kiedykolwiek widzieliście, gdzieś tu w okolicy, blondynkę w jasnym, farbowanym futrze z wiewiórek?

- Cóż, nie mogę sobie dokładnie przypomnieć - powiedział przebiegle Aleksander. - Gdybym mógł spojrzeć...

- Wprowadź ich, Sanders - rozkazał inspektor Bacon konstablowi stojącemu przy drzwiach stodoły.

- Raz tylko jest się młodym!

- Och sir, dziękujemy, dziękujemy panu bardzo! - wykrzykiwali obaj chłopcy. - To bardzo uprzejme z pana strony!

Bacon zwrócił się ku domowi.

- A teraz po pannę Lucy Eyelesbarrow - mruknął do siebie zasepiony.

Zaprowadziwszy policję do stodoły, po zwięzłym przedstawieniu swoich działań, Lucy usunęła się w cień wydarzeń, ale nie miała najmniejszych złudzeń, że jej rola się skończyła.

Właśnie przygotowywała ziemniaki na frytki, kiedy przyniesiono jej wiadomość, że inspektor Bacon domaga się jej obecności. Odłożywszy na bok dużą miskę solonej wody, w której spoczywały pokrojone ziemniaki, Lucy poszła za policjantem do inspektora. Usiadła i spokojnie czekała na pytania. Podała swoje imię i nazwisko oraz londyński adres, a od siebie dodała:

- Podam panu kilka nazwisk i adresów, pod którymi może pan spytać o moje referencje.

Nazwiska były bardzo dobre: admirała, dziekana jednego z kolegów oksfordzkich oraz pewnej damy Imperium Brytyjskiego. Wbrew sobie, inspektor Bacon był pod wrażeniem.

- A więc, panno Eyelesbarrow, poszła pani do Długiej Stodoły, żeby znaleźć nieco farby. Czy tak? Znalazłszy farbę, wzięła pani łom, podważyła wieko sarkofagu i znalazła ciało. Czego pani szukała w tym sarkofagu?

- Szukałam ciała - powiedziała Lucy.

- Szukała pani ciała - i znalazła! Czyż nie wydaje się to pani nader niezwykłą historią?

- O, tak, to niezwykła historia. Może pozwoli pan, że to wyjaśnię.

- Oczywiście, myślę, że lepiej będzie, jeśli to pani zrobi.

Lucy opowiedziała mu dokładnie o wydarzeniach, które doprowadziły do jej sensacyjnego odkrycia.

Inspektor podsumował wzburzonym głosem:

- Została pani wynajęta przez pewną staruszkę, która poleciła pani przyjąć tu posadę, aby poszukać zwłok na terenie posiadłości, czy tak?

- Tak.

- Kim jest ta staruszka?

- Panna Jane Marple. Przebywa obecnie przy Madison Road pod numerem czwartym. Inspektor zapisał.

- Czy oczekuje pani, że uwierzę w tę historię?

Lucy odpowiedziała łagodnie:

- Chyba nie, dopóki nie rozmówi się pan z panną Marple i nie uzyska potwierdzenia moich słów.

- A pewnie, że się z nią rozmówię. Musi być stuknięta.

Lucy powstrzymała się od stwierdzenia, iż to, że ktoś, jak się okazuje, ma rację, nie jest dowodem choroby umysłowej. Zamiast tego spytała:

- Co pan zamierza powiedzieć pani Crackenthorpe? To znaczy, o mnie?

- Czemu pani pyta?

- Cóż, jeśli chodzi o pannę Marple, to wykonałam już zlecenie. Znalazłam ciało, które miałam odszukać. Ale wciąż pracuję u panny Crackenthorpe, a w domu jest dwóch głodnych chłopców. Prawdopodobnie, po tym całym zamieszaniu wkrótce zjedzie się tu jeszcze więcej rodziny. Panna Crackenthorpe potrzebuje pomocy domowej. Jeśli powie jej pan, że po to tylko przyjąłem tę posadę, żeby szukać zwłok, to najprawdopodobniej mnie wyrzuci. Gdyby się jednak nie dowiedziała prawdy, mogłabym pracować dalej i być jej pomocną.

Inspektor popatrzył na nią twardo.

- Nic nikomu teraz nie powiem. Nie sprawdziliśmy jeszcze pani oświadczeń. Mogła pani przecież to wszystko zmyślić.

Lucy wstała.

- Dziękuję panu. Wracam więc do kuchni i biorę się do roboty.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I

- Chyba lepiej, żebyśmy wciągnęli w to Scotland Yard, czy nie uważasz, Bacon? - komisarz okręgowy spojrzał badawczo na inspektora Bacona. Inspektor był dużym, flegmatycznym mężczyzną, o wyrazie twarzy kogoś do głębi zde gustowanego niedoskonałością świata.

- Ta kobieta nie była tutejsza, sir - powiedział.

- Są pewne podstawy do przypuszczeń, na przykład jej bielizna, że mogła być cudzoziemką. Rzecz jasna - dodał pośpiesznie - jeszcze tego na razie nie ujawniamy. Trzymamy to w zanadrzu, aż do rozprawy u koronera.

Komisarz pokiwał głową.

- Rozprawa będzie, zdaje się, czystą formalnością?

- Tak, sir. Widziałem się z koronerem.

- I ustalona jest na... kiedy?

- Na jutro. Wiem, że przybędą na nią pozostali członkowie rodziny Crackenthorpe. Będą tu wszyscy.

Zajrzał do trzymanej w ręku listy.

- Harold Crackenthorpe jest dosyć ważną figurą w City, o ile mi wiadomo. Alfred - nie wiem dokładnie, czym się zajmuje. Cedryk - to ten, który mieszka za granicą. Maluje!

Inspektor położył na tym słowie nacisk pełen niechęci. Komisarz uśmiechnął się pod wąsem. - Nie ma chyba żadnej podstawy do twierdzenia, że rodzina Crackenthorpe była w jakikolwiek sposób w to zamieszana?

- Żadnej, poza tym, że ciało znaleziono na ich terenie - powiedział inspektor Bacon. - No i oczywiście jest jeszcze możliwe, że ten artystyczny członek rodziny mógłby je zidentyfikować. Czego nie mogę zrozumieć, to tej niezwyklej bzdury o pociągu.

- Ach, tak. Był pan u tej staruszki, tej... ee... - zajrzał do notatki na biurku. - Panny Marple?

- Tak, sir. I jest całkiem przekonana o słuszności swojej wersji wydarzeń. Czy jest stuknięta, czy nie, nie wiem, ale uparcie trzyma się swojej historii o tym, co widziała jej przyjaciółka i o tej całej reszcie. Dla mnie to tylko nabieranie, takie jak te wszystkie rzeczy wymyślane przez staruszki, te latające talerze widziane na końcu ogrodu i rosyjscy szpiedzy w bibliotece publicznej. Ale z całą pewnością wynajęła dziewczynę, tę damę-pomoc domową, każąc jej szukać ciała. Toteż szukała.

- I znalazła - zauważył komisarz. - Cóż, to bardzo szczególna historia. Marple, panna Jane Marple, skądś znam to nazwisko... W każdym razie, zwrócę się do Scotland Yardu. Myślę, że ma pan rację: to nie jest lokalna sprawa, choć nie będziemy tego jeszcze nagłaśniać. Na razie jak najmniej informacji dla prasy.

II

Rozprawa u koronera była czystą formalnością. Nie stawił się nikt, kto mógłby zidentyfikować zmarłą. Wezwano Lucy do złożenia zeznania o odkryciu zwłok i przedstawiono orzeczenie lekarskie o przyczynie zgonu: uduszenie. Następnie rozprawę odroczone.

Było zimno i wietrznie, kiedy rodzina Crackenthorpe wychodziła z sali, w której odbyła się rozprawa. Pojawili się wszyscy: Emma, Cedryk, Harold, Alfred i Bryan Eastley, mąż ich zmarłej siostry Edyty. Był też pan Wimborne, główny udziałowiec firmy prawniczej, zajmującej się sprawami rodziny. Przyjechał specjalnie z Londynu, mimo niewygód, aby uczestniczyć w rozprawie. Przez chwilę wszyscy stali na chodniku drżąc z zimna. Obok zebrał się spory tłumek; sensacyjne szczegóły o "trupie w sarkofagu" opublikowała prasa, zarówno lokalna, jak i londyńska.

Rozległy się stłumione głosy:

- To oni...

Emma powiedziała ostro:

- Uciekajmy stąd.

Do krawężnika podjechał duży, wynajęty daimler. Emma wsiadła pierwsza i gestem zaprosiła Lucy. Zmieścili się także pan Wimborne, Cedryk i Harold. Bryan Eastley oznajmił:

- Wezmę Alfreda moim wspaniałym pojazdem. Szofer zamknął drzwi i daimler szykował się do odjazdu.

- Och, proszę poczekać! - krzyknęła Emma. - Tam są chłopcy!

Obu, mimo gwałtownych protestów, zostawiono w Rutherford Hall, a nagle pojawili się uśmiechnięci od ucha do ucha.

- Przyjechaliśmy na rowerach - wyjaśnił Stoddard-West. - Policjant był bardzo miły i wpuścił nas na tył sali. Mam nadzieję, że nie gniewa się pani, panno Crackenthorpe - dodał grzecznie. - Nie gniewa się - odpowiedział za siostrę Cedryk.

- Tylko raz jest się młodym. To chyba wasza pierwsza rozprawa?

- Jesteśmy raczej rozczarowani - powiedział Aleksander. - Tak szybko było po wszystkim.

- Nie możemy tu stać i rozmawiać - powiedział Harold z irytacją. - Zebrał się już niezły tłum. I ci wszyscy ludzie z aparatami!

Na dany przez niego znak kierowca ruszył. Chłopcy pomachali wesoło rękami.

- "Tak szybko po wszystkim"! - powtórzył Cedryk.

- Tak myślą, biedne niewiniątka. To dopiero początek.

- Cała sprawa jest bardzo niefortunna. Nader niefortunna. - stwierdził Harold. - Sądzę...

Spojrzał na pana Wimborne, który, zacisnąwszy swe wąskie usta, z niesmakiem pokręcił głową:

- Mam nadzieję, że wszystko wkrótce się wyjaśni. Policja była bardzo szybka. Jednakże cała ta sprawa, jak powiedział Harold, jest nader niefortunna.

Mówiąc to patrzył na Lucy, a jego pełen dezaprobaty wzrok zdawał się mówić: gdyby nie ta kobieta, wtykająca nos w nie swoje sprawy, nic z tego by się nie zdarzyło.

Taki właśnie pogląd, albo bardzo zbliżony, wyartykułował Harold Crackenthorpe:

- Tak na marginesie, panno... ee... ee... Eyelesbarrow, co sprawiło, że zajrzała pani do tego sarkofagu?

Lucy zaczynała się już zastanawiać, komu z rodziny przyjdzie do głowy ta myśl. Wiedziała, że policja od razu zada to pytanie; zaskoczyło ją, że nie nasunęło się aż do tej pory nikomu innemu.

Cedryk, Emma, Harold i pan Wimborne - wszyscy teraz na nią patrzyli.

Odpowiedź, cokolwiek by była warta, miała, naturalnie, od pewnego już czasu przygotowaną.

- Doprawdy nie wiem... - odezwała się niepewnie.

- Wydawało mi się, że całe tamto miejsce potrzebowało dokładnego posprzątania i wyczyszczenia. Był tam też - zawahała się - bardzo szczególnie i nieprzyjemny zapach...

Słusznie liczyła na natychmiastową i pełną odrazy reakcję wszystkich na ten przykry szczegół. Pan Wimborne wymruczał:

- Tak, tak, oczywiście... Lekarz policyjny powiedział: około trzech tygodni... Myślę, wie pani, że powinniśmy spróbować o tym raczej zapomnieć... - uśmiechnął się krzepiąco do Emmy, która mocno pobladła.

- Pamiętajmy, że ta przeklęta kobieta nie miała nic wspólnego z żadnym z nas.

- Ale tego nie może pan być taki zupełnie pewien, prawda? - powiedział Cedryk.

Lucy spojrzała na niego z zainteresowaniem. Zaintrygowały ją już wcześniej uderzające wręcz różnice w wyglądzie trzech braci. Cedryk był dużym mężczyzną z ogorzałą twarzą, rozczochranymi włosami i wesołym usposobieniem: Przyjechał z lotniska nieogolony, i choć u koronera stawił się już bez zarostu, wciąż miał na sobie to samo ubranie, w którym przyjechał i które było prawdopodobnie jego jedynym: znoszone spodnie z szarej flaneli, połatana, wytarta i powypychana marynarka. Wyglądał jak teatralna wersja przedstawiciela bohemy i był z tego dumny.

Brat Harold był jego przeciwieństwem - doskonały okaz gentlemana z City, dyrektora ważnych spółek. Wysoki, wyprostowany i elegancki w ruchach, miał ciemne włosy, lekko rzędzące na skroniach i czarne wąsiki. Nieskazitelnie ubrany w ciemny, dobrze skrojony garnitur z perłowoszarym krawatem, wyglądał na tego, kim był w istocie: rozsądnego, odnoszącego sukcesy biznesmena. Z naganą w głosie odezwał się do brata: - Doprawdy, Cedryku, to bardzo niestosowna uwaga.

- A to czemu? W końcu była w naszej stodole. Po co tam przyszła?

Pan Wimborne odkaszlnął.

- Prawdopodobnie, jakaś hm... schadzka. O ile się nie mylę, było powszechnie wiadome w okolicy, że klucz trzyma się na gwoździu przy wejściu.

Ton jego głosu sugerował bezwzględne potępienie lekkomyślności takiego postępowania. Było to tak wyraźne, że Emma uznała za konieczne usprawiedliwić się:

- Klucz zaczęło się zostawiać w czasie wojny. Był tam mały grzejnik spirytusowy i wartownicy z obrony przeciwlotniczej podgrzewali sobie na nim kakao. A ponieważ nie było tam nic cennego, dalej zostawialiśmy klucz na gwoździu, teraz dla wygody pań z Women's Institute. Gdybyśmy go trzymali w domu, mogłoby to być krępujące, kiedy nie było nikogo w domu, a one chciałyby skorzystać z pomieszczenia. Mając tylko dochodzącą służbę, żadnej na stałe w domu...

Mówiła to mechanicznie, wyjaśniając sprawę klucza obszernie, choć bez zaangażowania, jakby była myślami gdzieś daleko.

Zaniepokojony Cedryk zerknął na nią:

- Martwisz się, siostrzyczko. Co ci jest?

Harold oburzył się:

- Ależ Cedryku, jak możesz pytać?!

- A tak, pytam. Zgadza się, że obca, młoda kobieta dała się zabić w stodole Rutherford Hall, co brzmi jak wiktoriański melodramat, zgadza się też, że Emma przeżyła w pewnym momencie wstrząs, ale była zawsze rozsądną dziewczynką i nie rozumiem, czemu dalej się martwi. Przecież do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Przyzwyczajanie się do morderstwa może u niektórych trwać trochę dłużej, niż w twoim wypadku - powiedział Harold kwaśno. - Spodziewam się, że na Majorce są one rzeczą zgoła powszednią i...

- Na Ibizie, nie na Majorce.

- To to samo.

- Ależ nie, to dwie zupełnie różne wyspy.

Harold ciągnął niezrażony:

- Chodzi mi o to, że choć zbrodnia może i jest dla ciebie, mieszkającego pośród gorąckrwistych południowców, czymś zwyczajnym, jednak my, tu w Anglii, takie rzeczy traktujemy poważnie. I doprawdy, Cedryku - dodał z rosnącą irytacją - pojawiać się na publicznej rozprawie w takim stroju...

- Coś jest nie tak z moimi ciuchami? Są wygodne.

- Ale niestosowne.

- No cóż, w każdym razie są to jedyne ciuchy, jakie mam ze sobą. Nie spakowałem mojego kufra na garderobę, kiedy wyruszałem w pośpiechu do domu, żeby być z rodziną w tych trudnych chwilach. Jestem malarzem, a malarze lubią się czuć swobodnie w swoich ubraniach.

- A więc wciąż próbujesz malować?

- Słuchaj, Harold, kiedy mówisz "próbujesz malować..."

Pan Wimborne chrząknął karcąco:

- Ta dyskusja jest bezcelowa. Mam nadzieję, droga Emmo, że powiesz mi, czy mógłbym być wam jeszcze w jakikolwiek sposób pomocny, zanim udam się z powrotem do Londynu?

Upomnienie poskutkowało. Emma Crackenthorpe powiedziała prędko:

- To było bardzo uprzejme, że zechciał pan tu do nas przyjechać.

- Ależ nie ma o czym mówić. Było wskazane, żeby ktoś był na rozprawie, aby w imieniu rodziny śledzić postępowanie. Umówiłem się w domu na spotkanie z inspektorem. Nie mam wątpliwości, że niezależnie od tego, jak bardzo było to przykre, sytuacja niebawem się wyjaśni. Moim zdaniem, nie ma najmniejszych wątpliwości, co się wydarzyło. Jak powiedziała Emma, w okolicy wiadano, że klucz do Długiej Stodoły wisi na zewnątrz. Wydaje się wysoce prawdopodobne, że miejsce to było wykorzystywane w miesiącach zimowych przez okoliczne parki jako miejsce schadzek. Niewątpliwie miała miejsce kłótnia i jakiś młodzieniec stracił nad sobą panowanie. Przerażony swoim uczynkiem, zatrzymał spojrzenie na sarkofagu, uświadamiając sobie, że byłby doskonałym schowkiem.

Lucy pomyślała, że to brzmi bardzo sensownie. Dokładnie tak każdy mógłby to widzieć.

- Mówi pan: okoliczna parka, a nikt w okolicy nie potrafił zidentyfikować tej dziewczyny - rzekł Cedryk.

- Jest jeszcze za wcześnie. Niewątpliwie niebawem zostanie zidentyfikowana. Jest też, oczywiście, możliwe, że to mężczyzna był stąd, a dziewczyna przybyła skądinąd, może z jakiejś innej części Brackhampton. Brackhampton jest duże - w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo się rozrosło.

- Na miejscu dziewczyny, mającej się spotkać ze swoim chłopakiem, nie zgodziłbym się na randkę w lodowato zimnej stodole, tak oddalonej od miasta - zaprotestował Cedryk. - Raczej wolałbym się trochę poprzytulać w kinie, a pani, panno Eyelesbarrow?

- Czy naprawdę musimy w to wszystko wnikać? - zapytał Harold cierpięciznym tonem.

Ledwie skończył, samochód zajechał przed fronton Rutherford Hall, gdzie wszyscy wysiedli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I

Wchodząc do biblioteki, pan Wimborne lekko skinął głową i spojrzał swoim przenikliwym wzrokiem na inspektora Bacona, z którym się poznał wcześniej, a potem na jasnowłosego, przystojnego mężczyznę stojącego obok.

Inspektor Bacon dokonał prezentacji.

- Detektyw-inspektor Craddock ze Scotland Yardu.

- Scotland Yard - hm... - brwi pana Wimborne uniosły się.

- Włączono nas do tej sprawy, panie Wimborne - wyjaśnił Dermot Craddock. - A ponieważ reprezentuje pan interesy rodziny Crackenthorpe, uważam, że powinniśmy przekazać panu pewne poufne informacje.

Nikt lepiej od niego nie potrafiłby odegrać przedstawienia bardzo niewielkiej części prawdy jako jej całości.

- Jestem pewien, że inspektor Bacon nie będzie miał nic przeciwko temu - dodał, zerkając na kolegę.

Inspektor Bacon wyraził zgodę z należytą powagą, nie zdradzając niczym, że cała rzecz była z góry ustalona.

- Wygląda to tak - powiedział Craddock. - Mamy powody przypuszczać na podstawie zebranych informacji, że zmarła nie zamieszkiwała w tych stronach, że przyjechała tu z Londynu i że niedawno przybyła z zagranicy. Prawdopodobnie - choć tego nie jesteśmy pewni - z Francji.

- Doprawdy? - pan Wimborne ponownie uniosł brwi.

- W związku z tym komisarz okręgowy stwierdził, że do prowadzenia śledztwa w tej sprawie właściwy będzie Scotland Yard - wyjaśnił inspektor Bacon.

- Mam tylko nadzieję, że zostanie prędko zakończone - powiedział pan Wimborne. - Jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, cała ta historia, stała się przyczyną wielkich nieprzyjemności dla całej rodziny. Choć ich osobiście nie dotyczy... - przerwał ledwie na sekundę, ale inspektor Craddock szybko wykorzystał te pauzę:

- To nic przyjemnego znaleźć zamordowaną kobietę na terenie swojej posiadłości. Ma pan całkowitą słuszność. Teraz chciałbym odbyć krótką rozmowę z każdym z rodziny...

- Zupełnie nie wiem...

- Co mogliby mi powiedzieć? Pewnie nic interesującego, ale nigdy nie wiadomo. Spodziewam się, że większość istotnych dla mnie informacji mogę uzyskać od pana. Informacji o tym domu i o rodzinie.

- A cóż to mogłaby mieć wspólnego z nieznaną młodą kobietą, która przybyła z zagranicy i dała się tu zabić?

- W tym właśnie sedno sprawy - odpowiedział Craddock. - Dlaczego tu przyjechała? Czy była kiedyś w jakikolwiek sposób związana z tym domem? Czy kiedyś, na przykład, była tu służącą? Może pokojówką? Czy przyjechała tu, żeby spotkać się z kimś z poprzednich mieszkańców Rutherford Hall?

Pan Wimborne odparł chłodno, że w Rutherford Hall, od kiedy Josiah Crackenthorpe zbudował go w roku 1884, zawsze mieszkała rodzina Crackenthorpe.

- To samo w sobie jest interesujące - powiedział Craddock. - Gdyby zechciał pan przedstawić mi w skrócie historię rodziny...

Pan Wimborne wzruszył ramionami.

- Nie ma tu wiele do opowiadania. Josiah Crackenthorpe był fabrykantem słodczy, przekąsek, dodatków kuchennych, marynat i tak dalej. Zebrał ogromną fortunę. Wybudował ten dom. Teraz mieszka tutaj Luther Crackenthorpe, jego starszy syn.

- A inni synowie?

- Miał tylko dwóch. Henry zginął w wypadku samochodowym w 1911 roku.

- Czy obecny właściciel nigdy nie myślał o sprzedaży domu?

- Zgodnie z testamentem ojca, nie może tego zrobić - powiedział sucho prawnik.

- Może opowiedziałby mi pan o testamencie?

- Po co?

- Bo jeśli zechcę, to zajrzę do rejestrów sądowych. Mimo woli pan Wimborne uśmiechnął się niewyraźnie.

- Rzeczywiście, inspektorze. Protestowałem tylko dlatego, że informacja, o którą pan pyta, jest całkowicie nieistotna. Po prostu Josiah Crackenthorpe ustanowił zarząd powierniczy na swoim bardzo okazałym majątku, z którego dochód ma być dożywotnio wypłacany jego synowi, Lutherowi, a po jego śmierci całość zostanie równo podzielona między dzieci Luthera: Edmunda, Cedryka, Harolda, Alfreda, Emmę i Edytę. Edmund zginął na wojnie, a Edyta zmarła cztery lata temu, więc Luther ma obecnie pięciu spadkobierców: Cedryka, Harolda, Alfreda, Emmę i syna Edyty, Aleksandra.

- A dom?

- Przejdzie na najstarszego żyjącego syna pana Luthera Crackenthorpe lub jego potomstwo.

- Czy Edmund Crackenthorpe był żonaty?

- Nie.

- A więc posiadłość przypadnie...

- Następemu synowi, Cedrykowi. - Pan Luther Crackenthorpe nie może inaczej zadysponować?

- Nie.

- I sam nie ma żadnej kontroli nad majątkiem?

- Nie.

- Czy to nie dziwne? Wydaje mi się, że ojciec niezbyt go lubił - spytał inspektor Craddock.

- Dobrze się panu wydaje - powiedział Wimborne. - Stary Josiah był rozczarowany, że jego starszy syn nie przejawiał zainteresowania rodzinnym interesem, a właściwie interesami w ogóle. Luther spędzał czas podróżując za granicę i zbierając dzieła sztuki. Stary Josiah sprzeciwiał się takiemu stylowi życia, zostawił więc pod zarządem pieniądze dla następnego pokolenia.

- Ale wobec tego następne pokolenie nie ma żadnych środków do życia, oprócz tego, co sami zarabiają, lub co da im ojciec, który, co prawda, ma niezły dochód, ale żadnego prawa do

rozporządzania majątkiem.

- Dokładnie tak. Ale co to wszystko ma wspólnego z zabójstwem nieznannej młodej kobiety obcego pochodzenia, tego nie mogę sobie wyobrazić!

- Nic nie wskazuje na to, żeby mogło mieć - natychmiast zgodził się inspektor Craddock. - Chciałem się po prostu upewnić co do wszystkich faktów.

Pan Wimborne spojrział na niego przenikliwie, i wstał, najwyraźniej zadowolony z rezultatu swoich oględzin.

- Chciałbym teraz powrócić do Londynu, o ile panowie nie życzą sobie dowiedzieć się jeszcze czegoś.

Spojrzał na nich kolejno.

- Nie, dziękujemy panu uprzejmie.

Za drzwiami, w hallu, rozległ się fortissimo dźwięk gongu.

- A niech mnie, jeśli to nie sprawa któregoś z chłopców - powiedział pan Wimborne, Inspektor Craddock podniósł głos, żeby być słyszonym wśród piekielnego hałasu:

- Zostawimy teraz rodzinę, żeby mogła w spokoju zjeść obiad, ale chcielibyśmy obaj z inspektorem Baconem wrócić tu, powiedzmy piętnaście po drugiej i przeprowadzić z każdym z domowników krótką rozmowę.

- Uważa pan to za konieczne?

- Cóż... - Craddock wzruszył ramionami. - Działamy na ślepo. Ktoś mógłby zapamiętać jakiś szczegół, który pomógłby ustalić tożsamość tej kobiety.

- Wątpię, inspektorze. Bardzo wątpię. Ale życzę powodzenia. Jak przed chwilą mówiłem, im szybciej ta niesmaczna sprawa się wyjaśni, tym lepiej dla wszystkich - kręcąc głową wolno wyszedł z pokoju.

II

Wróciwszy z rozprawy, Lucy poszła prosto do kuchni. Była zajęta przygotowywaniem obiadu, kiedy zajrzał tam Bryan Eastley.

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - zapytał. - Umiem sobie dawać radę w pracach domowych.

Lucy spojrziała na niego uważnie. Bryan przyjechał prosto na rozprawę swoim małym MG i nie miała jeszcze okazji, by mu się przypatrzeć.

Na pierwszy rzut oka sprawiał korzystne wrażenie. Był sympatycznym, około trzydziestoletnim szatynem o trochę smutnych oczach. Miał duże, jasne wąsy.

- Chłopcy jeszcze nie wrócili - powiedział i usiadł na skraju kuchennego stołu. - Powrót na rowerach zajmie im jeszcze ze dwadzieścia minut. Lucy uśmiechnęła się:

- Na pewno byli zdecydowani nie przepuścić takiej okazji.

- Nie ma co ich potępiać. To pierwsza rozprawa sądowa w ich młodym życiu, i to, że tak powiem, w rodzinie.

- Czy nie mógłby pan zejść ze stołu, panie Eastley? Chciałabym tu położyć formę do pieczenia.

Bryan posłuchał.

- Widzę, że ten tłuszcz jest strasznie gorący. Co pani chce do niego włożyć?

- Yorkshire pudding.

- Dobry, stary Yorkshire. Pieczeń wołowa po staroangielsku, czy to jest w menu na dziś?

- Tak.

- Pachnie ładnie - z uznaniem pociągnął nosem.

- Nie przeszkadza pani moja gadanina?

- Skoro przyszedł pan tu pomóc, to proszę pomagać - wyjęła z piekarnika drugą formę. - O, niech pan poodwraca wszystkie ziemniaki, żeby się równo zarumieniły.

Bryan ochoczo zabrał się do dzieła.

- Czy to wszystko pichciło się tu, kiedy byliśmy na rozprawie? A gdyby się przypaliło?

- To zupełnie nieprawdopodobne. W piekarniku jest regulator temperatury.

- Taki mózg elektryczny, co? Zgadza się?

Lucy rzuciła na niego okiem:

- Właśnie. Proszę teraz włożyć blachę do piekarnika. Niech pan weźmie ściereczkę. Na dół. Góry potrzebuję na Yorkshire pudding.

Bryan posłuchał, ale w pewnej chwili wrzasnął.

- Oparzony?

- Tylko trochę. Nieważne. Cóż to za niebezpieczna zabawa, gotowanie!

- Pan chyba nigdy sobie nie gotuje?

- Wprost przeciwnie - dosyć często. Ale nie takie wspaniałości. Umiem ugotować jajko, jeśli nie zapomnę spojrzeć na zegarek. Umiem też robić jaja na bekonie. I wiem, jak włożyć do grilla stek i otworzyć puszkę. Mam w domu jedno takie cudo, z tych małych, elektrycznych.

- Mieszka pan w Londynie?

- Jeśli nazywa to pani mieszkaniem, to tak - zabrzmiało to jakoś smutno. Patrzył, jak Lucy błyskawicznie wypełniała formę masą na pudding:

- To bardzo przyjemne - westchnął.

Mając za sobą najpilniejsze obowiązki, Lucy przyjrzała mu się baczniej.

- Co? Ta kuchnia?

- Tak. Przypomina mi naszą kuchnię w domu, kiedy byłem małym chłopcem.

Uderzyło Lucy, że Bryan Eastley sprawiał wrażenie dziwnie przygnębionego i osamotnionego. Był starszy, niż początkowo myślała. Musiał zbliżać się do czterdziestki. Trudno było sobie wyobrazić, że to ojciec Aleksandra. Przypominał jej wielu młodych pilotów, których знаła w czasie wojny, kiedy była w imponującym wieku lat czternastu. Ona dorosła do powojennego świata, ale miała wrażenie, że Bryan gdzieś się zatrzymał, że został jakoś "wyprzedzony" przez upływające lata. Jego następna wypowiedź to odczucie potwierdziła. Znów przysiadł na stole kuchennym:

- To trudny świat, prawda? To znaczy, żeby się nie pogubić. Nie było się do tego przeszkolonym.

Lucy przypominała sobie, co usłyszała od Emmy:

- Był pan pilotem myśliwca, prawda? Dostał pan D.F.C.*

- To jedna z tych rzeczy, które źle człowieka ustawiają. Ma się to świedelko i ludzie starają się wszystko ułatwiać. Dawać pracę i tak dalej. Bardzo to ładnie z ich strony. Ale to są wszystko jakieś papierkowe zajęcia, a do tego po prostu się człowiek nie nadaje. Do siedzenia za biurkiem i plątania się w liczbach. Miałem własne pomysły, wie pani, próbowałem raz czy dwa. Ale na to nie dostałem wsparcia. Nie można znaleźć facetów, którzy chcieliby wyłożyć pieniądze. Gdybym miał trochę kapitału...

Zamyślił się ponuro:

- Nie znała pani Edyty, mojej żony, prawda? Nie, oczywiście, że nie. Była całkiem inna od wszystkich w tej rodzinie. Raz, że młodsza. Była w W.A.A.F.* Zawsze mówiła, że jej stary jest stuknięty. Bo jest, wie pani. Kutwa jak diabli. A pieniędzy ze sobą do grobu nie zabierze. Jak umrze,

mają być rozdzielone. Część Edyty pójdzie oczywiście dla Aleksandra. Ale nie będzie mógł ich nawet dotknąć, zanim nie będzie pełnoletni.

- Przepraszam, ale czy mógłby pan jeszcze raz zejść ze stołu? Chciałabym nałożyć na półmiski i polać sosem.

W tym momencie weszli do kuchni Aleksander i Stoddard-West, zaróżowieni i mocno zadyszani.

- Cześć, Bryan - Aleksander przywitał ojca grzecznie. - To tu się znalazłeś! Ale fantastyczna wołowina! Jest Yorkshire pudding!

- I owszem.

- W szkole dostajemy okropny Yorkshire pudding, mokry i oklapły.

- Z drogi! - powiedziała Lucy. - Chcę przelać sos.

- Dużo sosu! Będą dwie sosjerki?

- Tak.

- Fajnie! - w okrzyku Stoddarda-Westa brzmiał entuzjazm.

- Tylko nie lubię, jak jest blady - zaniepokoił się Aleksander.

- Nie będzie blady.

- Ona fantastycznie gotuje! - zwrócił się do ojca Aleksander.

Lucy miała przez chwilę wrażenie, że ich role uległy zamianie. Aleksander zwracał się do swego ojca, jak dobry ojciec do syna.

- Czy możemy pani pomóc, panno Eyelesbarrow? - spytał Stoddard-West uprzejmie.

- Tak, możecie. Aleksander, idź uderz w gong. James, zanieś tę tacę do jadalni? Weźmie pan pieczeń, panie Eastley? Ja wniosę ziemniaki i pudding.

- Jest tu człowiek ze Scotland Yardu - powiedział Aleksander. - Czy będzie jadł z nami?

- Zależy, co postanowiła twoja ciotka.

- 'Nie sadzę, żeby ciotka Emma miała coś przeciwko temu. Jest bardzo gościnna. Ale myślę, że nie spodoba się to wujkowi Haroldowi. Jest zupełnie nieznośny przez to morderstwo. - Aleksander poszedł z tacą ku drzwiom, dorzucając przez ramię garść dodatkowych informacji:

- Pan Wimborne jest w bibliotece z człowiekiem ze Scotland Yardu. Ale nie zostanie na obiedzie. Powiedział, że musi wracać do Londynu. Chodź, Stoddard... Aha, poszedł do gongu.

W tym momencie gong zagłuszył wszystko. Stoddard-West był prawdziwym artystą. Dał się całkowicie pochłonać bębnieniu. Wszelkie dalsze próby konwersacji zostały stłumione. Bryan wniósł pieczone, za nim weszła Lucy z ziemniakami i wróciła jeszcze do kuchni po obie sosjerki.

Pan Wimborne stał w hallu, wkładając rękawiczki, kiedy Emma zbiegła ze schodów:

- Czy na pewno nie zostanie pan na obiedzie? Wszystko jest gotowe.

- Nie, dziękuję. Mam ważne spotkanie w Londynie. W pociągu jest wagon restauracyjny.

- Bardzo miło z pańskiej strony, że zechciał pan przyjechać - powiedziała Emma z wdzięcznością.

Obaj policjanci wyłonili się z biblioteki. Pan Wimborne ujął Emmę za rękę:

- Nie ma czym się martwić, moja droga - rzekł uspokajająco. - To detektyw-inspektor Craddock ze Scotland Yardu, który przybył przejąć tę sprawę. Wróci tu o drugiej piętnaście, aby porozmawiać z wami wszystkimi, co mogłoby okazać się przydatne w śledztwie. Ale, jak mówiłem, nie ma się czym martwić.

Spojrzał na Craddocka:

- Mogę powtórzyć pani Crackenthorpe to, co pan mi powiedział?

- Oczywiście, sir.

- Inspektor Craddock oznajmił mi właśnie, że to niemal z całą pewnością nie była sprawa lokalna. Uważa się, że zamordowana kobieta przyjechała z Londynu i była prawdopodobnie cudzoziemką.

Emma Crackenthorpe zareagowała gwałtownie:

- Cudzoziemka! Czy była Francuzką?

Pan Wimborne zapewne spodziewał się, że jego wypowiedź podziała uspokajająco, toteż zdawał się lekko zaszokowany. Dermot Craddock przerzucił szybko wzrok z niego na twarz Emmy. Zastanawiał się, skąd jej nagły wniosek, że zamordowana była Francuzką i dlaczego ta myśl do tego stopnia ją wzburzyła?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Jedynymi, którzy oddali sprawiedliwość znakomitemu obiadowi Lucy, byli chłopcy oraz Cedryk Crackenthorpe, na którego okoliczności stanowiące przyczynę jego powrotu do Anglii, zdawały się nie mieć żadnego wpływu. Wydawało się nawet, że uważa całą sprawę za dość dobry dowcip z gatunku makabrycznych.

To podejście, jak zauważyła Lucy, było całkowicie niestrawne dla jego brata Harolda, który zapewne traktował morderstwo jak osobistą obrazę dla rodziny Crackenthorpe, a jego oburzenie było tak wielkie, że prawie wcale nie jadł. Emma wyglądała na zmartwioną czy nieszczęśliwą; jadła także bardzo mało. Alfred, zatopiony w swoich myślach, mówił bardzo niewiele. Był całkiem przystojnym mężczyzną ze smagłą, szczupłą twarzą i oczami osadzonymi trochę za blisko siebie.

Po obiedzie wrócili policjanci i spytali uprzejmie, czy mogliby zamienić kilka słów z panem Cedrykiem Crackenthorpe.

Inspektor Craddock był nastawiony bardzo miło i przyjaźnie.

- Proszę usiąść, panie Crackenthorpe. O ile wiem, właśnie powrócił pan z Balearów? Mieszka pan tam?

- Od sześciu lat. Na Ibizie. Bardziej mi odpowiada, niż ten ponury kraj. - Przypuszczam, że ma pan znacznie więcej słońca od nas - zgodził się inspektor Craddock. - Był pan w domu wcale nie tak dawno temu, jak wiem, dokładnie na Boże Narodzenie. Co sprawiło, że konieczny stał się pański ponowny przyjazd tutaj, po tak krótkim czasie?

Cedryk uśmiechnął się szeroko:

- Dostałem telegram od Emmy, mojej siostry. Do tej pory nigdy nie mieliśmy morderstwa w posiadłości. Nie chciałem nic stracić z tej historii, więc przybyłem.

- Interesuje się pan kryminalistyką?

- Och, nie ubierajmy tego w takie napszone słowa! Po prostu lubię kryminały - te Kto To Zrobił i tak dalej. Mając Kto To Zrobił na samym progu rodzinnego domu, poczułem życiową okazję. Ponadto pomyślałem, że biedna Em może potrzebować odrobiny pomocy, żeby dać sobie radę ze starym, policją i tą całą resztą.

- Rozumiem. Poruszyło to pańską żyłkę detektywa oraz pańskie uczucia rodzinne. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pańska siostra będzie panu niezmiernie wdzięczna, chociaż obaj pozostali bracia też przyjechali, żeby być przy niej.

- Ale nie żeby ją pocieszać i wspierać - odparł mu Cedryk. - Harold jest okropnie rozdrażniony. Zupełnie nie pasuje do potentata z City być zamieszany w zabójstwo podejrzanej kobiety.

Brwi Craddocka delikatnie się uniosły.

- A była podejrzana?

- Cóż, w tej sprawie to pan jest autorytetem. Na podstawie faktów wydało mi się to możliwe.

- Pomyślałem sobie, że, być może, mógłby pan spróbować zgadnąć, kim była?

- No, inspektorze, przecież pan już wie, albo pańscy koledzy powiedzą to panu, że nie potrafiłem jej zidentyfikować.

- Powiedziałem: zgadnąć, panie Crackenthorpe. Mógł pan nigdy przedtem nie widzieć tej kobiety, ale przecież mógł pan zgadnąć, kim była, albo kim mogłaby być?

Cedryk pokręcił głową.

- Trafił pan pod niewłaściwy adres. Nie mam najmniejszego pojęcia. Sugeruje pan, jak sądzę, że mogła przyjść do stodoły na schadzki z którymś z nas? Ale żaden z nas tu nie mieszka. Jedynymi ludźmi w tym domu byli kobieta i starzec. Nie myśli pan chyba na serio, że przyszła tu na randkę z moim szanownym papciem?

- Chodzi o to, a inspektor Bacon zgadza się tu ze mną, że uduszona mogła być kiedyś w jakiś sposób związana z tym domem. Mogło to być wiele lat temu. Proszę się cofnąć pamięcią w przeszłość.

Cedryk pomyślał przez moment i pokręcił głową:

- Miewaliśmy czasem służbę z zagranicy, jak większość, ale nikt z nich nie przychodzi mi do głowy. Niech pan lepiej zapyta innych. Będą wiedzieć więcej ode mnie.

- Zrobię to z całą pewnością - Craddock oparł się wygodnie na krześle. - Jak pan słyszał na rozprawie, badanie lekarskie nie mogło zbyt dokładnie ustalić czasu śmierci. Więcej niż dwa tygodnie, mniej niż cztery - sprowadza się to do okresu gdzieś około świąt. Powiedział mi pan, że przyjechał do domu na święta. Kiedy pan przybył do Anglii i kiedy pan z niej wyjechał?

Cedryk zastanowił się:

- Zaraz... Leciałem. Dotarłem tu w sobotę przed świętami, dwudziestego pierwszego.

- Leciał pan prosto z Majorki?

- Tak. Wyleciałem o 5 rano, a tu byłem w południe.

- A wyjechał pan?...

- Odleciałem w piątek, dwudziestego siódmego.

- Dziękuję panu.

Cedryk uśmiechnął się szeroko:

- Umieszcza mnie to dokładnie w tym przedziale czasu, niestety. Ale naprawdę, inspektorze, duszenie młodych kobiet nie jest moją ulubioną rozrywką świąteczną.

- Mam nadzieję, panie Crackenthorpe.

Inspektor Bacon tylko spojrzał z dezaprobatą.

- Byłby w takim działaniu zasadniczy brak pokoju dobrej woli, zgodzi się pan? - Cedryk skierował to pytanie do inspektora Bacona, który w odpowiedzi tylko coś mruknął niewyraźnie. Inspektor Craddock rzekł przejmie:

- Cóż, dziękujemy panu, panie Crackenthorpe. To wszystko.

Kiedy Cedryk zamknął za sobą drzwi, Craddock spytał:

- I co pan o nim sądzi?

Bacon znów mruknął:

- Taki nadęty, że zdolny do wszystkiego - powiedział. - Nie lubię takich. Nieodpowiedzialna banda, ci artyści, i często zadają się z kobietami o złej reputacji.

Craddock uśmiechnął się.

- I nie podoba mi się sposób, w jaki się ubiera - mówił dalej Bacon. - Żeby pójść tak ubranym na rozprawę! Żadnego szacunku! Najbrudniejsze spodnie, jakie od dawna widziałem. A ten krawat? Wyglądał na zrobiony z kolorowego sznurka. Jeśliby mnie ktoś pytał, to on jest z takich, co udusiliby kobietę i ani by się wejrzeli.

- Cóż? tej nie udusił, jeżeli przed dwudziestym pierwszym nie wyjechał z Majorki. A to możemy łatwo sprawdzić.

Bacon rzucił mu badawcze spojrzenie:

- Widzę, że jeszcze pan nie pokazuje swojej karty z dokładną datą zabójstwa.

- Nie, potrzymamy ją na razie nie odkrytą. Zawsze lubię mieć coś w rękawie we wczesnych fazach śledztwa.

Bacon pokiwał głową z pełną aprobatą:

- Zaskoczyć ich tym, kiedy przyjdzie czas. To świetny pomysł.

- A teraz - powiedział Craddock - zobaczmy, co ma nam o tym wszystkim do powiedzenia nasz szacowny gentleman z City.

Harold Crackenthorpe, zaciskający wąskie wargi, miał o tym wszystkim bardzo niewiele do powiedzenia. To było nader niesmaczne, bardzo niefortunne wydarzenie. Obawia się, że gazety... Reporterzy, z tego co wie, już prosili o wywiady... Wszystkie te sprawy... Doprawdy, pożałowania godne...

Skończyło się staccato niedokończonych zdań Harolda. Oparł się na krześle z miną kogoś, kto zetknął się z bardzo brzydkim zapachem.

Sondaż prowadzony przez inspektora nie przyniósł żadnego rezultatu. Nie, nie ma pojęcia, kim była, ani kim mogła być ta kobieta. Tak, był na świętach w Rutherford Hall. Nie mógł przybyć przed Wigilią, ale został przez cały weekend.

- A więc to wszystko - rzekł inspektor Craddock, nie naciskając. Był pewien, że Harold Crackenthorpe nie zamierza być pomocny.

Zajął się teraz Alfredem, który wszedł do pokoju z nieco przesadną nonszalancją. Craddock patrzył na niego z niejasnym wrazeniem, że go skądś zna. Na pewno gdzieś już przedtem widział tego właśnie członka rodziny, a może jego zdjęcie było w gazecie? Z tym wspomnieniem wiązało się coś kompromitującego. Spytał Alfreda o zawód i otrzymał niejasną odpowiedź.

- W tej chwili działam w ubezpieczeniach. Dotychczas interesowałem się wprowadzaniem na rynek nowego typu urządzenia telekomunikacyjnego. Zupełny przewrót w tej dziedzinie. Właściwie bardzo dobrze na tym wyszedłem.

Inspektor Craddock wydawał się pełen uznania. Nikt nie mógłby zgadnąć, że dostrzegł tandetną elegancję garnituru Alfreda i właściwie oszacował jego niewielką wartość. Strój Cedryka był wytarty niemal do ostatniej nitki, ale został ongiś dobrze skrojony ze znakomitego materiału. W tym zaś była tania szykowność, która mówiła sama za siebie. Craddock przeszedł lekko do swego stałego zestawu pytań. Alfred wydawał się zainteresowany, a nawet nieco rozbawiony.

- To ciekawy pomysł, że ta kobieta mogła kiedyś tu pracować. Nie jako pokojówka; wątpię, żeby moja siostra kiedykolwiek miała coś takiego. Nie przypuszczam, żeby w dzisiejszych czasach ktokolwiek miał pokojówki. Ale, oczywiście, pojawia się sporo zagranicznej służby. Mieliśmy Polki i jedną czy dwie nieobliczalne Niemki. Ale to, że Emma nie rozpoznała tej kobiety, wyklucza, jak sądzę, panie inspektorze, wasz pomysł. Emma ma bardzo dobrą pamięć wzrokową. Nie, jeśli ta kobieta przyjechała z Londynu... A właśnie, skąd wiecie, że przyjechała z Londynu?

Rzucił to pytanie na pozór od niechcenia, ale patrzył przy tym bystro i uważnie.

Inspektor Craddock uśmiechnął się i pokręcił głową. Alfred spojrzał na niego przenikliwie:

- Nie powiecie, co? Może bilet powrotny w kieszeni płaszcza. Zgadłem?

- Być może, panie Crackenthorpe.

- Cóż, zakładając, że przyjechała z Londynu, gość z którym miała się spotkać, wpadł na pomysł, że Długa Stodoła byłaby miejscem w sam raz na ciche morderstwo... Najwyraźniej zna tutejsze stosunki. Na pańskim miejscu szukałbym go gdzieś w pobliżu, inspektorze.

- Robimy to - powiedział inspektor Craddock i nadał tym dwóm słowom brzmienie spokojne i pewne. Podziękował Alfredowi i pozwolił mu odejść.

- Wie pan - powiedział do Bacona - gdzieś już tego gościa przedtem widziałem...

Inspektor Bacon wydał swoją opinię:

- Ostry klient - powiedział. - Taki ostry, że czasem się zatnie.

II

- Nie sędzę, żeby panowie chcieli mnie widzieć - powiedział przepaszająco Bryan Eastley wchodząc do pokoju i zawahał się przy drzwiach. - Właściwie nie należę do rodziny...

- Chwileczkę. Nazywa się pan Bryan Eastley, i był pan mężem Edyty Crackenthorpe, zmarłej cztery lata temu?

- Tak jest.

- Cóż, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony, szczególnie jeśli wie pan o czymś, co by nam mogło pomóc w jakikolwiek sposób.

- Ale nie wiem. Chciałbym, żeby tak było. Cała sprawa jest tak cholernie dziwna, prawda? Przyjeżdża tutaj i spotyka się z jakimś facetem w tej starej, zimnej stodole, w środku zimy. Mnie by to nie odpowiadało.

- Rzeczywiście, to bardzo skomplikowane - zgodził się inspektor Craddock. - Czy to prawda, że była z zagranicy? Zdaje się, że coś w tym sensie się mówiło.

- Czy ten fakt coś panu sugeruje? - inspektor spojrzał na niego ostro, ale Bryan, choć pełen dobrej woli, niczego nie wiedział.

- Nie, nic.

- Może była Francuzką? - powiedział inspektor Bacon z ukrytą intencją.

Bryana to lekko poruszyło. Wyraz zainteresowania pojawił się w jego niebieskich oczach. Począł podkręcać swe duże, jasne wąsy.

- Naprawdę? Wesoła Francuzeczka? - pokręcił głową. - To chyba czyni okoliczności zabójstwa jeszcze mniej prawdopodobnym? Mam na myśli igraszki w stodole. Mieliście jeszcze inne morderstwa w sarkofagach? Jeden z tych facetów z obsesją albo kompleksem? Myśli, że jest Kaligulą albo kimś podobnym?

Inspektor Craddock nie zadał sobie nawet trudu, żeby odrzucić te spekulacje. Zamiast tego spytał lekkim tonem:

- Nikt z rodziny nie ma żadnych francuskich powiązań czy... czy... związków, o których byłoby panu wiadomo?

Bryan odparł, że rodzina Crackenthorpów to niezbyt rozrywkowe towarzystwo.

- Harold jest przykładnie żonaty z córką jakiegoś zubożałego lorda, kobietą o rybiej twarzy. Nie sędzę też, żeby Alfred zbyt interesował się kobietami. Spędza życie wchodząc w wątpliwe interesy, które się zwykle nie udają. Spodziewam się, że Cedryk ma na Ibizie kilka hiszpańskich

seniorit, skaczących dla niego przez obręcz. Kobiety raczej ulegają Cedrykowi. Nie zawsze się goli i wygląda, jakby nigdy nie robił prania. Nie wiem, dlaczego miałyby to być atrakcyjne dla kobiet, ale najwidoczniej tak jest... I co, nie jestem zbyt pomocny?

Uśmiechnął się do nich szeroko:

- Lepiej weźcie do tego Aleksandra. On i James Stoddard-West prowadzą poszukiwania na wielką skalę. Założę się, że na coś wpadną.

Inspektor Craddock wyraził nadzieję, że tak się stanie. Podziękował Bryanowi i powiedział, że chciałby rozmawiać z Emmą Crackenthorpe.

III

Inspektor przyjrzał się Emmie Crackenthorpe baczniej niż poprzednio. Wciąż zastanawiał się nad wyrazem jej twarzy, który spostrzegł przed obiadem.

Spokojna kobieta. Niegłupia, ale i niezbyt błyskotliwa. Jedna z tych miłych, dających poczucie bezpieczeństwa kobiet, które mężczyźni skłonni są traktować jak coś oczywistego, a które posiadły sztukę stwarzania domu, nadawania mu atmosfery spokoju i harmonii. Taka, pomyślał, jest Emma Crackenthorpe. Osoby takie, jak ona są często nie doceniane. Pod spokojną powierzchownością kryje się jednak siła charakteru, z którą należy się liczyć. Być może, pomyślał Craddock, klucz do zagadki kobiety z sarkofagu spoczywa w głębi duszy Emmy. Takie myśli przychodziły mu do głowy, kiedy zadawał jej rozmaite błahe pytania.

- Sądzę, że dużo już pani powiedziała inspektorowi Baconowi, nie będę więc musiał zbytnio pani męczyć.

- Proszę pytać, o co tylko pan chce.

- Jak powiedział pan Wimborne, doszliśmy do wniosku, że zmarła nie mieszkała w tych stronach. Może to być dla pani pocieszające - pan Wimborne tego chyba się spodziewał - ale dla nas to poważne utrudnienie. Trudniej ją będzie zidentyfikować.

- I niczego przy sobie nie miała - torebki, dokumentów?

Craddock pokręcił głową:

- Żadnej torebki, pusto w kieszeniach.

- Nie macie pojęcia, jak się nazywała, skąd była, w ogóle nic?

Craddock pomyślał sobie: bardzo chce wiedzieć, wręcz musi wiedzieć, kim jest ta kobieta. Zastanawiam się, czy tak było od samego początku? Bacon nie odniósł takiego wrażenia, a jest bystry...

- Nic o niej nie wiemy - powiedział. - Dlatego mieliśmy nadzieję, że ktoś z państwa będzie mógł nam pomóc. Czy pani jest pewna, że nie mogłaby? Nawet jeśli pani jej nie rozpoznała, czy nie przypuszcza pani, kim mogła być?

Zauważył, ale może mu się tylko zdawało, że nastąpiła króciutka pauza, zanim odparła:

- Nie mam zupełnie pojęcia.

W sposób niezauważalny zachowanie inspektora Craddocka zmieniło się. Dało się to odczuć tylko w lekkim stwardnieniu tonu jego głosu.

- Kiedy pan Wimborne powiedział, że kobieta była cudzoziemką, dlaczego założyła pani, że Francuzką?

Emma nie dała się zbić z tropu. Uniosła tylko lekko brwi:

- Tak zrobiłam? Ach tak, zdaje się, że tak. Doprawdy nie wiem, dlaczego. Chyba tylko dlatego, że zawsze się każdemu wydaje, że wszyscy cudzoziemcy są Francuzami, zanim się nie przekona, jakiej

naprawdę są narodowości. Większość cudzoziemców w tym kraju to Francuzi, prawda?

- No, tego bym raczej nie powiedział, panno Crackenthorpe. Nie teraz. Mamy u siebie ludzi z tylu różnych krajów, z Włoch, Niemiec, Austrii, z całej Skandynawii...

- Tak, myślę, że ma pan rację.

- Nie ma pani żadnego szczególnego powodu, żeby przypuszczać, że zamordowana mogła być Francuzką?

Nie spieszyła się z zaprzeczeniem. Pomyślała przez chwilę i niemal z żalem pokręciła głową.

- Nie, naprawdę nie mam - powiedziała.

Nie umknęła swymi spokojnymi oczami przed jego spojrzeniem. Craddock zerknął na inspektora Bacona, który pochylił się i pokazał małą, emaliowaną puderniczkę:

- Czy pani to rozpoznaje, panno Crackenthorpe? Wzięła ją i dokładnie obejrzała.

- Nie. Z całą pewnością nie jest moja.

- Nie wie pani, do kogo należała?

- Nie.

- A więc myślę, że nie będziemy pani - na razie - dłużej zajmować.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się zdawkowo, wstała i wyszła. Może znowu mu się tylko wydawało, ale inspektor Craddock miał wrażenie, że szła dosyć szybko, jakby z pewną ulgą.

- Wie coś? - zapytał Bacon.

- Na pewnym etapie jest się skłonny myśleć, że każdy wie nieco więcej, niż chce nam powiedzieć - powiedział inspektor Craddock z rozzaleniem w głosie.

- I zwykle tak rzeczywiście jest - Bacon miał spore doświadczenie w tym względzie. - Tyle, że zazwyczaj nie ma to żadnego związku ze sprawą. Jakiś mały, rodzinny grzeszek czy głupia zadra, ale ludzie nie chcą ich wywlekać na światło dzienne.

- Tak, wiem. No cóż, przynajmniej... Cokolwiek jednak inspektor Craddock zamierzał powiedzieć, nigdy nie zostało wypowiedziane, gdyż przez raptownie otwarte drzwi do pokoju wczłapał stary pan Crackenthorpe w stanie najwyższego wzburzenia.

- A to pięknie! Scotland Yard wchodzi tu sobie, nie będąc nawet tak uprzejmym, by wpierw porozmawiać z głową rodziny! Kto jest panem tego domu, chciałbym wiedzieć? Kto, pytam? Kto tu jest gospodarzem?

- Pan, rzecz jasna, panie Crackenthorpe - zapewnił go Craddock wstając. - Ale wiemy, że powiedział pan już wszystko, co pan wiedział inspektorowi Baconowi, a ze względu na stan pańskiego zdrowia nie chcieliśmy pana niepokoić. Doktor Quimper przestrzegł...

- Spodziewam się, spodziewam się. Jestem słaby... A co do Quimpera, to stara baba z niego. Znakomity lekarz, zna moje przypadłości, ale najchętniej trzymałby mnie pod szklanym kloszem. Ma bzika na punkcie żywności. Uwziął się na mnie w czasie świąt, kiedy miałem lekką niedyspozycję: co jadłem, kiedy, kto gotował, kto podawał? Wszystko brednie! Ale choć zdrowie mam kiepskie, to czuję się na siłach, żeby pomóc wam, jak tylko będzie to w mojej mocy. Morderstwo w moim własnym domu... W każdym razie, w mojej własnej stodole! A to ciekawy budynek. Elżbietański. Tutejszy architekt powiedział, że nie, ale facet nie wie, o czym mówi. Ani dnia później niż rok 1580! Ale nie o tym mówiliśmy. Co panowie chcą wiedzieć? Jaka jest wasza obecna teoria?

- Jest jeszcze trochę za wcześnie na teorie, panie Crackenthorpe. Wciąż staramy się dowiedzieć, kim była ta kobieta.

- Cudzoziemka, mówicie?

- Tak sądzimy.

- Szpieg?

- Powiedziałbym, że to raczej mało prawdopodobne.

- Powiedziałaby pan, powiedziałaby! Oni są wszędzie, ci ludzie. Infiltrują! Czemuż to Home Office* ich tu wpuszcza? Założę się, że szpiegują tajemnice przemysłowe. Oto, co robiła!

- W Brackhampton?

- Wszędzie tu są fabryki. Jedna tuż za moją boczną bramą.

Craddock posłał pytające spojrzenie Baconowi, który odpowiedział:

- Pudełka metalowe.

- Skąd pan wie, co wytwarzają naprawdę? Nie należy od razu wierzyć w to, co panu mówią. No dobrze, skoro nie była szpiegiem, to kim? Myślicie, że kręciła z którymś z moich szacownych synów? Jeśli z którymś z nich, to z Alfredem. Nie z Haroldem, on jest zbyt ostrożny. Cedryk nie zniża się do tego, żeby mieszkać w tym kraju. No dobrze, a więc była to spódniczka Alfreda. A jakiś brutalny facet przyszedł tu za nią, myśląc, że miała się z nim spotkać, i ją załatwił. No i co wy na to?

Inspektor Craddock powiedział dyplomatycznie, że jest to z całą pewnością jakaś teoria, ale jednak Alfred jej nie rozpoznał.

- Ba, to cały Alfred! Zawsze był tchórzem. Zawsze też był kłamcą! Wyłgiwał się bezczelnie w żywe oczy. Wszyscy moi synowie są do niczego. Stado sępów, czekających na moją śmierć - oto ich główne zajęcie w życiu. I poczekają sobie! - zachichotał. - Nie umrę szybko, żeby zrobić im uprzejmość. Cóż, jeśli nic więcej nie mogę dla panów zrobić... Jestem zmęczony. Muszę odpocząć - poczłapał z powrotem.

- Spódniczka Alfreda? - powiedział wątpiaćco Bacon. - Sądzę, że stary to sobie po prostu wymyślił. - Zawahał się. - Moim zdaniem Alfred jest tu zupełnie w porządku. Może facet czasem coś kręci niezupełnie legalnie, ale to teraz nie nasza sprawa. Już raczej zastanawia mnie ten były lotnik.

- Bryan Eastley?

- Tak. Spotkałem już paru takich jak on. Można powiedzieć, że dryfują po świecie - za wcześnie zetknęli się z niebezpieczeństwem, ryzykiem i śmiercią. Teraz życie jest dla nich mialkie, mialkie i niesatysfakcjonujące. W pewnym sensie skrzywdziliśmy ich. Chociaż naprawdę nie wiem, co można było zrobić. Są samą przeszłością, bez przyszłości. I nie są z tych, co by nie korzystali z nadarzającej się okazji. Normalni ludzie instynktownie działają w granicach bezpieczeństwa, i to nie tyle z poczucia zasad moralności, co raczej z ostrożności. Ale ci się nie boją - w ogóle nie ma w ich słowniku czegoś takiego, jak bezpieczna gra. Gdyby Eastley kręcił coś z kobietą i chciał ją zabić... - przerwał i machnął ręką bezsilnie. - Ale dlaczego miałby chcieć ją zabijać? A jeśli już nawet by zabił, to dlaczego miałby ją wsadzać do sarkofagu swojego teścia? Nie, gdyby mnie kto pytał, to nikt z nich nie miał nic wspólnego z morderstwem. Gdyby było inaczej, to nie wrabialiby się sami, ukrywając zwłoki, że tak powiem, pod własnym progiem.

Craddock zgodził się, że to raczej nie miałyby sensu.

- Ma pan tu coś jeszcze do zrobienia?

Craddock zaprzeczył. Bacon zaproponował więc herbatę w Brackhampton, ale inspektor Craddock powiedział, że chce tam wpaść do kogoś znajomego z dawnych czasów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I

Panna Marple, siedząc wyprostowana na tle porcelanowych pieszków i pamiątek znad morza, uśmiechnęła się z zadowoleniem do inspektora Dermota Craddocka:

- Jestem rada, że to akurat pana przydzielono do tej sprawy. Taką właśnie miałam nadzieję.

- Jak tylko dostałem pani list, poszedłem z nim prosto do szefa. Przypadkiem tak się złożyło, że właśnie chwilę wcześniej dowiedział się o wezwaniu nas przez ludzi z Brackhampton, którym się wydawało, że to nie było przestępstwo miejscowe. Szef bardzo się zainteresował tym, co miałem mu do opowiedzenia na pani temat. Musiał już wcześniej o pani słyszeć, przypuszczam, że od mojego ojca chrzestnego.

- Drogi sir Henry - westchnęła czule panna Marple.

- Zmusił mnie, żebym mu opowiedział wszystko o historii w Little Paddocks. A chce pani wiedzieć, jak skomentował sprawę Rutheford Hall?

- Proszę powtórzyć, jeżeli nie będzie to nadużyciem zaufania.

- Powiedział: "Cóż, ponieważ to zupełnie pokręcona historia, zmyślona przez dwie staruszki, które, co już kompletnie nieprawdopodobne, miały rację i ponieważ znał pan wcześniej jedną z nich, zlecam panu tę sprawę".

I oto jestem! A teraz, droga panno Marple, co dalej? To nie jest, jak pani zapewne wie, oficjalna wizyta. Nie mam ze sobą mojego totumfackiego. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy najpierw trochę porozmawiać prywatnie. Panna Marple uśmiechnęła się:

- Jestem pewna, że nikt, kto zna pana tylko służbowo, nigdy by nie zgadł, że potrafi pan być taki ludzki i przystojniejszy niż zwykle - proszę się nie czerwieniść... A teraz, co już panu dokładnie wiadomo?

- Mam chyba wszystko. Zeznanie pani przyjaciółki, Elspeth McGillicuddy, złożone na posterunku policji w St Mary Mead, potwierdzenie jej oświadczenia przez konduktora, kartkę do zawiadowcy stacji w Brackhampton. Mogę stwierdzić, że dochodzenie prowadzone było najzupełniej prawidłowo przez zaangażowanych w tę sprawę ludzi - kolejarzy i policję. Ale nie ma wątpliwości, że przechytrzyła ich pani za pomocą zgoła fantastycznego zgadywania.

- Nie zgadywałam - powiedziała panna Marple. - I miałam jedną wielką przewagę nad nimi. Znam Elspeth. Żaden z nich jej nie znał. Nie było żadnego potwierdzenia jej słów, a ponieważ nie było doniesień o zaginięciu kobiety, potraktowano ją, co zupełnie zrozumiałe, jak staruszkę wymyślającą różne niestworzone historie - jak to często robią inne stare kobiety - ale nie Elspeth McGillicuddy.

- Nie Elspeth McGillicuddy - zgodził się inspektor.

- Wie pani, bardzo bym chciał się z nią spotkać. Szkoda, że pojechała na ten Cejlon. Przy okazji,

załatwiamy, żeby została tam przesłuchana.

- Mój proces rozumowania nie był wcale oryginalny - powiedziała panna Marple. - Wszystko jest u Marka Twaina. Chłopiec, który zgubił konia, wyobraził sobie, dokąd by poszedł, gdyby był koniem, poszedł tam i koń był.

- Wyobraziła pani sobie, co by pani zrobiła, będąc okrutnym, przebiegłym mordercą? - powiedział Craddock patrząc w zamyśleniu na delikatną, białoróżową staruszkę. - Doprawdy, umysł pani...

- Jest jak zlew, jak mawiał mój siostrzeniec Raymond - zgodziła się panna Marple kiwając żywo głową. - Ale ja mu zawsze mówiłam, że zlewy są niezbędnym elementem wyposażenia w każdym domu, a przy tym bardzo higienicznym.

- Czy może pani pójść jeszcze trochę dalej, postawić się na miejscu mordercy i powiedzieć mi po prostu, gdzie teraz jest?

Panna Marple westchnęła:

- Bardzo bym chciała. Nie mam pojęcia, nie mam zupełnie pojęcia. Ale musi być kimś, kto zamieszkiwał w Rutherford Hall albo wie wszystko o tej posiadłości.

- Zgadza się. Tylko, że to oznacza bardzo szerokie pole poszukiwań. Przewinęła się tam cała procesja kobiet zatrudnianych na przychodne. Jest też Women's Institute i wcześniej obrona przeciwnicza. Oni wszyscy znają Długą Stodołę i sarkofag oraz wiedzą, gdzie jest klucz. Cały układ budynków w Rutherford Hall jest znany w okolicy. Każdy z tamtejszych mieszkańców mógł wybrać ją sobie do swoich celów.

- Tak, rzeczywiście. Rozumiem w pełni pańskie problemy.

- Nigdzie nie dojdziemy, dopóki nie zidentyfikujemy ciała - powiedział Craddock.

- A to też nastrocza trudności?

- Och, w końcu nam się uda. Sprawdzamy wszystkie odnotowane zaginięcia kobiet w tym wieku i tym wyglądzie. Żadne z nich nie pasuje do opisu. Lekarz podaje w raporcie z sekcji, że miała około trzydziestu pięciu lat, była zdrowa, prawdopodobnie mężatka, miała przynajmniej jedno dziecko. Jej futro jest tanie, kupione w londyńskim domu towarowym. Setki takich futer sprzedano w przeciągu ostatnich trzech miesięcy, a około sześćdziesiąt procent z nich blondynkom. Żadna ze sprzedawczyń nie potrafiła na fotografii rozpoznać zmarłej, zresztą byłoby to mało prawdopodobne, jeśli zakupu dokonano przed samymi świętami. Reszta ubrania jest głównie zagraniczna, w większości kupiona w Paryżu. Nie ma angielskich znaków z pralni. Skontaktowaliśmy się z Paryżem i prowadzą tam dla nas poszukiwania. Prędzej czy później, oczywiście, ktoś zgłosi się w sprawie zaginionej krewnej lub lokatorki. To tylko kwestia czasu.

- Puderniczka w niczym nie pomogła?

- Niestety nie. Ten zupełnie tani typ sprzedaje się setkami na Rue de Rivoli. A właśnie, a propos puderniczki. Powinna pani była od razu oddać to policji, albo raczej powinna to była zrobić panna Eyelesbarrow.

Panna Marple pokręciła głową.

- Przecież wówczas nie było mowy o żadnym morderstwie - przypomniała. - Jeśli młoda kobieta, trenując golfa, znajduje w wysokiej trawie starą puderniczkę niewielkiej wartości, z całą pewnością nie pędzi z tym od razu na policję, prawda? - panna Marple przerwała i dodała stanowczo: - Uznałam, że znacznie lepiej będzie najpierw znaleźć ciało.

Rozbawiło to inspektora Craddocka.

- Pani, zdaje się, nie miała ani przez chwilę wątpliwości, że się znajdzie?

- Byłam tego pewna. Lucy Eyelesbarrow to najbardziej inteligentna i kompetentna osoba, jaką znam.

- Zgadzam się całkowicie! Śmiertelnie mnie przeraża, jest tak straszliwie kompetentna! Żaden mężczyzna nigdy nie ośmielił się z nią ożenić.

- A wie pan, tego to ja bym nie powiedziała... Oczywiście, musiałby to być niezwykle mężczyzna - panna Marple przez chwilę intensywnie nad tym myślała. - Jak ona sobie radzi w Rutherford Hall?

- Z tego, co widzę, są całkowicie od niej uzależnieni. Jedzą jej z ręki, można by rzec - nawet dosłownie. Przy okazji, oni nic nie wiedzą o jej związkach z panią. Nie ujawniamy im tego.

- Teraz już nie ma ze mną żadnych związków. Wykonała to, o co ją prosiłam.

- A więc mogłaby złożyć wypowiedzenie i odejść, gdyby tylko chciała?

- Tak.

- Ale dalej tam jest. Czemu?

- Nie przedstawiła mi swoich powodów. Podejrzewam, że jest zainteresowana.

- Problemem? Czy rodziną?

- Możliwe, że byłoby raczej trudno rozdzielić te dwie sprawy.

Craddock spojrzał na nią uważnie.

- Och nie, tylko nie to!

- Ma pan na myśli coś konkretnego?

- Myślę, że to pani ma.

Panna Marple pokręciła głową, a Dermot Craddock westchnął:

- A więc wszystko, co mogę zrobić, to prowadzić śledztwo, formalnie to nazywając. Jakież nudne jest życie policjanta!

- Będzie pan miał rezultaty, jestem tego pewna.

- Jakież pomysły dla mnie? Jeszcze trochę natchnionego zgadywania?

- Myślałam o tych trupach teatralnych - powiedziała dość niejasno panna Marple - wędrujących z miejsca na miejsce i nie mających zbyt mocnych związków rodzinnych. Jednej z tych kobiet prawdopodobnie by im tak bardzo nie brakowało. - Tak. Być może, coś w tym jest. Spojrzymy na sprawę pod tym kątem. Dlaczego się pani uśmiecha?

- Myślałam sobie właśnie o minie Elspeth McGillicuddy, kiedy usłyszy, że znaleźliśmy ciało!

II

- No, no! - powiedziała pani McGillicuddy.

Zabrakło jej słów. Patrzyła na sympatycznego, elegancko się wysławiającego młodego człowieka, który pojawił się u niej z urzędową misją. Potem spojrzała na fotografię, którą jej wręczył na wstępie.

- To na pewno ona - powiedziała. - Tak, to ona. Biedaczka. Cóż, muszę przyznać, że cieszę się, że znaleźliście jej ciało. Nie wierzyli w ani jedno moje słowo. Ani policja, ani ci na kolei, ani w ogóle nigdzie. To bardzo denerwujące, kiedy ci nie wierzą. W każdym razie, nikt nie mógłby mi zarzucić, że nie zrobiłam wszystkiego, co było w mojej mocy.

Sympatyczny młody człowiek wydawał z siebie odgłosy mające wyrażać współczucie i uznanie.

- Gdzie, pan mówił, znaleziono ciało?

- W stodole przy domu zwanym Rutherford Hall, zaraz za Brackhampton.

- Nigdy o nim nie słyszałam. Zastanawiam się, jak się tam znalazło?

Młody człowiek nie odpowiedział.

- Jane Marple je znalazła, na pewno. Wierzę w Jane.

- Ciało odkryła niejaka panna Lucy Eyelesbarrow - powiedział młody człowiek, sprawdzwszy w jakichś notatkach.

- O niej też nie słyszałam. Ale i tak jestem przekonana, że Jane Marple musiała mieć z tym coś wspólnego.

- W każdym razie, pani McGillicuddy, czy pani zdecydowanie rozpoznaje na tym zdjęciu kobietę, którą pani widziała w pociągu?

- ...duszoną przez mężczyznę. Tak. Rozpoznaję.

- A czy może pani opisać tego mężczyznę?

- Był wysoki - powiedziała pani McGillicuddy.

- Tak?

- Brunet.

- Tak?

- Nic więcej nie umiem powiedzieć - powiedziała pani McGillicuddy. - Stał do mnie tyłem. Nie widziałam twarzy.

- Czy potrafiłaby pani go rozpoznać, gdyby go pani zobaczyła?

- Oczywiście, że nie! Przecież mówię, że ani przez moment nie widziałam jego twarzy.

- Czy może pani coś powiedzieć na temat jego więksi?

Pani McGillicuddy zastanowiła się.

- Nie, chyba nie. To znaczy, właściwie nie wiem... Nie był, jestem tego prawie pewna, bardzo młody. Jego ramiona były... cóż, pochyłe, jeśli pan wie, co mam na myśli. - Młody człowiek kiwnął głową. - Trzydziestka lub więcej, nie mogę powiedzieć dokładniej. Widzi pan, tak właściwie to ja nie patrzyłam na niego. Raczej na nią, z tymi dłońmi zaciśniętymi na jej gardle i twarzą całkiem siną... Wie pan, czasem mi się to jeszcze teraz śni.

- Musiało to być okropne przeżycie - powiedział młody człowiek współczująco. Zamknął swój notes i zapytał:

- Kiedy wraca pani do Anglii?

- Nie wcześniej niż za trzy tygodnie. Czy muszę...? - Ależ nie. W tej chwili w niczym nie mogłaby nam pani pomóc - zapewnił ją prędko. - Oczywiście, kiedy dokonamy aresztowania... - na tym urwał.

Pocztą przyszedł list od panny Marple. Pismo było ostre, treść rozwlekła i pełna podkreśleń. Lata praktyki ułatwiły pani McGillicuddy odszyfrowanie go. Panna Marple przedstawiła pełny raport przyjaciółce, która chłonęła każde słowo z ogromną satysfakcją.

Obie z Jane nieźle im pokazały!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I

- Po prostu nie mogę pani rozgryźć - powiedział Cedryk Crackenthorpe.

Oparł się swobodnie o rozlatujący się mur opuszczonego chlewu i gapił na Lucy Eyelesbarrow.

- Czego pan nie potrafi rozgryźć!

- Co pani tu robi.

- Zarabiam na życie.

- Jako garkotłuk? - spytał.

- Jest pan staroświecki - odpowiedziała Lucy. - Garkotłuk, no rzeczywiście! Jestem Pomocą Domową, Profesjonalną Gospodynią, albo Odpowiedzią na Modły, głównie tym ostatnim.

- 'Nie może pani lubić tych wszystkich rzeczy, które należą do obowiązków służby: gotowania, ścielenia łóżek, buczenia po domu z tym, jak to się tam nazywa, odkurzaczem, nurzania rąk po łokcie w tłustej, brudnej wodzie.

Lucy zaśmiała się.

- Może nie wszystkie te zajęcia, ale gotowanie zaspokaja moje instynkty twórcze i jest też we mnie coś, co naprawdę czerpie rozkosz z porządkowania.

- Ja żyję w permanentnym bałaganie - powiedział Cedryk. - Lubię to - dodał prowokująco.

- Wygląda pan na to.

- Mój domek na Ibizie jest prowadzony na prostych i jasnych zasadach. Trzy talerze, dwie filiżanki i spodki, łóżko, stół i dwa krzesła. Wszędzie jest kurz, smugi farby i odłamki kamienia, bo poza malowaniem także rzeźbię, i nikt nie ma prawa niczego dotykać. Nie zniósłbym kobiety w pobliżu.

- W żadnej roli?

- Co pani przez to rozumie?

- Zakładałam, że człowiek o takim artystycznym smaku powinien mieć jakieś życie uczuciowe.

- Moje życie uczuciowe, jak je pani nazywa, to moja sprawa - powiedział Cedryk z godnością. - Czego nie zniósłbym, to kobiety w jej sprzątająco-wtrącająco-rządzącej się roli.

- Jakże bym chciała spróbować się z pańskim domkiem. Cóż to by było za wyzwanie!

- Nie będzie pani miała tej okazji.

- Jestem przekonana, że nie.

Kilka cegieł odpadło od ściany chlewa. Cedryk zwrócił się ku niemu i zajrzał do wnętrza pełnego pokrzyw:

- Kochana, stara Madge. Maciora o czarującym charakterze i płodna matka. Siedemnaścioro w ostatnim miocie. W ładne popołudnia przychodziliśmy tu i drapaliśmy ją patykiem po grzbiecie. Uwielbiała to.

- Czemu pozwolono, żeby ta posiadłość tak podupadła? To chyba nie tylko wojna?

- Tu też chciałyby pani posprzątać? Cóż za wścibska kobieta! Już wiem, dlaczego to pani właśnie odkryła zwłoki. Nie mogła pani zostawić w spokoju nawet greko-romańskiego sarkofagu! - przerwał na chwilę. - Nie, to nie tylko wojna. To mój ojciec. A przy okazji, co pani o nim myśli?

- Nie miałam zbyt wiele czasu na myślenie.

- Proszę nie robić uników. Jest skąpy jak diabli i, moim zdaniem, trochę też stuknięty. Oczywiście nienawidzi nas wszystkich - może z wyjątkiem Emmy. To przez testament dziadka.

Lucy spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Mój dziadek był człowiekiem, który zbił dużą forszę na przysmakach do popołudniowej herbaty. A potem, będąc człowiekiem przewidującym, bardzo wcześnie przerzucił się na przekąski, tak że teraz zarabiamy niezłą kasę na tych wszystkich przyjęciach cocktailowych. Cóż, przyszedł taki czas, kiedy ojciec dał do zrozumienia, że jego dusza wyrasta ponad dziadkowe specjały. Podróżował po Włoszech, Bałkanach i Grecji i interesował się starożytnościami. Dziadek poczuł się bardzo urażony. Doszedł do wniosku, że z ojca żaden biznesmen i raczej kiepski znawca sztuki - całkiem słusznie w obu wypadkach - więc pieniądze zostawił pod zarządem dla wnuków. Ojciec do końca życia ma dostawać całe dochody z majątku, ale nie może tknąć kapitału. Czy wie pani, co zrobił? Przestał wydawać pieniądze. Przyjechał tutaj i zaczął oszczędzać. Rzekłbym, że do dziś zdążył zgromadzić fortunę prawie równą zostawionej przez dziadka. A tymczasem my wszyscy: Harold, Emma, Alfred i ja sam nie mamy grosza z dziadkowych pieniędzy. Jestem rzeźbiarzem - zakamieniałym golcem. Harold wszedł w biznes i jest kimś ważnym w City - to jemu dany jest dar robienia pieniędzy, ale słyszałem pogłoski, że ma kłopoty. Alfred - cóż, Alfred jest u nas znany jako Złoty Alf...

- Dlaczego?

- Ileż to pani chciałyby wiedzieć! Odpowiedź brzmi: Alfred jest czarną owcą w rodzinie. Jeszcze nie siedział w więzieniu, ale był bardzo bliski tego. Pracował w ministerstwie zaopatrzenia w czasie wojny, ale opuścił je dość nagle w podejrzanych okolicznościach. A potem były jakieś mocno wątpliwe handle puszkowanymi owocami i afera z jajami. Nic na dużą skalę, tylko kilka drobnych szwindli. - To chyba niezbyt mądre mówić takie rzeczy komuś obcemu?

- Czemu? Jest pani agentką policji?

- Mogłabym nią być.

- Nie sądzę. Harowała tu pani jak wół, zanim policja zaczęła się nami interesować. Powiedziałbym raczej... - przerwał na widok Emmy, wchodzącej przez furtkę.

- Cześć, Em. Wyglądasz na bardzo zmartwioną.

- Bo jestem. Chciałabym z tobą pomówić, Cedryku.

- Muszę wracać do domu - powiedziała taktownie Lucy.

- Proszę nie odchodzić - zatrzymał ją Cedryk.

- Morderstwo zrobiło z pani praktycznie członka rodziny.

- Mam dużo roboty - odparła Lucy. - Wysłałam tylko po trochę pietruszki.

Wycofała się szybko do ogrodu. Towarzyszyło jej spojrzenie Cedryka.

- Niezła dziewczyna. Kim jest naprawdę?

- Och, jest dosyć znana - powiedziała Emma.

- Zastępnęła w swojej profesji. Ale nie chodzi tu o Lucy Eyelesbarrow, Cedryku. Okropnie się martwię. Policja sądzi, że zamordowana była cudzoziemką, może Francuzką. Cedryku, nie sądzisz, że to mogła być - Martine?

II

Przez moment Cedryk gapił się na nią, jakby nie rozumiejąc.

- Martine? Ale kimże jest ta... Ach, masz na myśli Martine?

- Tak. Myślisz...

- A czemuż miałyby to być akurat Martine?

- To, że wysłała ten telegram, było dziwne. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, musiało to być mniej więcej w tym samym czasie... Myślisz, że mogła, mimo wszystko, tu przyjechać i...

- Bzdura. Czemu Martine miałyby tu przyjeżdżać i trafić akurat do Długiej Stodoły? Po co?

Wydaje mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

- Czy nie sądzisz, że powinnam może powiedzieć inspektorowi Baconowi, albo temu drugiemu?

- Co mu powiedzieć?

- No... o Martine. O jej liście.

- Nie zaczynaj im jeszcze bardziej komplikować sprawy przynosząc kupę nieistotnego śmiecia, które nie ma z tym wszystkim żadnego związku. Poza tym, nigdy nie byłem za bardzo przekonany o autentyczności tego listu Martine.

- Ja byłem.

- Ty zawsze byłaś skłonna wierzyć w zupełnie nieprawdopodobne historie, staruszek. Radzę ci, zamknij buzię i siedź cicho. Niech się policja martwi identyfikacją tego ich bezcennego trupa, I założę się, że Harold powiedziałby ci to samo.

- Och, wiem, że Harold by tak zrobił. I Alfred. Ale martwię się, Cedryku, naprawdę się martwię. Nie wiem, co powinnam zrobić.

- Nic - zdecydowanie odpowiedział Cedryk. - Trzymaj buzię na kłódkę, Emmo. Nie wywołuj wilka z lasu, to moja dewiza.

Emma westchnęła. Wróciła powoli do domu, pełna niespokojnych myśli. Kiedy przechodziła przez podjazd, z domu wyłonił się doktor Quimper i otworzył drzwiczki swego obitego austina. Ujrzawszy Emmę, zostawił samochód i wyszedł jej naprzeciw.

- No, Emmo, twój ojciec jest w doskonałej formie. Morderstwo mu służy. Dzięki niemu odżył. Muszę polecić ten środek także innym pacjentom.

Emma uśmiechnęła się machinalnie. Doktor Quimper zawsze był wrażliwy na ludzkie nastroje.

- Stało się coś szczególnego? - spytał.

Emma podniosła ku niemu wzrok. Od jakiegoś czasu nabrała zaufania do tego uprzejmego i serdecznego człowieka. Stał się przyjacielem, na którym można było polegać, czymś więcej, niż tylko lekarzem domowym. Jego wystudiowana opryskliwość jej nie zwiódła - czuła, że kryje się pod nią delikatność.

- Tak, jestem zmartwiona - przyznała.

- Powiesz mi? Nie mów, jeśli nie chcesz.

- Chciałabym ci wszystko powiedzieć. Część z tego już wiesz. Chodzi o to, że nie wiem, co mam robić.

- Muszę powiedzieć, że byłaś zwykle bardzo rozsądna. W czym kłopot?

- Pamiętasz, choć pewnie raczej nie, co ci kiedyś mówiłam o moim bracie, który zginął na wojnie?

- O tym, że się ożenił czy chciał ożenić z dziewczyną z Francji? Coś w tym rodzaju?

- Tak. Zginął zaraz potem, jak dostałam od niego ten list. Nigdy niczego nie usłyszeliśmy od niej

ani o niej. Jedyne, co było nam wiadome, to jej imię. Mieliśmy zawsze nadzieję, że się odezwie albo pojawi, ale tego nie robiła. Aż miesiąc temu, przed samymi świętami...

- Pamiętam. Dostaliście list, prawda?

- Tak. Pisała, że jest w Anglii i chciałaby przyjechać, żeby się z nami zobaczyć. Wszystko było ustalone, ale w ostatniej chwili przysłała telegram, że musi niespodziewanie wracać do Francji.

- Więc?

- Policja uważa, że ta zamordowana kobieta była Francuzką.

- Tak? Według mnie wyglądała bardziej na Angielkę, ale coś takiego trudno stwierdzić. I martwisz się, że to mogła być dziewczyna twojego brata?

- Tak.

- Myślę, że to bardzo mało prawdopodobne - powiedział doktor Quimper i dodał:

- W każdym razie rozumiem, co czujesz.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam powiedzieć policji o... o tym wszystkim. Cedryk i inni mówią, że to zupełnie niepotrzebne. A jak ty sądzisz?

- Hmm... - doktor Quimper zacisnął usta. Przez dłuższą chwilę milczał, pogrążony w myślach.

Wreszcie niechętnie powiedział:

- Znacznie łatwiej, oczywiście, jest nic nie mówić. Rozumiem twoich braci. Jednakże...

- Jednakże?

Quimper spojrzał na nią. W jego oczach skrzyło się uczucie:

- Poszedłbym prosto na policję i powiedział. Będziesz się bez przerwy zamartwiać, jeśli tego nie zrobisz. Znam cię.

Emma lekko się zarumieniła.

- Pewnie jestem głupia.

- Rób, co uważasz za stosowne, moja droga, a reszta rodziny niech się powiesi. W każdym razie poprę twoją decyzję przeciwko nim wszystkim.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

- Hej, ty, dziewczyno! Chodź no tutaj!

Lucy odwróciła się, zaskoczona. Stary pan Crackenthorpe machał do niej gwałtownie, stojąc tuż za progiem zawsze do tej pory zamkniętego pomieszczenia.

- Do mnie pan mówi, panie Crackenthorpe?

- Nie gadaj tyle, tylko wchodź.

Lucy była posłuszna nakazowi głowy rodziny. Pan Crackenthorpe chwycił ją za ramię, wciągnął za drzwi i zatrzasnął je.

- Chcę ci coś pokazać - oznajmił.

Lucy rozejrzała się wokół siebie. Znajdowali się w małym pokoju, najwyraźniej zaprojektowanym jako pracownia, ale równie wyraźnie od bardzo dawna nie wykorzystywanym w tym celu. Biurko zalegały sterty pokrytych kurzem papierzysk, a girlandy pajęczyn zwieszały się z narożników sufitu. Powietrze było wilgotne i stęchłe.

- Chce pan, żebym sprzątnęła w tym pokoju?

Starzec gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, nie! Zawsze zamykam ten pokój. Emma chciałaby tu pobuszować, ale jej nie pozwalam. To mój pokój. Widzisz te kamienie? To okazy geologiczne.

Lucy spojrzała na zbiór dwunastu czy czternastu odłamków skalnych. Część z nich była oszlifowana, a część nie.

- Piękne - powiedziała grzecznie. - Niezwykle interesujące.

- Masz zupełną rację. Są interesujące. Jesteś inteligentną dziewczyną. Nie każdemu je pokazuję. Pokażę ci jeszcze inne rzeczy.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale doprawdy powinnam wrócić już do swojej pracy. Z sześcioma osobami w domu...

- Jedzącymi tak, że chyba przeżrą mi dom. Zawsze to robią, kiedy się tu zjeżdżają. Jedzą. I wcale nie proponują, że za to zapłacą. Pijawki! Wszyscy tylko wyczekują mojej śmierci. Ja jednak na razie nie umieram. Nie zamierzam umrzeć, żeby zrobić im przyjemność. Jestem o wiele silniejszy, niż sądzi nawet Emma.

- Jestem pewna, że tak.

- Nie jestem też wcale taki stary. Robią ze mnie starca i tak mnie traktują. Nie myślisz chyba, że jestem stary?

- Ależ oczywiście, że nie.

- Rozsądna dziewczyna. Spójrz na to.

Wskazał na wiszącą na ścianie wielką, wyblakłą planszę. Widniało na niej drzewo

genealogiczne, miejscami tak misternie opisane, że aby je odczytać, należałoby użyć szkła powiększającego. Jednak imiona najdawniejszych protoplastów wypisane były wielkimi, dumnymi literami, nad którymi górowały korony.

- Królewskie pochodzenie - powiedział pan Crackenthorpe. - To jest drzewo rodziny mojej matki, a nie mojego ojca. On był parweniusem, pospolitym, starym człowiekiem! Nie lubił mnie. Zawsze byłem kimś lepszym od niego. Przejąłem to po matce. Miałem naturalne zamiłowanie do piękna i rzeźby klasycznej - on w tym nic nie widział, stary głupiec. Nie pamiętam mojej matki, umarła, kiedy miałem dwa lata. Ostatnia z rodziny. Zlicytowano ich, a ona poślubiła mojego ojca. Ale spójrz tam: Edward Wyznawca, Ethelred Niegotowy - są tam wszyscy. I to przed rokiem 1066, przed Normanami! To jest coś, prawda?

- Rzeczywiście.

- A teraz pokaże ci jeszcze coś - poprowadził ją przez pokój do ogromnego mebla z ciemnego dębu. Lucy w nieprzyjemny sposób zdała sobie sprawę z siły palców, wpijających się w jej ramię. Dziś z całą pewnością w panu Crackenthorpe nie było nic z wątpliwości.

- Widzisz? Pochodzi z Lushington - to rodzinne strony mojej matki. Elżbietański. Trzeba czterech ludzi, żeby go przenieść. Na pewno nie wiesz, co w nim trzymam. Chcesz, żebym ci pokazał?

- Proszę - powiedziała grzecznie Lucy.

- Ciekawska, co? Wszystkie kobiety są ciekawskie - wyjął z kieszeni klucz i otworzył dolne drzwiczki. Wyciągnął z niej zaskakująco współcześnie wyglądającą kasetkę pancerną. Ją również otworzył.

- Spójrz, moja droga. Czy wiesz, co to? Podniósł mały cylinder zawinięty w papier, który odwinął z jednego końca. Złote monety spłynęły mu na dłoń.

- Spójrz na nie, młoda damo. Patrz na nie, trzymaj je, dotykaj! Wiesz, co to jest? Założę się, że nie! Jesteś za młoda. To suwereny*. Dobrze, złote suwereny. To, czego używaliśmy, zanim weszły w modę te wszystkie brudne papierki. Warte znacznie więcej niż głupie kawałki papieru. Zebrałem je dawno temu. Mam w tej kasetce i inne rzeczy. Wiele rzeczy tu odłożonych. Wszystko przygotowane na przyszłość. Emma nie wie. Nikt nie wie. To nasz sekret, rozumiesz? Wiesz, czemu to ci mówię i pokazuję?

- Czemu?

- Bo nie chcę, żebyś myślała, że jestem już do niczego: starym, chorym człowiekiem. Jest jeszcze coś w tym starym psie. Moja żona od dawna nie żyje. Zawsze się wszystkiemu sprzeciwiała. Nie podobały jej się imiona, które dałem dzieciom - dobre, anglosaskie imiona. Nie interesowało jej to drzewo genealogiczne. Ale nigdy nie zwracałem uwagi na to, co mówiła - uległe i tchórzliwe stworzenie - zawsze się poddawała. A ty jesteś odważną klaczką, naprawdę, bardzo miłą klaczką. Dam ci dobrą radę. Nie marnuj się dla młodych mężczyzn. To głupcy! Chcesz zadbać o swą przyszłość, to czekaj...

Jego palce zacisnęły się na ramieniu Lucy. Pochylił się nad jej uchem:

- Więcej nie powiem. Czekaj. Ci beznadziejni głupcy myślą, że niedługo umrę. Niech sobie myślą. Nie zdziwię się, jak ich wszystkich przeżyję! A wtedy zobaczymy! O tak, wtedy zobaczymy. Harold nie ma dzieci. Cedryk i Alfred nie są żonaci. Emma... Emma teraz już za męża nie wyjdzie. Robi słodkie oczy do Quimpera, ale Quimper nigdy nie pomyśli o poślubieniu jej. Jest Oczywiście Aleksander. Tak, jest Aleksander... Tak, to dziwne. Lubię go.

Przerwał na chwilę i zmarszczył brwi.

- No, dziewczyno, co o tym powiesz?

- Panno Eyelesbarrow... - głos Emmy rozległ się słabe zza zamkniętych drzwi pracowni.

Lucy z wdzięcznością wykorzystała tę szansę.

- Woła mnie panna Crackenthorpe. Muszę iść. Bardzo panu dziękuję, że mi pan to wszystko pokazał...

- Nie zapomnij... Nasz sekret...

- Nie zapomnę - powiedziała Lucy i wybiegła do hallu, nie do końca pewna, czy to, co właśnie usłyszała, było wstępną propozycją małżeństwa.

Dermot Craddock siedział za biurkiem w swoim pokoju w Scotland Yardzie. Opierając się swobodnie na łokciu, mówił do słuchawki po francusku, który to język opanował całkiem znośnie:

- To tylko taki pomysł, rozumiesz.

- Ale zawsze pomysł - powiedział po drugiej stronie głos z prefektury policji paryskiej. - Już wszcząłem dochodzenie w tych kręgach. Mój agent donosi, że ma dwa czy trzy obiecujące tropy. Jeśli nie ma żadnej rodziny lub kochanka, to te kobiety bardzo łatwo wypadają z obiegu i nikt o nie się nie kłopotuje. Pojechały w trasę, albo pojawił się jakiś nowy mężczyzna - nikomu nic do tego. Szkoda, że na fotografii, którą mi przysłałeś, tak trudno jest kogoś rozpoznać. Uduszenie raczej nie poprawia urody. No, ale na to nie możemy nic poradzić. Idę teraz przejrzeć raporty moich agentów w tej sprawie. Może coś w nich będzie. Au revoir, mon cher.

Kiedy Craddock żegnał się uprzejmie, policjant położył przed nim na biurku kartkę, na której było napisane: "Panna Emma Crackenthorpe do detektywa-inspektora Craddocka. Sprawa Rutherford Hall".

Odłożył słuchawkę i powiedział do policjanta:

- Proszę wprowadzić pannę Crackenthorpe. Czekając, odchylił się na krześle i myślał. A więc nie mylił się: Emma Crackenthorpe coś wiedziała. Być może niewiele, ale jednak coś. I zdecydowała się mu powiedzieć.

Kiedy ją wprowadzono, wstał, podał jej rękę, podsunął krzesło i zaproponował papierosa, którego odmówiła. Nastąpiła chwila przerwy. Próbowiła, jak przypuszczał, znaleźć właściwe słowa. Nachylił się ku niej.

- Ma mi pani coś do powiedzenia, panno Crackenthorpe? Mogę pani pomóc? Czymś się pani niepokoiła, prawda? Pewnie jakiś drobiazg, który, jak pani czuje, nie ma najprawdopodobniej nic wspólnego ze sprawą, ale z drugiej strony, mógłby okazać się istotny. Przyszła mi pani o tym opowiedzieć, prawda? To chyba ma coś wspólnego z tożsamością zmarłej. Myśli pani, że wie, kto to mógłby być?

- Nie, niedokładnie. Naprawdę myślę, że to zupełnie nieprawdopodobne, ale...

- Ale jest pewna możliwość, która panią niepokoi. Proszę mi o tym opowiedzieć, a może uda nam się panią uspokoić.

Emma zwlekała chwilę, nim zaczęła:

- Widział pan moich trzech braci. Był jeszcze jeden, Edmund, który poległ na wojnie. Krótco przed śmiercią napisał do mnie z Francji.

Otworzyła torebkę i wyjęła pożółkłą kartkę papieru. Zaczęła czytać: "Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie zbyt wielkim wstrząsem, ale żenię się - z Francuzką. To wszystko jest takie niespodziewane, ale wiem, że polubisz Martine i, jeśli mi się coś stanie, zaopiekujesz się nią. Napiszę ci o wszystkim następnym razem, kiedy już będę żonaty. Sprzedaj to łagodnie staremu,

dobrze? Pewnie podskoczy do sufitu”.

Inspektor wyciągnął rękę. Emma zawahała się, ale po chwili podała mu list i mówiła dalej pośpiesznie:

- Dwa dni po otrzymaniu tego listu dostałam telegram, że Edmund ”zagiął, prawdopodobnie poległ”. Później ostatecznie zawiadomiono, że zgiął. To było przed samą Dunkierką, podczas wielkiego zamieszania. W dokumentach armii nie było żadnych zapisów o jego małżeństwie, jak to sprawdziłam, ale, jak wspomniałam, to był okres odwrotu i popłochu. Nigdy nic nie słyszałam o tej dziewczynie. Po wojnie próbowałam ją znaleźć, prowadziłam pewne poszukiwania, ale znałam tylko jej imię. Założyłam w końcu, że małżeństwo nigdy nie doszło do skutku i dziewczyna poślubiła kogoś innego przed końcem wojny, albo - najprawdopodobniej - sama zginęła.

Inspektor Craddock przytaknął i słuchał pilnie:

- Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy mniej więcej miesiąc temu dostałam list, podpisany ”Martine Crackenthorpe”.

- Ma go pani?

Emma wyjęła list z torebki i wręczyła inspektorowi. Craddock przeczytał go z zainteresowaniem. Pisany był pochyłym, regularnym pismem osoby wykształconej:

Droga Mademoiselle! Mam nadzieję, że ten list nie będzie dla Pani zbyt wielkim wstrząsem. Nie wiem nawet, czy pani brat Edmund powiadomił Panią, że pobraliśmy się. Zgiął zaledwie parę dni później i wtedy też naszą wioskę zajęli Niemcy. Kiedy skończyła się wojna, postanowiłam nie pisać do Pani ani nie szukać zbliżenia, choć Edmund polecił mi tak zrobić. Ale wtedy już ułożyłam sobie nowe życie i nie było to konieczne. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Piszę ten list dla dobra mojego syna. Jest dzieckiem Pani brata, rozumie Pani, a ja... ja nie mogę mu już zapewnić odpowiednich warunków. Przyjeżdżam do Anglii na początku przyszłego tygodnia. Będę wdzięczna, gdyby zechciała Pani powiadomić mnie, czy mogę przyjechać do Rutheford Hall, żeby się z panią zobaczyć? Mój adres do korespondencji to 126 Elvers Crescent, numer 10. Jeszcze raz pragnę wyrazić nadzieję, że ten list nie jest dla Pani zbyt wielkim wstrząsem.

Pozostaję z wyrazami najwyższego szacunku - Martine Crackenthorpe.

Craddock milczał przez chwilę. Przeczytał ponownie list, zanim go oddał.

- Co pani zrobiła, otrzymawszy ten list?

- Mój szwagier, Bryan Eastley, był akurat wtedy u nas i rozmawiałam z nim o tym. Potem zadzwoniłam do Londynu, do mojego brata Harolda, żeby się go poradzić. Harold był do całej sprawy nastawiony raczej sceptycznie i radził zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Uważał, że powinniśmy dokładnie sprawdzić wiarygodność tej kobiety.

Emma umilkła, ale po chwili podjęła przerwany wątek:

- Oczywiście, było to bardzo rozsądne i w pełni się z nim zgadzałam. Jeśli jednak owa dziewczyna - kobieta - była naprawdę tą Martine, o której pisał mi Edmund, czułam, że powinniśmy ją dobrze przyjąć. Napisałam na adres, który podała, zapraszając ją do Rutherford Hall na spotkanie z rodziną. Parę dni później otrzymałam telegram z Londynu: ”Bardzo żałuję muszę nagle wracać do Francji. Martine”. Potem nie było już dalszych listów ani żadnych informacji.

- Kiedy to wszystko miało miejsce?

Emma zmarszczyła brwi.

- Krótco przed świętami. Wiem, bo chciałam zaproponować jej spędzenie z nami Bożego Narodzenia, ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć, więc zaproponowałam, żeby przyjechała na

poświęteczny weekend, kiedy jeszcze będzie cała rodzina. Myślę, że depesza o jej powrocie do Francji przysłała kilka dni przed Wigilią.

- I przypuszcza pani, że kobieta, której ciało zostało znalezione w sarkofagu, mogła być tą Martine?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale kiedy powiedział pan, że była prawdopodobnie cudzoziemką, nie mogłam nie zastanawiać się... Czy, być może... - jej głos ucichł.

Craddock odezwał się szybko, by ją uspokoić:

- Bardzo dobrze, że mi pani o tym opowiedziała. Przyjrzymy się temu. Prawdopodobnie nie ma większych wątpliwości, że kobieta, która do pani napisała, naprawdę wróciła do Francji i przebywa tam teraz, żywa i zdrowa. Jednak jest tu pewna zbieżność dat, jak pani sama zauważyła. Na rozprawie u koronera ustalono, że śmierć ofiary nastąpiła prawdopodobnie trzy do czterech tygodni temu. A teraz proszę się nie martwić, panno Crackenthorpe, i pozostawić sprawę nam. Naradzała się pani z panem Haroldem. A co z ojcem i innymi braćmi? - dodał jakby od niechcienia.

- Musiałam, oczywiście, powiedzieć ojcu. Był bardzo wzburzony - lekko się uśmiechnęła. - Przekonywał mnie, że to wszystko miało na celu wyciągnięcie od nas pieniędzy. Mój ojciec bardzo łatwo się unosi w sprawach finansowych. Jest przekonany, albo udaje, że jest bardzo biedny i że musi oszczędzać każdy grosz. Zdaje się, że starsi ludzie miewają czasami takie obsesje. Nie jest to, oczywiście, prawdą, ma bardzo duże dochody i nie wydaje nawet ćwierci z nich, a raczej nie wydawał, aż do czasu wprowadzenia tych wysokich podatków dochodowych. Z całą pewnością ma odłożone ogromne oszczędności - zamilkła na chwilę. - Mówiłam też moim pozostałym braciom. Alfred najpierw zdawał się uważać to za rodzaj żartu, ale potem też skłaniał się do poglądu, że chodzi o oszustwo. Cedryk po prostu nie był zainteresowany - ma tendencję do koncentrowania się na sobie. Uznaliśmy, że rodzina spotka się z Martine w obecności naszego prawnika, pana Wimborne.

- A co on sądził o liście?

- Nie zdążyliśmy mu go pokazać, kiedy przyszedł telegram Martine.

- Nie podjęła pani żadnych dalszych kroków?

- Podjęłam. Napisałam na londyński adres, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi.

- Dość dziwna sprawa... hm... - spojrzał na nią uważnie.

- A co pani sama o tym myśli?

- Nie wiem, co mam myśleć.

- Jak pani wtedy reagowała? Uważała pani list za prawdziwy, czy zgadzała się pani z ojcem i braćmi? A co z pani szwagrem, co on myślał?

- Bryan uważał, że list jest autentyczny.

- A pani?

- Ja... nie byłam pewna.

- A gdyby się miało okazać, że ta kobieta rzeczywiście była wdową po pani bracie?

Twarz Emmy złagodniała:

- Bardzo lubiłam Edmunda. Był moim ukochanym bratem. Ten list wydawał mi się dokładnie taki, jaki dziewczyna; w której się zakochał, mogła napisać. Przebieg wydarzeń podany w liście był zupełnie naturalny i prawdopodobny. Zakładałam, że przed zakończeniem wojny wyszła ponownie za mąż za kogoś, kto zajął się nią i dzieckiem. Później, ten mężczyzna, być może, umarł albo zostawił ją i wówczas wydało jej się słuszne zwrócić się do rodziny Edmunda, tak jak chciał, żeby zrobiła. List wydawał mi się prawdziwy i naturalny, ale, rzecz jasna, Harold zwrócił uwagę, że gdyby był

napisany przez oszustkę, to musiałaby ona znać i Martine, i wszystkie fakty, więc także napisałaby zupełnie przekonujący list. Musiałam przyznać mu słuszność, jednak... - urwała.

- Wolą pani, żeby był prawdziwy? - powiedział łagodnie Craddock. Spojrzała na niego z wdzięcznością:

- Tak, chciałam, żeby był prawdziwy. Tak bym się cieszyła, gdyby Edmund zostawił syna.

Craddock przytaknął.

- Ma pani rację, ten list wygląda na prawdziwy. Zaskakujący jest dalszy ciąg - nagły wyjazd Martine do Francji i to, że nie słyszała pani o niej już nigdy więcej. Odpowiedziała pani życzliwie, była przygotowana na jej przyjęcie. Dlaczego, nawet jeśli musiała wracać do Francji, nie napisała ponownie? Oczywiście zakładając, że to była rzeczywiście ona. Jeśli była oszustką, łatwiej to wytłumaczyć. Myślałem, że może poradziła się pani pana Wimborne, który mógł podjąć jakieś kroki, co mogło ją zaniepokoić. Ale skoro tego nie zrobił, może uczynił to któryś z pani braci? Możliwe, że owa Martine miała przeszłość, która nie wytrzymałaby dochodzenia. Mogła zakładać, że będzie miała do czynienia tylko z oddaną siostrą Edmunda, a nie z twardymi, podejrzliwymi biznesmenami. I mieć nadzieję, że uzyska od pani bez specjalnych pytań pewną kwotę pieniędzy na dziecko - właściwie już nie dziecko, ale piętnasto - albo szesnastoletniego chłopca. Zamiast tego przekonała się, że musi sforsować coś zupełnie innego. W końcu, spodziewam się, że pojawiłyby się istotne kwestie prawne. Skoro Edmund Crackenthorpe pozostawił syna, urodzonego ze związku małżeńskiego, to byłby jednym ze spadkobierców majątku pani dziadka?

Emma przytaknęła.

- Ponadto, z tego, co mi mówiono, w odpowiednim czasie odziedziczyłby Rutherford Hall wraz z otaczającym go terenem, teraz prawdopodobnie bardzo cennym terenem budowlanym.

Emma wyglądała na lekko zszokowaną.

- Tak, o tym nie pomyślałam.

- Cóż, na pani miejscu nie martwiłbym się - powiedział inspektor Craddock. - Zrobiła pani bardzo słusznie, przychodząc tu i mówiąc mi o tym. Sprawdzę to, ale wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że nie ma żadnego związku między kobietą, która napisała ten list - i pewnie usiłowała zarobić na oszustwie - a zwłokami znalezionymi w sarkofagu.

Emma wstała z westchnieniem ulgi:

- Tak się cieszę, że panu powiedziałam. Był pan bardzo uprzejmy.

Craddock odprowadził ją do drzwi. Następnie zadzwonił po sierżanta Wetherhalla.

- Bob, mam dla was robotę. Idźcie na 126 Elvers Crescent, numer 10. Weźcie ze sobą fotografię ofiary z Rutherford Hall. Sprawdźcie, czego możecie się dowiedzieć o kobiecie, nazywającej się panią Crackenthorpe, panią Martine Crackenthorpe, która tam mieszkała albo zjawiała się po listy, powiedzmy, od połowy do końca grudnia.

- Tak jest, sir.

Craddock zajął się innymi sprawami, czekającymi na biurku, by poświęcił im uwagę. Po południu poszedł do zaprzyjaźnionego agenta teatralnego. Jego dochodzenie nie przyniosło efektów.

Po powrocie do Scotland Yardu znalazł na biurku depeszę z Paryża: "Podanemu opisowi może odpowiadać Anna Stravinska z baletu Maritski. Sugeruję przyjazd. Dessin, Prefektura".

Craddock wydał głębokie westchnienie ulgi, a jego czoło rozchmurzyło się. Nareszcie! To by wyjaśniało, pomyślał, sprawę Martine Crackenthorpe... Postanowił wsiąść na nocny prom do Paryża.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I

- To doprawdy niezwykle uprzejme, że zechciała mnie pani przyjąć podwieczorkiem - powiedziała panna Marple do Emmy Crackenthorpe.

Panna Marple wyglądała na szczególnie urocze wcielenie słodkiej staruszki. Promieniała, rozglądając się wkoło. Patrzyła na Harolda Crackenthorpe w jego dobrze skrojonym ciemnym garniturze, na Alfreda, podającego jej kanapki z czarującym uśmiechem, na Cedryka, stojącego obok kominka w zeszmaczonej tweedowej marynarce i spoglądającego na resztę rodziny z wściekłością.

- Jest nam bardzo miło, że mogła nas pani odwiedzić - zrewanżowała się Emma.

Nie pozostało najmniejszego śladu po scenie, która miała miejsce tego dnia po obiedzie, kiedy Emma wykrzyknęła:

- Och, zupełnie zapomniałam! Powiedziałam panie Eyelesbarrow, że może zaprosić swoją ciotkę na dzisiejszy podwieczorek.

- Spław ją - odparł szorstko Harold. - Musimy jeszcze sporo omówić. Nie trzeba nam tu obcych.

- Dajmy jej i dziewczynie podwieczorek w kuchni albo gdziekolwiek - poradził Alfred.

- Nie, nie mogłabym tego zrobić - Emma była stanowcza. - To byłoby bardzo nieuprzejme.

- Niechże więc przyjdzie - ustąpił Cedryk. - Możemy ją trochę pociągnąć za język co do cudownej Lucy. Muszę powiedzieć, że chciałbym się więcej dowiedzieć o tej dziewczynie. Nie ufam jej. Jest o wiele za sprytna.

- Ma znakomite referencje i jest autentyczną służącą - powiedział Harold. - Zadałem sobie trud sprawdzenia tego. Chciałem się upewnić. To szukanie i znalezienie ciała, jak to zrobiła...

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, kim była ta cholerna baba - powiedział Alfred. A Harold dodał gniewnie:

- Muszę rzec, Emmo, że moim zdaniem chyba postradałaś zmysły, żeby pójść i sugerować policji, że ta kobieta mogła być francuską dziewczyną Edmunda. To ich przekona, że przyjechała tutaj i że prawdopodobnie ktoś z nas ją zabił.

- Ależ Haroldzie, nie przesadzaj.

- Harold ma zupełną rację - wtrącił się Alfred.

- Co cię napadło, nie mam pojęcia. Mam wrażenie, że wszędzie teraz za mną chodzą tajniacy.

- Mówiłem jej, żeby tego nie robiła - odezwał się Cedryk. - Ale potem Quimper ją poparł.

- To nie jego sprawa - powiedział z rozdrażnieniem Harold. - Niech się trzyma pigulek, proszków i pacjentów.

- Och, przestańcie się kłócić - poprosiła ze znużeniem Emma. - Naprawdę jestem zadowolona, że ta panna Jakjejtam przychodzi na herbatę. Wszystkim nam to tylko dobrze zrobi, że będziemy mieli tu kogoś obcego, kto nie pozwoli nam wałkować w kółko ciągle tych samych spraw. Muszę trochę się

zając sobą - wyszła z pokoju.

- Ta Lucy Eyelesbarrow... - Harold przerwał na chwilę. - Jak mówi Cedryk, rzeczywiście dziwne, że szperała po stodole i zabrała się za otwieranie sarkofagu - to zadanie dla atlety. Być może powinniśmy podjąć jakieś kroki. Wydawało mi się, że podczas obiadu zachowywała się dość arogancko.

- Zostaw ją mnie - uspokoił go Alfred. - Wkrótce będę wiedział, czy coś knuje.

- Ale po co otwierała ten sarkofag?

- Może naprawdę wcale nie jest tą Lucy Eyelesbarrow z referencjami - zasugerował Cedryk.

- Ale w jakim celu... - Harold wyglądał na zupełnie wytrąconego z równowagi. - O cholera!

Spojrzeni po sobie z zaniepokojeniem.

- I jeszcze ta uprzykrzona starucha przychodzi na herbatę. Właśnie kiedy chcemy pomyśleć.

- Omówimy te sprawy wieczorem - powiedział Alfred. - Tymczasem pociągniemy ciotkę za język na temat Lucy.

Tak więc, we właściwym czasie, panna Marple została przywieziona przez Lucy i usadowiona przy kominku, gdzie uśmiechała się właśnie do Alfreda, podającego jej kanapki, z aprobatą, jaką okazywała zawsze przystojnym mężczyznom.

- Bardzo panu dziękuję... czy mogę prosić... Och, jajka i sardynki, to będzie znakomite. Zawsze jestem łakoma w porze podwieczorku. Rozumieją państwo, z wiekiem... A na noc, oczywiście, tylko bardzo lekki posiłek... Muszę uważać - zwróciła się ponownie do Emmy. - Mają państwo wspaniały dom. I tyle w nim pięknych rzeczy. Tamte brązy przypominają mi kupione przez ojca na Wystawie Paryskiej. Naprawdę, pani dziadek też? Klasycystyczne, prawda? Bardzo piękne. Jak to miło, że ma pani przy sobie braci. Tak często rodziny są porozrzucane. Indie, choć wydaje mi się, że z tym już koniec, Afryka, zachodnie wybrzeże - taki niezdrowy klimat!

- Dwóch moich braci mieszka w Londynie.

- To bardzo miłe dla pani.

- Ale trzeci, Cedryk, jest malarzem i mieszka na Ibizie, jednej z wysp archipelagu Balearów.

- Malarze uwielbiają wyspy, prawda? - powiedziała panna Marple. - Chopin - to była Majorka, czyż nie? Ale on był muzykiem. Myślałam o Gauguinie. Smutne życie, zmarnowane. Osobiście nigdy specjalnie nie przepadałam za portretami tubylczych kobiet i choć wiem, że jest bardzo podziwiany, niezbyt mi się podobał ten jaskrawo musztardowy kolor. Człowiek czuje nie-strawność patrząc na jego obrazy.

Spojrzała na Cedryka z lekką dezaprobatą.

- Proszę nam opowiedzieć o Lucy, kiedy była dzieckiem, panno Marple - zaproponował Cedryk.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Lucy była zawsze taka sprytna - powiedziała. - Tak, byłaś, kochanie, nie przerywaj. Naprawdę niesamowita z rachunków. Pamiętam, jak kiedyś rzeźnik policzył mi za dużo za wołowinę...

Panna Marple ruszyła całą naprzód we wspomnienia o dzieciństwie Lucy, a stamtąd we własne przypadki z życia wiejskiego. Potok wspomnień przerwało wejście Bryana i chłopców, przemoczonych i brudnych wskutek pełnych zapału poszukiwań śladów. Przyniesiono herbatę, a wraz z nią przybył doktor Quimper, który lekko uniósł brwi, rozglądając się wkoło, gdy został już przedstawiony staruszce.

- Mam nadzieję, że ojciec nie czuje się źle, Emmo?. - Och nie, poczuł się tylko lekko zmęczony dziś po południu...

- Unikając gości, podejrzewam - powiedziała panna Marple z łobuzerskim uśmiechem. - Jak dobrze pamiętam mojego drogiego ojca: "Ma przyjść kupa starych kwok?" - mawiał do mojej mamy. - "Przyślij mi herbatę do gabinetu". Pod tym względem był zupełnie niepoprawny.

- Proszę nie myśleć... - zaczęła Emma, ale przerwał jej Cedryk.

- Zawsze jest herbata w gabinecie, kiedy przyjeżdżają jego ukochani synowie. Psychologicznie uzasadnione, co doktorze?

Doktor Quimper pożerał właśnie kanapki i ciasto kawowe z nieskrywanym apetytem człowieka, który zwykle ma zbyt mało czasu na posiłki.

- Psychologia jest w porządku, jeśli zostawi się ją psychologom. Problem w tym, że w dzisiejszych czasach każdy jest psychologiem-amatorem. Moi pacjenci mówią mi dokładnie, na jakie uskarżają się kompleksy i neurozy, nie dając mi szansy, żebym ja im to powiedział. Dziękuję Emmo, poproszę jeszcze filiżankę. Nie miałem dzisiaj czasu na obiad.

- Życie lekarza, zawsze byłam o tym przekonana, jest tak godne i pełne poświęceń - powiedziała panna Marple.

- Z pewnością nie zna pani zbyt wielu lekarzy - odpowiedział Quimper. - Nazywano ich pijawkami, a często nimi są! W każdym razie, płaci nam się teraz, państwo dba o to. Żadnego wysyłania rachunków, o których się dobrze wie, że nigdy nie zostaną zapłacone. Problem w tym, że wszyscy pacjenci są zdecydowani wyciągnąć co się da "od rządu" i w efekcie, jeśli mała Jenny zakaszle dwa razy w ciągu nocy, albo mały Tommy zje parę zielonych jabłek, biedny doktor w te pędy musi iść w środku nocy. No dobra! Wspaniałe ciasto, Emmo. Ależ z ciebie kucharka!

- To nie moje. Panny Eyelesbarrow.

- Robisz równie dobre - przyznał z galanterią Quimper.

- Pójdiesz zobaczyć ojca?

Wstała i lekarz podążył za nią. Panna Marple obserwowała ich, kiedy wychodzili z pokoju.

- Panna Crackenthorpe jest bardzo oddaną córką - zauważyła.

- Nie wyobrażam sobie, jak może znosić starego - palnął jak zwykle prosto z mostu Cedryk.

- Ma tu bardzo wygodny dom, a ojciec jest do niej bardzo przywiązany - wtrącił szybko Harold.

- Em jest w porządku - stwierdził Cedryk.

- Stworzona na starą pannę.

- Tak pan myśli? - kiedy panna Marple zadawała to pytanie, w jej oczach pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Mój brat, mówiąc "stara panna", nie miał na myśli nic obraźliwego - powiedział szybko Harold.

- Ależ wcale mnie to nie uraziło - zapewniła panna Marple. - Po prostu zastanawiałam się, czy ma rację. Ja bym nie powiedziała, że panna Crackenthorpe zostanie starą panną. Należy do tych, które zazwyczaj zawierają małżeństwo późno i sprawiają, że jest udane.

- Niezbyt prawdopodobne, póki mieszka tutaj - stwierdził Cedryk. - Nie spotyka się z nikim, za kogo mogłaby wyjść.

Iskierka rozbawienia w oku panny Marple stała się jeszcze wyraźniejsza.

- Zawsze są pastorzy... i lekarze.

Potoczyła kolejno po zgromadzonych spojrzeniem łagodnym a zarazem nieco przewrotnym. Było oczywiste, że zasugerowała im coś, o czym nigdy nie pomyśleli i co nie było im zbyt miłe.

Panna Marple wstała, upuszczając przy tym kilka wełnianych chust i torebkę. Wszyscy trzej

bracia niezwykle gorliwie podnosili jej rzeczy. - To bardzo uprzejme - szczebiotała. - Och tak, i moja błękitna mufeczka. Tak, jak mówiłam, to bardzo miłe, że mnie tu państwo zaprosili. Próbowałam się domyślić, jak wygląda państwa dom, a teraz mam plastyczny obraz miejsca pracy kochanej Lucy.

- Doskonałe warunki domowe... i morderstwo gratis - powiedział Cedryk.

- Cedryku! - głos Harolda był pełen gniewu. Panna Marple uśmiechnęła się do Cedryka.

- Wie pan, kogo mi pan przypomina? Młodego Thomasa Eade, syna dyrektora naszego banku.

Zawsze starał się szokować ludzi. Oczywiście, nie pasowało to do sfer bankowych, więc wyjechał do Indii Zachodnich... Wrócił, kiedy umarł jego ojciec i odziedziczył całkiem sporo pieniędzy. Bardzo szczęśliwie dla niego. Zawsze był lepszy w wydawaniu pieniędzy niż w ich zarabianiu.

II

Lucy zabrała pannę Marple do domu. Kiedy wracała, jakaś postać wyłoniła się z ciemności i stanęła w świetle reflektorów, właśnie kiedy miała skręcać w boczną drogę. Uniosła rękę i Lucy poznała Alfreda Crackenthorpe.

- O wiele lepiej - powiedział wsiadłszy. - Brr, jak zimno! Pomyślałem sobie, że dobrze by mi zrobił przyjemny, wzmacniający spacer. Nie zrobił. Dowiozła pani staruszkę cało do domu?

- Tak. Świetnie się bawiła.

- Dało się zauważyć. To typowe, jak bardzo podoba się starszym paniom jakiegokolwiek towarzystwo, choćby nie wiem jak nudne. A nic nie może być nudniejszego od Rutherford Hall. Dwa dni to wszystko, co mogę tu wytrzymać. A jak ty to znosisz, Lucy? Nie masz nic przeciwko temu, żebym się tak do ciebie zwracał?

- Proszę bardzo. Mnie nie wydaje się nudne. Oczywiście to dla mnie nic stałego.

- Obserwowałem cię, Lucy. Jesteś rozgarniętą dziewczyną. Zbyt rozgarniętą, żeby marnować się na gotowanie i sprzątanie.

- Dziękuję, ale wolę gotowanie i sprzątanie od pracy przy biurku.

- Też bym wolał. Ale są inne sposoby na życie. Mogłabyś być wolnym strzelcem.

- Jestem.

- Nie w ten sposób. Mam na myśli pracę na własny rachunek, używanie swojego umysłu przeciw...

- Przeciw czemu?

- Wszystkiemu! Wszystkim głupim zasadom i przepisom gryzipiórków, utrudniających teraz nasze życie. Interesujące jest to, że zawsze znajdzie się sposób, żeby je obejść, jeśli jest się dostatecznie sprytnym, by go znaleźć. A ty jesteś sprytna. No i co, podoba ci się to?

- Może.

Lucy wmanewrowała samochód na podwórzec stajenny.

- Nie chcesz się deklarować?

- Musiałabym usłyszeć więcej.

- Naprawdę, dziewczyno, mógłbym cię wykorzystać. Masz bezcenny dar - wzbudzasz zaufanie.

- Chcesz, żebym pomagała ci sprzedawać złote sztaby?

- Nic tak ryzykownego. Tylko małe obejście prawa, nic więcej - jego ręka popelzła po jej ramieniu. - Jesteś cholernie atrakcyjną dziewczyną, Lucy. Chciałbym mieć w tobie partnerkę. - Pochlebia mi to.

- To znaczy: nic z tego? Przemyśl to. Pomyśl o zabawie, o przyjemności z przechytrzenia tych

wszystkich porządników. Problem w tym, że potrzeba kapitału.

- Obawiam się, że nie mam żadnego.

- Och, nie chodziło o naciąganie. Ja już niedługo na pewnym kapitale położę ręce. Mój czcigodny papa nie może żyć wiecznie, skąpy, stary drań! Kiedy się przekreśli, położę ręce na prawdziwych pieniądzach. I co ty na to, Lucy?

- Jakie stawiasz warunki?

- Małżeństwo, jeśli ci się podoba. Kobiety, zdaje się, to lubią, nieważne, jak bardzo są nowoczesne czy samodzielne. Poza tym, żony nie można zmusić do składania zeznań przeciwko mężowi.

- To już mniej mi pochlebia!

- Przestań udawać, Lucy! Nie widzisz, że się w tobie zakochałem?

Ku swemu zaskoczeniu, Lucy zdała sobie sprawę, że była dziwnie zafascynowana osobą Alfreda, być może z powodu czaru, albo jakiegoś zwierzęcego magnetyzmu, którym promieniował. Roześmiała się i wysliznęła spod obejmującego ją ramienia.

- Nie czas teraz na amory. Trzeba pomyśleć o kolacji.

- Trzeba, Lucy, a ty jesteś cudowną kucharką. Co jest na kolację?

- Zobaczysz! Jesteś taki sam jak chłopcy! Weszli do domu i Lucy popędziła do kuchni. Była zaskoczona, kiedy wkroczył tam Harold Crackenthorpe:

- Panno Eyelesbarrow, czy mógłbym z panią pomówić?

- A nie dałoby się później, panie Crackenthorpe? Mam zaległości w pracy.

- Oczywiście, oczywiście. Po kolacji?

- Dobrze.

Kolacja została podana o właściwej porze i należycie doceniona. Lucy skończyła zmywanie i wyszła do hallu, gdzie natknęła się na czekającego na nią Harolda.

- Wyjeżdżam wcześniej rano - wyjaśnił. - Chciałbym jednak powiedzieć pani, jak wielkie wrażenie wywarły na mnie pani zdolności.

- Dziękuję - odpowiedziała Lucy, głęboko zdumiona.

- Jestem przekonany, że pani talenty marnują się tutaj, zdecydowanie marnują.

- Tak pan sądzi? Ja wcale nie.

W każdym razie, on mnie nie może poprosić o rękę, pomyślała Lucy. Już ma żonę.

- Proponuję, żeby zobaczyła się pani ze mną w Londynie, kiedy skończy się ten nasz pożałowania godny kryzys. Jeśli zadzwoni pani, zostawię instrukcje sekretarce. Rzecz w tym, że moglibyśmy wykorzystać w firmie osobę o tak niezwykłych zdolnościach. Musielibyśmy szerzej przedyskutować, w jakiej konkretnej dziedzinie pani talenty byłyby najlepiej wykorzystane. Mogę pani zaoferować, panno Eyelesbarrow, naprawdę bardzo dobre wynagrodzenie ze znakomitymi perspektywami. Sądzę, że byłaby pani mile zaskoczona - jego uśmiech zapowiadał wielką szczodrość.

Lucy odpowiedziała skromnie:

- Dziękuję, panie Crackenthorpe. Pomyślę o tym.

- Proszę nie zwlekać zbyt długo. Młoda kobieta, pragnąca znaleźć swoje miejsce na świecie, nie powinna marnować takich możliwości - znów błysnął zębami. - Dobrej nocy, panno Eyelesbarrow. Dobrych snów.

- No, no... - mruknęła pod nosem Lucy. - To wszystko jest bardzo interesujące.

Wchodząc do siebie na górę, Lucy spotkała na schodach Cedryka:

- Słuchaj, Lucy, chcę cię o coś zapytać.
- O to, czy wyjdę za ciebie, czy pojedę z tobą na Ibizę i czy zajmę się tobą?

Cedryk był zszokowany i przerażony:

- Ani mi to przez myśl nie przeszło.
- Przepraszam. Mój błąd.
- Chciałem po prostu wiedzieć, czy masz w domu rozkład jazdy?

- To wszystko? Jest na stole w hallu.

- I wiesz, nie powinnaś ciągle myśleć, że wszyscy chcą się z tobą ożenić - upomniał Cedryk. -

Jesteś dość ładną dziewczyną, ale bez przesady. To się jakoś nazywa, nasila się i jest z człowiekiem coraz gorzej. Naprawdę, jesteś ostatnią dziewczyną na świecie, z którą chciałbym się ożenić. Ostatnią.

- Naprawdę? - zakpiła Lucy. - Nie musisz mnie o tym tak gorąco zapewniać. A może wolałbyś mnie w roli macochy?

- Co takiego?! - osłupiały Cedryk wytrzeszczył na nią oczy.

- To, co słyszałeś - odpowiedziała Lucy wchodząc do pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I

Dermot Craddock przyjaźnił się z Armandem Dessin z prefektury paryskiej. Spotkali się już kilka razy i polubili się. Ponieważ Craddock nieźle władał francuskim, większą część rozmowy prowadzili w tym języku.

- To tylko pewna koncepcja - ostrzegł Dessin. - Mam tu zdjęcie zespołu baletowego - to ona, czwarta od lewej. Mówi ci to coś, tak?

Inspektor odpowiedział, że właściwie nie. Niełatwo zidentyfikować uduszoną kobietę, a wszystkie tancerki na zdjęciu miały gruby makijaż i nosiły ekstrawaganckie nakrycia głowy z piór - To mogłaby być ona. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Kim była? Co o niej wiecie?

- Niemal mniej niż nic - odpowiedział Dessin. - Nie była ważna, rozumiesz. Ballet Maritski - też nie jest ważny. Występuje w salach na przedmieściach i jeździ w objazdy po prowincji - nie ma żadnych wielkich nazwisk, żadnych gwiazd, znanych balerin. Ale zaprowadzę cię do Madame Joilet, która go prowadzi.

Madame Joilet była zwawą Francuzką w typie kobiety interesu, o przenikliwym spojrzeniu, z małym wąsikiem i sporą ilością tkanki tłuszczowej.

- Ja nie lubię policji! - wykrzywiła się nie ukrywając swego braku entuzjazmu dla ich wizyty. - Zawsze, kiedy tylko mogą, robią mi kłopoty. - Nie, nie, Madame, nie wolno pani tak mówić - zaprotestował Dessin, wysoki, szczupły mężczyzna o melancholijnym spojrzeniu. - Czy ja kiedykolwiek sprawiłem pani kłopot?

- Owszem w sprawie tej głupiej małej, która napiła się fenolu - odparła natychmiast Madame Joilet. - I to tylko dlatego, że się zakochała w kapelmistrzu, który nie zajmuje się kobietami i ma inne gusta. Z tego powodu narobił pan rabanu i zaszargał opinię mojego wspaniałego baletu!

- Wręcz przeciwnie. To podniosło obroty w kasie - sprzeciwił się Dessin. - I było trzy lata temu. Nie powinna pani chować urazy. A teraz Anna Stravinska, zacznijmy o tej dziewczynie.

- Dobrze, co chcecie wiedzieć? - spytała Madame ostrożnie.

- Czy jest Rosjanką? - zaczął inspektor Craddock.

- Nie. Pyta pan ze względu na jej nazwisko? Ależ one wszystkie przybierają takie nazwiska, te dziewczyny. Ona nie była ważna, nie tańczyła dobrze, nie była szczególnie ładna. Elle était assez bien, c'est tout. Tańczyła wystarczająco dobrze w zespole - ale żadnych solówek.

- Była Francuzką?

- Możliwe. Miała francuski paszport. Ale kiedyś mi powiedziała, że miała męża Anglika.

- Powiedziała pani, że miała męża Anglika? Żyjącego czy zmarłego?

Madame Joilet wzruszyła ramionami:

- Zmarł albo ją zostawił. Skąd mam wiedzieć? Te dziewczyny... Zawsze mają jakieś kłopoty z

mężczyznami...

- Kiedy ją pani widziała ostatnio?

- Biorę mój zespół do Londynu na dwa tygodnie. Gramy w Torquay, Bournemouth, Eastbourne, gdzieś jeszcze, gdzie nie pamiętam, i w Hammersmith. Później wracamy do Francji, ale bez Anny. Ona tylko wysłała wiadomość, że odchodzi z zespołu, że jedzie mieszkać u rodziny męża, tego typu nonsensy. Nie wierzyłam w to, nie. Myślałam, że poznała jakiegoś mężczyznę, rozumiecie.

Inspektor Craddock przytaknął. Czuł, że Madame Joilet zawsze by tak właśnie pomyślała.

- A dla mnie to żadna strata. Nie obchodzi mnie. Mogę mieć dziewczyny równie dobre albo lepsze, które przyjdą i będą tańczyć, więc wzruszam ramionami i więcej o tym nie myślę. A dlaczego nie miałabym? One są wszystkie takie same, te dziewczęta. Zwariowane na punkcie mężczyzn.

- Którego to było?

- Kiedy wracałyśmy do Francji? To była., tak... niedziela przed świętami. Anna odchodzi dwa... może trzy dni wcześniej. Nie pamiętam dokładnie... Ale pod koniec tygodnia w Hammersmith musimy tańczyć bez niej, a to znaczy, zmieniać układ. To było z jej strony bardzo nieładne, ale te dziewczęta, jak tylko spotkają jakiegoś mężczyznę - wszystkie są takie same, nieodpowiedzialne. Ja tylko mówię wszystkim: "tej cholery nie przyjmę z powrotem".

- To musiało być dla pani bardzo denerwujące.

- Ach! Już... mnie to nie obchodzi, jak mówiłam. Na pewno spędziła święta z mężczyzną, którego poderwała. To nie moja sprawa. Mogę znaleźć inne dziewczęta, które chwycą się szansy tańczenia w Ballet Maritski i które potrafią tańczyć równie dobrze jak Anna, albo lepiej. - Przerwała i spytała w nagłym przyływie zainteresowania:

- Dlaczego chcecie ją znaleźć? Może dostała pieniądze w spadku?

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział uprzejmie inspektor Craddock. - Sądzymy, że mogła zostać zamordowana.

Madame Joilet znów zobojętniała:

- Ça se peut! Zdana się. No cóż, była dobrą katoliczką. Chodziła na niedzielne msze i z całą pewnością do spowiedzi.

- Czy kiedykolwiek mówiła z panią, Madame, o synu?

- O synu? Ma pan na myśli, że miała dziecko? Uważam to za bardzo mało prawdopodobne. Te dziewczęta, wszystkie - wszystkie! - znają pożyteczne adresy, pod które można się udać. Monsieur Dessin wie o tym równie dobrze, jak ja.

- Mogła mieć dziecko zanim rozpoczęła występować na scenie - zasugerował Craddock. - W czasie wojny, na przykład.

- Ah! dans la guerre. To zawsze możliwe. Ale jeżeli nawet tak było, nic mi o tym nie wiadomo.

- Które z dziewcząt były jej najbliższe?

- Mogę wam podać dwa albo trzy nazwiska, ale nie była z nikim zbyt blisko.

Nic więcej pożytecznego nie byli w stanie uzyskać od Madame Joilet. Kiedy pokazano jej puderniczkę, stwierdziła, że Anna miała podobną, ale takich samych używała większość dziewcząt. Możliwe też, że Anna kupiła futro w Londynie - nie wiedziała.

- Ja zajmuję się próbami, oświetleniem, wszystkimi problemami mojego zawodu. Nie mam czasu patrzeć, co noszą moje tancerki.

Przesłuchali więc dziewczęta, których nazwiska im podała. Parę z nich znało Annę względnie dobrze, ale wszystkie zgadzały się, że Anna nie była z tych, co wiele o sobie mówią, a jeśli nawet

mówiła, to przeważnie kłamstwa.

- Lubiła zmyślać różne historie, na przykład, że była kochanką wielkiego księcia czy wielkiego finansisty angielskiego, albo że pracowała dla Résistance w czasie wojny. Nawet, że była gwiazdą filmową w Hollywood. Inna dodała:

- Myślę, że w rzeczywistości wiodła bardzo ustabilizowane, drobnomieszczańskie życie. Podobało jej się w balecie, bo widziała w tym coś romantycznego, ale nie była dobrą tancerką. Rozumiecie? Gdyby miała powiedzieć, że ojciec był handlarzem tekstylnym w Amiens, to by nie było romantyczne! Więc zamiast tego zmyślała historyjki.

- Nawet w Londynie rzucała półsłówka o jakimś bardzo bogatym człowieku, który miał zabrać ją na wycieczkę dookoła świata, bo była podobna do jego córki, która zginęła w wypadku samochodowym - przypomniawszy sobie pierwszą z dziewcząt. Quelle blague!

- A mnie powiedziała, że zostaje u bogatego lorda w Szkocji i że będzie polowała na jelenie - oznajmiła druga.

Rozmowa z Madame i jej corps de ballet niczego nie dała. Czego się dowiedzieli, to że Anna Stravinska była zawołaną kłamczuchą. Z całą pewnością nie strzelała do jeleni z parem w Szkocji ani nie przechadzała się wzdłuż pokładu spacerowego transatlantyku w podróży dookoła świata. Nie było jednak również żadnego powodu przypuszczać, że to jej ciało zostało znalezione w sarkofagu w Rutherford Hall. Próba identyfikacji na podstawie zdjęcia, dokonana przez dziewczęta i Madame Joilet, była bardzo niejednoznaczna. Była jakby podobna do Anny, wszystkie co do tego były zgodne. Ale doprawdy! Ta opuchnięta twarz, to mógł być każdy!

Jedynym ustalonym faktem było, że 19 grudnia Anna Stravinska postanowiła nie wracać wraz z baletem do Francji i że podobna do niej kobieta jechała 20 grudnia do Brackhampton pociągiem o 4.33 i została w nim uduszona.

Jeżeli kobieta z sarkofagu nie była Anną, gdzie znajdowała się teraz Anna? Odpowiedź na to Madame Joilet była krótka i niezmienna:

- Z jakimś mężczyzną!

I była to prawdopodobnie odpowiedź prawidłowa, pomyślał z przykrością Craddock.

Jeszcze jedna sprawa wymagała rozpatrzenia. Była to luźno rzucona uwaga, że Anna wspomniała kiedyś o swym mężu Anglika. Czy mężem tym był Edmund Crackenthorpe? Wydawało się to wręcz niemożliwe, zważywszy na obraz Anny, wyłaniający się z opisu podanego przez znające ją osoby. Było znacznie bardziej prawdopodobne, że Anna знаła kiedyś Martine dostatecznie blisko, żeby zapoznać się z niezbędnymi szczegółami z jej życia. Mogło być i tak, że to Anna napisała list do Emmy Crackenthorpe i najpewniej spłoszyła ją jakakolwiek wzmianka o dochodzeniu prowadzonym przez rodzinę. Możliwe, że uznała nawet za celowe zerwanie swych związków z Ballet Maritski. Znowu jednak wracało pytanie, gdzie była teraz?

I niezmiennie, najbardziej prawdopodobna wydawała się odpowiedź Madame Joilet:

- Z jakimś mężczyzną...

II

Przed wyjazdem z Paryża Craddock omówił z Dessinem kwestię kobiety imieniem Martine. Dessin był skłonny zgodzić się ze swym angielskim kolegą, że nie miała ona żadnego związku ze zwłokami kobiety znalezionymi w sarkofagu, jednakże wymagało to zbadania.

Zapewnił Craddocka, że Sureté uczyni wszystko, co będzie w jej mocy, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście istniał jakiś zapis o zawarciu małżeństwa między porucznikiem Edmundem

Crackenthorpe z 4th Southshire Regiment i Francuską o imieniu Martine w okresie bezpośrednio przed upadkiem Dunkierki. Ostrzegł jednak Craddocka, że otrzymanie jednoznacznej odpowiedzi było wątpliwe. Ten rejon Francji nie tylko, że był okupowany przez Niemców niemal dokładnie od tamtego czasu, a i potem, podczas inwazji aliantów, poniósł ogromne szkody wojenne. Wiele budynków i dokumentów uległo zniszczeniu.

- Ale bądź pewny, drogi kolego, że będziemy się starali jak najlepiej.

III

Na powrót Craddocka czekał sierżant Wetherall, żeby zawiadomić go z ponurą satysfakcją:

- Elvers Crescent 126 to jest pensjonat, sir. Bardzo szacowny i tak dalej.

- Ktoś ją rozpoznał?

- Nie, nikt nie skojarzył zdjęcia z kobietą, która przychodziła po korespondencję, ale nie sądzę, żeby to było w ogóle możliwe. Upłynął już prawie miesiąc od daty listu, a całkiem sporo ludzi przewija się przez to miejsce. Właściwie jest to bursa dla studentów.

- Mogła tam mieszkać pod zmienionym nazwiskiem. - Jeśli tak było, to nie rozpoznali jej na zdjęciu - i dodał: - Obeszliśmy hotele. Nikt się nigdzie nie zameldował jako Martine Crackenthorpe. Kiedy dostaliśmy pański telefon z Paryża, sprawdziliśmy nazwisko Anna Stravinska. Była zameldowana wraz z innymi członkami zespołu w tanim hotelu przy bocznej Brook Green. Większość tam to ludzie z teatru. Wyniosła się w nocy, w czwartek dziewiętnastego, po przedstawieniu. Żadnych śladów więcej.

Craddock skinął głową. Zaproponował kierunek dalszych poszukiwań, choć miał niewiele nadziei na ich powodzenie.

Pomyślawszy chwilę, zadzwonił do firmy Wimborne, Henderson i Castairs i poprosił o umówienie go z panem Wimborne. W oznaczonym czasie został wprowadzony do niezwykle dusznego pokoju, gdzie pan Wimborne siedział przy dużym, staroświeckim biurku pokrytym stosami zakurzonych papierów. Ściany wypełnione były różnymi segregatorami, opatrzonymi napisami: zm. Sir John Fouldes, Lady Derrin, George Rowbottom, Esq. - relikami minionej epoki, czy też częścią spraw bieżących - inspektor nie wiedział.

Pan Wimborne zmierzył swego gościa wzrokiem pełnym uprzejmości, a zarazem lekkiego zniecierpliwienia, typowym dla rodzinnych doradców prawnych w stosunkach z policją.

- Co mogę dla pana zrobić, inspektorze?

- Ten list... - Craddock pchnął list Martine przez blat. Pan Wimborne z niesmakiem dotknął go palcem, ale go nie podniósł. Leciutko zaczerwienił się i zacisnął wargi. - No właśnie - odezwał się. - No właśnie. Otrzymałem wczoraj rano list od panny Emmy Crackenthorpe, w którym informuje mnie o swej wizycie w Scotland Yardzie i o wszystkich... okolicznościach.

Muszę stwierdzić, że zupełnie, zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie poradzono się mnie w sprawie tego listu w momencie jego otrzymania. To doprawdy niesłychane. Należało mnie natychmiast powiadomić...

Inspektor Craddock wygłosił kilka uspokajających frazesów, ściśle obliczonych na wprawienie pana Wimborne w bardziej ugodowy nastrój.

- Nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek była w ogóle mowa o ślubie Edmunda - poskarżył się pan Wimborne tonem pokrzywdzonego.

Inspektor Craddock bąknął, że wydaje mu się... w czasie wojny... i pozostawił zdanie zawieszony niejasno w próżni.

- W czasie wojny! - rzucił pan Wimborne ze zjadliwą goryczą. - Tak, rzeczywiście, byliśmy w Lincoln's Inn Fields na początku wojny i dom zaraz obok został bezpośrednio trafiony. Ogromna ilość naszych dokumentów uległa zniszczeniu. Nie te naprawdę ważne, rzecz jasna; te zostały wysłane na wieś dla bezpieczeństwa. Ale spowodowało to mnóstwo zamieszania. Oczywiście, sprawy rodziny Crackenthorpe były w owym czasie w rękach mojego ojca. Zmarł sześć lat temu. Przypuszczam, że jemu ktoś mógł powiedzieć o domniemanym małżeństwie Edmunda, jednak nic nie wskazuje na to, żeby małżeństwo to, nawet jeśli planowane, w ogóle doszło do skutku, a jeśli tak, to nic dziwnego, że mój ojciec nie przywiązywał do tej historii żadnego znaczenia. Muszę powiedzieć, że wszystko to mi brzydko pachnie. Pojawianie się po tych wszystkich latach i roszczenia wynikające z faktu zawarcia małżeństwa i posiadania syna pochodzącego z tegoż małżeństwa. Naprawdę, bardzo brzydko to pachnie. Jakie miała dowody, chciałbym wiedzieć? - Właśnie, jaka byłaby jej sytuacja albo sytuacja jej syna?

- Zaplanowała sobie, jak sędzę, że rodzina Crackenthorpe będzie łożyć na nią i chłopca.

- Tak, ale miałem na myśli to, do czego ona i jej syn byliby uprawnieni, gdyby, mówiąc fachowo, potrafiła udowodnić prawomocność swojego roszczenia?

- Ach tak, rozumiem - pan Wimborne podniósł swoje okulary, które w zdenerwowaniu odłożył na bok, włożył je i spojrzał na inspektora przenikliwie. - Cóż, w tym momencie, do niczego. Ale gdyby była w stanie udowodnić, że dziecko jest synem Edmunda Crackenthorpe, pochodzącym z małżeństwa, wtedy chłopiec byłby uprawniony do otrzymania swojej części spadku po Josiahu Crackenthorpe w chwili śmierci Luthera Crackenthorpe. Co więcej, odziedziczyłby Rutherford Hall, jako potomek pierworodnego syna.

- Czy ktoś chciałby odziedziczyć ten dom?

- Żeby w nim mieszkać? Moim zdaniem - na pewno nie. Ale posiadłość ta, drogi inspektorze, jest warta znaczną sumę. Bardzo znaczną. Teren pod przemysł i budownictwo. Teren, który znajduje się teraz niemal w sercu Brackhampton. O tak, to bardzo znaczny spadek.

- Kiedy umrze Luther Crackenthorpe, powiedział mi pan, jak mi się wydaje, że odziedziczy ją Cedryk?

- Dziedziczy nieruchomość - tak, jako najstarszy żyjący syn.

- Cedryk Crackenthorpe, jak mi dano do zrozumienia, nie jest zainteresowany pieniędzmi?

Pan Wimborne spojrzał zimno na inspektora.

- Doprawdy? Ja osobiście mam skłonność przyjmować takie twierdzenia z tym, co mógłbym nazwać przymrużeniem oka. Nie ma wątpliwości, że są ludzie, którym pieniądze są obojętne. Ja osobiście jednak nikogo takiego nie spotkałem - pan Wimborne najwyraźniej poczuł pewną satysfakcję po wypowiedzeniu tej uwagi. Inspektor Craddock pośpiesznie wykorzystał ten promyk słońca.

- Harold i Alfred Crackenthorpe byli, zdaje się, bardzo zaniepokojeni po otrzymaniu tego listu? - zaryzykował.

- To bardzo możliwe, bardzo możliwe - powtórzył pan Wimborne.

- To by zmniejszyło wielkość przypadającego na nich spadku?

- Z całą pewnością. Syn Edmunda Crackenthorpe - cały czas, oczywiście, zakładamy, że taki istnieje - byłby uprawniony do otrzymania jednej piątej majątku.

- To nie byłaby chyba naprawdę poważna strata dla pozostałych dziedziczących?

Pan Wimborne spojrzał bystro na inspektora.

- Całkowicie niewystarczająca jako motyw morderstwa, jeśli o to panu chodzi.

- Wydaje mi się jednak, że obaj dość cienko przędą - mruknął Craddock.

Wytrzymał ostre spojrzenie pana Wimborne z doskonałą obojętnością.

- A więc policja zasięga informacji? Tak, Alfred jest niemal bez przerwy pod kreską. Chwilami szasta pieniędzmi, ale to szybko mija. Harold, jak pan, zdaje się, odkrył, stoi obecnie cokolwiek niezbyt pewnie.

- Mimo pozorów finansowego powodzenia?

- To fasada, wszystko to tylko fasada. Połowa z tych firm z City sama nie wie, czy jest wypłacalna. Sprawozdania finansowe mogą być spreparowane tak, żeby wyglądały zupełnie w porządku dla niewprawnego oka. A jeśli wyliczone aktywa nie są naprawdę aktywami, jeśli te aktywa drżą na krawędzi załamania, to...

- To jest się, jak Harold Crackenthorpe, w gwałtownej potrzebie posiadania pieniędzy.

- Cóż, nie dostałby ich dusząc wdowę po swoim świętej pamięci bracie - powiedział pan Wimborne. - I nikt nie udusił Luthera Crackenthorpe, co byłoby jedynym morderstwem, jakie mogłoby się przydać rodzinie. Więc, doprawdy, inspektorze, nie wiem, dokąd prowadzą pańskie koncepcje?

Najgorsze jest to, pomyślał inspektor Craddock, że on sam tego nie jest pewien.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

I

Inspektor Craddock umówił się na spotkanie z Haroldem Crackenthorpe u niego w biurze. Wraz z sierżantem przybyli punktualnie. Biuro mieściło się na czwartym piętrze wieżowca w City. Całe jego wnętrze manifestowało bogactwo i najwyższe szczyty współczesnej mody w świecie biznesu.

Schludna młoda kobieta poprosiła ich o podanie nazwisk, dyskretnie zamruczała przez telefon i podniósłszy się, wprowadziła obu do prywatnego gabinetu pana Harolda Crackenthorpe.

Harold nieskazitelnie ubrany siedział przy dużym biurku z blatem wyłożonym skórą i wyglądał, jak zawsze, na pewnego siebie biznesmena. Jeżeli poufne wiadomości inspektora Craddocka były prawdziwe i Harold był bliski plajty, nie widać było po nim najmniejszych tego objawów. Spojrzał na policjantów ze szczerym zainteresowaniem:

- Dzień dobry, panie inspektorze. Mam nadzieję, że pańska wizyta oznacza, że ma pan dla nas w końcu jakieś konkretne wiadomości?

- Raczej nie to, obawiam się, panie Crackenthorpe. Chciałbym panu zadać jeszcze kilka pytań.

- Pytań? Z całą pewnością odpowiedzieliśmy już na wszystkie, jakie można sobie tylko wyobrazić.

- Może pan odnosić takie wrażenie, ale to po prostu kwestia naszych rutynowych działań. - O co więc chodzi tym razem? - spytał niecierpliwie Harold.

- Byłbym zobowiązany, gdyby mógł mi pan powiedzieć dokładnie, co pan robił po południu i wieczorem 20 grudnia, powiedzmy, między trzecią po południu a północą.

Twarz Harolda Crackenthorpe przybrała odcień śliwkowego fioletu.

- To doprawdy nadzwyczajne, żeby pytać o to mnie. Co to ma znaczyć, chciałbym się dowiedzieć?

Craddock uśmiechnął się łagodnie:

- Znaczy to tylko tyle, że chciałbym wiedzieć, gdzie pan był między trzecią po południu a północą w piątek, 20 grudnia.

- Po co?

- Pomogłoby to uściślić sprawy.

- Uściślić? Macie więc jakieś dodatkowe informacje?

- Mamy nadzieję, że trochę się przybliżamy do celu.

- Nie jestem przekonany, czy powinienem panom odpowiedzieć na wasze pytanie bez obecności mojego adwokata.

- Ma pan, rzecz jasna, zawsze taką możliwość - oznajmił Craddock. - Nie jest pan zobowiązany odpowiadać na żadne pytania i ma pan pełne prawo do wezwania adwokata, zanim pan odpowie.

- Mówiąc zupełnie otwarcie - czy wy mnie... ee... podejrzewacie w jakiś sposób?

- Ależ nie, panie Crackenthorpe - inspektor Craddock przybrał odpowiednio oburzony wyraz twarzy. - Nic z tych rzeczy. Pytania, które panu zadają, zadają też wielu innym osobom. Nie ma w tym niczego skierowanego bezpośrednio przeciwko panu. To tylko kwestia niezbędnych eliminacji.

- Tak, oczywiście, bardzo chętnie pomogę, jak tylko będzie to w mojej mocy. Zaraz, niech pomyślę. Niełatwo odpowiedzieć na to tak od razu, ale jesteśmy tu bardzo systematyczni. Panna Ellis, mam nadzieję, będzie w stanie nam pomóc.

Powiedział coś krótko do jednego z telefonów na biurku i niemal natychmiast weszła z notesem młoda kobieta o opływowych kształtach, w dobrze skrojonym czarnym kostiumie.

- Moja sekretarka, panna Ellis, inspektor Craddock. Panno Ellis, pan inspektor chciałby wiedzieć, co robiłem po południu i wieczorem... którego to było?

- Dwudziestego grudnia, w piątek.

- W piątek, dwudziestego grudnia. Spodziewam się, że będzie pani miała jakieś notatki.

- O, tak - oznajmiła panna Ellis wychodząc z pokoju. Wróciła wertując terminarz biurowy.

- Był pan w biurze rankiem dwudziestego grudnia. Miał pan rozmowy z panem Goldie o fuzji Cromartie, jadł pan lunch z lordem Forthville przy Berkeley...

- Ach, - to było tego dnia, tak, piątek.

- Wrócił pan do biura koło trzeciej i podyktował pół tuzina listów. Potem wyszedł pan, by wziąć udział w aukcji u Sotheby'ego, gdzie interesowały pana jakieś rzadkie manuskrypty, które miały być tego dnia wystawione na sprzedaż. Nie wrócił pan już do biura, ale mam notatkę, żeby przypomnieć, że ma pan wieczorem obiad w pańskim klubie - spojrzała pytająco.

- Dziękuję, panno Ellis.

Sprawna sekretarka wypłynęła z gabinetu.

- Teraz mam zupełną jasność - oznajmił Harold. - Poszedłem do Sotheby'ego tamtego popołudnia, ale obiekty, którymi byłem zainteresowany, osiągnęły zbyt wysoką cenę. Wypiłem herbatę w pewnym lokaliku przy Jermyn Street - zdaje się, że nazywał się Russels. Wpadłem do News Theatre na około pół godziny i poszedłem do domu. Mieszkam przy Cardigan Gardens 43. Obiad w klubie miał miejsce o siódmej trzydzieści. Następnie wróciłem do domu i położyłem się do łóżka. Sądzę, że powinno to być odpowiedzią na pańskie pytania.

- To bardzo przejrzyste, panie Crackenthorpe. O której był pan w domu, żeby się przebrać?

- Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że krótko po szóstej.

- A wieczorem?

- Kiedy przyszedłem do domu, było wpół do dwunastej.

- Czy wpuścił pana służący? A może lady Alicja?

- Moja żona, lady Alicja, jest za granicą, na południu Francji, a przebywa tam od początku grudnia. Sam wszedłem, posługując się moim kluczem.

- A więc nikt nie może potwierdzić pańskiego oświadczenia o godzinie powrotu do domu?

Harold spojrzał na niego chłodno:

- Myślę, że służba słyszała, kiedy wchodziłem. Zatrudniam służącego i jego żonę. Ale, doprawdy, inspektorze”.

- Proszę, panie Crackenthorpe, wiem, że tego rodzaju pytania są denerwujące, ale już prawie skończyłem. Czy posiada pan samochód?

- Tak, humbera.

- Sam go pan prowadzi?

- Tak. Używam go niewiele poza weekendami. Jazda po Londynie jest w dzisiejszych czasach niemożliwa.

- Czy używa go pan, jadąc w odwiedziny do ojca i siostry do Brackhampton?

- Nie, jeżeli nie zamierzam zostać dłuższy czas. Jeśli jadę tylko na noc - jak na przykład ostatnio na rozprawę - zawsze wybieram pociąg. Jest znakomite połączenie kolejowe, o wiele szybsze od samochodu. Na stacji oczekuje mnie samochód, który wynajmuje dla mnie siostra.

- Gdzie pan trzyma swój samochód?

- Mam garaż w dawnych stajniach za Cardigan Gardens. Jeszcze jakieś pytania?

- Myślę, że na razie to wszystko - powiedział z uśmiechem inspektor i wstał. - Bardzo mi przykro, że sprawiłem panu kłopot.

Kiedy wyszli, sierżant Wetherall, człowiek, żyjący w stanie permanentnej podejrzliwości wobec wszystkiego i wszystkich, zauważył znacząco:

- Nie podobały mu się te wszystkie pytania, w ogóle mu się nie podobały. Był rozwścieczony.

- Jeżeli nie popełniło się morderstwa, to naturalne, że drażni, kiedy ktoś inny podejrzewa, że się je popełniło - odparł z wyrozumiałością inspektor. - A szczególnie drażniło by to kogoś tak niezwykle szacownego, jak Harold Crackenthorpe. Nie ma w tym nic niezwykłego. Musimy teraz sprawdzić, czy ktoś rzeczywiście widział go na aukcji tego popołudnia, to samo się tyczy herbaciarni. Mógł łatwo pojechać o 4.33, wypchnąć kobietę z pociągu i złapać pociąg do Londynu, żeby na czas pojawić się na kolacji. Potem mógł pojechać samochodem, przenieść ciało do sarkofagu i wrócić do domu. Sprawdźcie w starych stajniach.

- Tak jest, sir. Czy myśli pan, że tak właśnie zrobił?

- Skąd mam wiedzieć? - spytał inspektor Craddock. - Jest wysokim brunetem. Mógł jechać tym pociągiem i ma związek z Rutherford Hall. Jest jednym z prawdopodobnych podejrzanych w tej sprawie, A teraz do braciszka Alfreda.

II

Alfred Crackenthorpe miał mieszkanie w dzielnicy West Hampstead, w dużym, nowoczesnym budynku, nieco tandetnie zbudowanym, z obszernym podwórzem, na którym mieszkańcy parkowali swe samochody. Mieszkanie było najwyraźniej wynajęte wraz z umeblowaniem, które obejmowało długi stół ze sklejki przystawiony do ściany, tapczan i rozmaite krzesła o nieprawdopodobnych proporcjach.

Alfred Crackenthorpe powitał ich z ujmującą serdecznością, ale inspektor zauważył, że był zdenerwowany.

- Jestem zaintrygowany - oznajmił Alfred. - Inspektorze, czy mogę panom zaproponować drinka? - wskazał zachęcająco na różne butelki.

- Nie, dziękujemy, panie Crackenthorpe.

- Aż tak źle? - zaśmiał się z własnego żartu, a potem zapytał, o co chodzi.

Inspektor Craddock postawił to samo pytanie.

- Co robiłem po południu i wieczorem dwudziestego grudnia? Skąd miałbym wiedzieć? Przecież to... zaraz... Ponad trzy tygodnie temu.

- Pański brat Harold umiał nam to powiedzieć bardzo dokładnie.

- Mój brat Harold, to możliwe. Ale nie brat Alfred.

Z nutką złośliwości, może wynikającej z zazdrości, dodał:

- Harold jest tym członkiem rodziny, któremu się powiodło: ruchliwy, przydatny, ma stałe

zajęcie, ma czas na wszystko i wszystko na czas. Nawet gdyby miał popełnić, powiedzmy, morderstwo, byłoby precyzyjnie rozplanowane i dokładne.

- Ma pan jakieś szczególne powody, żeby użyć tego właśnie przykładu?

- Och, nie. Po prostu przyszedł mi do głowy, jako coś zupełnie absurdałnego.

- A teraz o panu. Alfred rozłożył ręce.

- Jest tak, jak już mówiłem. Nie mam pamięci do miejsc i nazwisk. Gdybyście teraz zapytali o Boże Narodzenie, powinienem być w stanie wam odpowiedzieć - jest się czego uchwycić. Wiem, gdzie byłem w Boże Narodzenie. Spędziliśmy je u ojca w Brackhampton. Naprawdę, nie wiem czemu. Narzeka na koszty podejmowania nas, a gdybyśmy nie przyjechali, narzekałby, że nigdy nie przyjeżdżamy do niego. Właściwie zbieramy się tam, żeby zrobić przyjemność siostrze.

- I zrobiliście to w tym roku?

- Tak.

- Ale, niestety, wasz ojciec nagle zachorował, prawda?

Craddock z rozmysłem zboczył z zasadniczego tematu, wiedziony intuicją, często towarzyszącą mu w pracy.

- Zachorował. Jada na co dzień jak wróbel, oddając się wzniosłej sprawie oszczędzania, więc nagłe jedzenie i picie w normalnych ilościach przyniosło taki właśnie skutek.

- I to było wszystko, tak?

- Oczywiście. Cóż jeszcze?

-.Zrozumiałem, że jego doktor był... zaniepokojony.

- Ach, ten stary głupiec Quimper - odpowiedział Alfred z pogardą. - Nie ma sensu go słuchać, inspektorze. Jest okropnym panikarzem.

- Doprawdy? Wydał mi się raczej rozsądnym człowiekiem.

- Jest zupełnym głupcem. Ojciec naprawdę nie jest inwalidą, jego serce jest zupełnie w porządku, ale świetnie nabiera Quimpera. Naturalnie, kiedy ojciec naprawdę poczuł się źle, narobił okropnego zamieszania, ganiał Quimpera we wszystkie strony, żeby zadawał pytania i sprawdzał wszystko, co jadł i pił. To było niedorzeczne! - Alfred mówił głośno, z niezwykłym dla niego zaangażowaniem.

Craddock milczał przez chwilę dla efektu.

Alfred począł kręcić się nerwowo, spojrzał na niego szybko i w końcu spytał z dziecinnym rozdrażnieniem:

- Czy to wszystko? Dlaczego chcecie wiedzieć, gdzie byłem pewnego piątku, trzy czy cztery tygodnie temu?

- A więc pamięta pan, że to był piątek?

- Chyba tak pan powiedział.

- Być może - zgodził się Craddock. - W każdym razie, piątek dwudziestego jest dniem, o który pana pytam.

- Dlaczego?

- Rutynowe dochodzenie.

- To nonsens. Dowiedzieliście się czegoś więcej o tej kobiecie? Skąd przyjechała?

- Nasze informacje nic są jeszcze kompletne. Alfred spojrzał na niego nieprzyjaźnie:

- Mam nadzieję, że nie daliście się zmylić tą obłądną teorią Emmy, że mogła być wdową po moim bracie Edmundzie. To zupełny nonsens.

- Ta... Martine, czy nigdy nie zwracała się do pana?

- Do mnie? Dobry Boże, nie! To byłoby dopiero zabawne.

- Sądzi pan, że wybrałaby raczej pańskiego brata Harolda?

- To znacznie bardziej prawdopodobne. Wzmianki o nim pojawiają się często w gazetach. Jest zamożny. Nie zaskoczyłaby mnie próba w tamtym kierunku. Nie, żeby coś miała dostać. Harold ma takiego samego węża w kieszeni, jak stary. Emma, oczywiście, jest w rodzinie tą o miękkim sercu, no i była ulubienicą Edmunda. Jednak Emma nie jest łatwowierna. Zdawała sobie w pełni sprawę, że ta kobieta mogła być oszustką. Pozostawiła to do rozstrzygnięcia w obecności całej rodziny oraz skostniałego prawnika.

- Bardzo mądrze - pochwalił Craddock. - Czy konkretny termin spotkania został ustalony?

- Miało to być krótko po Bożym Narodzeniu, w weekend dwudziestego siódmego... - urwał.

- Ach - ucieszył się inspektor. - A więc widzę, że niektóre daty mają dla pana jakieś znaczenie.

- Mówiłem wam: nie został ustalony żaden konkretny termin.

- Ale przed chwilą mówił pan o tym, kiedy.

- Doprawdy nie pamiętam.

- I nie może mi pan powiedzieć, co pan sam robił w piątek, dwudziestego grudnia?

- Przykro mi - mam zupełną pustkę w głowie.

- Nie prowadzi pan zapisków w notesie?

- Nie znoszę takich rzeczy.

- Ale piątek przed świętami, to nie powinno być zbyt trudne do odtworzenia.

- Grałem w golfa któregoś dnia z potencjalnym klientem - Alfred pokręcił głową. - Nie, to było tydzień wcześniej. Pewnie się gdzieś włóczyłem. Sporo czasu tak spędzam. Uważam, że więcej interesów robi się w knajpach, niż gdziekolwiek indziej.

- Może sąsiedzi, albo ktoś z pańskich przyjaciół będzie w stanie pomóc? - Może. Spytałem ich. Zrobię, co w mojej mocy. Alfred wyglądał teraz na bardziej pewnego siebie:

- Nie potrafię wam powiedzieć, co robiłem tego dnia, ale mogę wam powiedzieć, czego nie robiłem. Nikogo nie mordowałem w Długiej Stodole.

- Dlaczego pan to mówi, panie Crackenthorpe?

- Ależ drogi inspektorze, prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa, prawda? I kiedy zaczyna pan pytać: "Gdzie pan był tego i tego dnia o tej i o tej godzinie?" uściśla pan sprawę. Bardzo bym chciał wiedzieć, jak wpadliście na piątek dwudziestego między... jak to było? Porą obiadową a północą? Nie może to być wynikiem autopsji, nie po takim czasie. Czy ktoś widział zmarłą, jak wkradała się do stodoły tamtego popołudnia? Weszła i już nie wyszła, i tak dalej? O to chodzi?

Przenikliwe, ciemne oczy przyglądały mu się bacznie, ale inspektor Craddock był za starym praktykiem, żeby reagować na takie sztuczki.

- Obawiam się, że będziemy musieli pozostawić pana z pańskimi przypuszczeniami - odezwał się spokojnie.

- Policja jest taka tajemnicza.

- Nie tylko policja, panie Crackenthorpe; pan mógłby sobie przypomnieć, co pan robił w tamten piątek, gdyby pan tylko spróbował. Oczywiście może pan mieć powody, żeby nic chcieć pamiętać...

- Tak mnie pan nie złapie, inspektorze. To bardzo podejrzane, oczywiście, bardzo podejrzane, że nic pamiętam - ale tak jest! Chwileczkę... pojechałem do Leeds w owym tygodniu... zatrzymałem się w hotelu niedaleko ratusza... nie pamiętam, jak się nazywa, ale dla was ustalenie tego będzie dość łatwe. To mogło być w tamten piątek.

- Sprawdzimy - odpowiedział beznamiętnym tonem inspektor i wstał, mówiąc:

- Przykro mi, że nie mógł pan być bardziej pomocny, panie Crackenthorpe.

- To bardzo dla mnie niefortunne. Jest Cedryk z jego pewnym alibi na Ibizie i Harold z potwierdzonymi spotkaniami w interesach i przyjęciami co godzina i jestem ja, bez żadnego alibi. Bardzo smutne. I takie głupie. Już wam mówiłem, że nie morduję ludzi. A w ogóle dlaczego miałbym zamordować obcą kobietę? Po co? Jeśli nawet jest to trup wdowy po Edmundzie, dlaczego którekolwiek z nas miałyby chcieć się jej pozbyć? Gdyby na przykład wyszła w czasie wojny za Harolda i zniecka pojawiła się tutaj, to mogłoby być przykre dla naszego czcigodnego H.: bigamia i tak dalej. Ale Edmund! Wszyscy mielibyśmy z tego tylko radość, gdyby ojca trochę zatkało, bo musiałby przyznać jej pensję i wysłać chłopca do porządnej szkoły. Ojciec wpadłby w furję, ale nic mogłoby, zachowując przyzwoitość, wykręcić się z tego obowiązku. Nie napiją się panowie drinka przed odejściem, inspektorze? Na pewno? To fatalnie, że nic mogłem wam pomóc.

III

- Proszę posłuchać, sir, wie pan co?

Inspektor Craddock spojrział na swego podnieconego sierżanta.

- O co chodzi, Wetherall?

- Umiejszcwiłem go, sir. Tego gościa. Cały czas próbowałem to zrobić i w końcu mi to przyszło do głowy. Był zamieszany w interes Dicky Rogersa z puszkowaną żywnością. Nic na niego nie mieliśmy - za duży z niego milczek. I był z jednym czy dwoma z tych z Soho. Sprawa zegarków i włoskich suwerenów.

Oczywiście! Craddock zdał sobie teraz sprawę, dlaczego twarz Alfreda wydawała mu się od początku znajoma. Wszystko to były drobne sprawy i nigdy żadnych dowodów. Alfred był zawsze na peryferiach lewych interesów, z wiarygodnie brzmiącą, niewinną przyczyną, dla której był w to wszystko zamieszany. Ale policja była zupełnie pewna, że mały, stały zysk szedł dla niego.

- To rzuca na sprawę pewne światło - powiedział Craddock.

- Myśli pan, sir, że to jego robota?

- Nie powiedziałbym, że jest typem mordercy. Ale to wyjaśnia, dlaczego nie mógł przedstawić alibi.

- Tak, to wyglądało dla niego niedobrze.

- Nie bardzo - Craddock nie zgodził się. - To całkiem sprytny sposób. Mnóstwo ludzi nie pamięta, co robili ani gdzie byli nawet tydzień temu. Jest to szczególnie użyteczne, jeśli nie chce się za bardzo zwracać uwagi na to, jak się spędza czas: interesujące spotkania z chłopcami od Dicky Rogersa w bazach ciężarówek, na przykład.

- Myśli pan więc, że jest czysty?

- Nie jestem jeszcze gotów do tego, żeby mówić, czy ktoś jest czysty, czy nie. Musicie nad tym popracować, Wetherall.

Usiadłszy z powrotem za biurkiem, Craddock zmarszczył brwi. Zaczął pisać w notatniku leżącym przed nim.

Morderca (napisał)... Wysoki brunet!!!

Ofiara...? Mogła nią być Martine, dziewczyna Edmunda Crackenthorpe lub wdowa po nim albo Anna Stravinska. Znikła we właściwym czasie, była w odpowiednim wieku i wyglądzie, ubraniu itp. Na razie nie są znane żadne związki z Rutherford Hall.

Mogła nią być, jak sugeruje Alfred, pierwsza żona Harolda! Bigamia! Albo jego kochanka.

Szantaż!

Jeżeli był związek z Alfredem, to możliwy szantaż.

Wiedziała o czymś, co mogło posłać go do więzienia?

Jeśli Cedryk - mogła mieć z nim kontakt za granicą - Paryż, Baleary?

albo

Ofiarą mogła być Anna S. udająca Martine

albo

Ofiarą jest nie znana kobieta, zabita przez nie znanego mordercę!

I najprawdopodobniej to ostatnie - powiedział głośno Craddock. Zamyślił się posepnie nad sytuacją. Nie posuniemy się ze sprawą daleko, jeżeli nie znajdziemy motywu. Wszystkie rozważane dotychczas, były albo niedostateczne, albo zbyt naciągane.

Gdyby to było zabójstwo starego pana Crackenthorpe... Tam byłoby mnóstwo motywów...

Coś mu zakłatało w pamięci... Dopisał w swoim notesie:

Zapytać dr. Q. o chorobę w święta.

Cedryk - alibi.

Skonsultować się z panną M. co do najświeższych plotek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kiedy Craddock dotarł na Madison Road pod numer 4, zastał u panny Marple Lucy Eyelesbarrow, na której widok chwilę się zawahał, a potem zdecydował, że może okazać się cennym sprzymierzeńcem.

Przywitawszy się, z poważną miną wyciągnął portfel i wyjął z niego trzy banknoty jednofuntowe, dołożył trzy szylingi i pchnął je przez stół do panny Marple.

- Co to jest, inspektorze?

- Wynagrodzenie konsultanta. Jest pani konsultantem w sprawie o morderstwo! Tętno, temperatura, lokalne reakcje, prawdopodobne przyczyny i podłoże wspomnianego morderstwa. Ja jestem tylko biednym, prześladowanym, prowincjonalnym internistą.

Panna Marple spojrzała na niego z rozbawieniem. Inspektor uśmiechnął się do niej szeroko. Lucy Eyelesbarrow wydała z siebie cichy okrzyk, a potem zaśmiała się:

- No przecież, inspektorze, jednak jest pan istotą ludzką!

- Dzisiaj po południu nie jestem, ściśle mówiąc, na służbie.

- Mówiłam ci, że poznaliśmy się już dawno - przypomniała Lucy panna Marple. - Sir Henry Clithering, mój bardzo stary przyjaciel, jest ojcem chrzestnym inspektora.

- Czy chciałaby pani posłuchać, panno Eyelesbarrow, co mój ojciec chrzestny powiedział o niej, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy? Opisał ją jako najdoskonalszego detektywa, jakiego kiedykolwiek Bóg stworzył, jako wrodzony geniusz rozwinięty na odpowiedniej glebie. Powiedział mi, żebym nigdy nie lekceważył - Dermot Craddock zatrzymał się na moment, by znaleźć stosowny odpowiednik "starych kwok" - ee... starszych pań. Wyraził się, że zwykle potrafią powiedzieć, co mogło się wydarzyć, co powinno było się wydarzyć, a nawet co się rzeczywiście zdarzyło! I umieją wyjaśnić, dlaczego to się zdarzyło. Stwierdził, że ta oto ee... starsza pani jest najlepsza w tej klasie.

- To prawdziwy hymn pochwalny! - wykrzyknęła Lucy.

Panna Marple zarumieniła się, zmieszana. Wyglądała teraz wyjątkowo nieporadnie.

- Drogi sir Henry - zamruczała. - Zawsze taki uprzejmy. Naprawdę wcale nie jestem taka sprytna - to tylko, być może, pewna niewielka znajomość ludzkiej natury. Mieszkając, rozumiecie, na wsi... - i dodała, już z większą pewnością siebie: - Oczywiście, tu jest mi nieco trudniej, gdyż nie byłam na swoim miejscu. Wystarczy jednak pamiętać, że typy ludzkie są wszędzie podobne, a to się staje cenną wskazówką w dochodzeniu do prawdy.

Lucy niezupełnie pojmowała, o co chodzi, ale Craddock przytaknął ze zrozumieniem.

- Ale zaproszono panią tam na herbatę, prawda? - spytał.

- Tak, rzeczywiście. Było bardzo przyjemnie. Trochę mnie rozczarowało, że nie poznałam starego pana Crackenthorpe, ale nic można mice wszystkiego.

- Ma pani wrażenie, że widząc osobę, która popełniła morderstwo, wiedziałaby pani, że to

właśnie ta?

- Och, tego bym nie powiedziała, moja droga. Każdy ma skłonność do zgadywania, a zgadywanie byłoby czymś bardzo niewłaściwym w sprawie tak poważnej, jak morderstwo. Jedyne, co można zrobić, to obserwować właściwych ludzi - lub tych, którzy mogliby być właściwi - i patrzeć, kogo przypominają.

- Jak Cedryk i dyrektor banku? Panna Marple poprawiła ją:

- Syn dyrektora banku, moja droga. Sam pan Eade był o wiele bardziej podobny do pana Harolda: bardzo konserwatywny człowiek choć, być może, trochę za bardzo lubił pieniądze. W dodatku ten typ człowieka, który posunąłby się daleko, żeby uniknąć skandalu.

Craddock uśmiechnął się i spytał:

- A Alfred?

- Jenkins z warsztatu - odparła natychmiast panna Marple. - Właściwie nie przywłaszczał sobie narzędzi, ale potrafił zamienić dobry podnośnik na zepsuty czy gorszy. I nie był zdaje się zbyt uczciwy z akumulatorami - chociaż na tych sprawach nie znam się zbyt dobrze. Wiem, że mój siostrzeniec Raymond przestał korzystać z jego usług i przeniósł się do warsztatu na drodze do Milchester. Co do Emmy - ciągnęła panna Marple z namysłem - bardzo mi przypomina Geraldine Webb, zawsze bardzo cichą, niepozorną jak szara mysz i niezłe tresowaną przez matkę. Jakim było zaskoczeniem dla wszystkich, kiedy matka nagle zmarła i Geraldine odziedziczyła niezłą sumkę pieniędzy, obcięła i zaondulowała włosy, pojechała w podróż statkiem i wróciła jako żona bardzo miłego prawnika. Mieli dwójkę dzieci.

Analogia była dostatecznie jasna. Toteż Lucy zapytała nieśmiało:

- Czy naprawdę powinna pani była mówić o zamążpójściu Emmy? Zdaje się, że zdenerwowało to jej braci.

Panna Marple przytaknęła:

- Tak, to takie męskie. Nigdy nie są w stanie zauważyć, co dzieje się pod ich nosem. Zdaje się, że ty sama też nie zauważyłaś.

- Nie - przyznała Lucy. - Nigdy o tym nie pomyślałam. Oboje zdawali mi się...

- Tacy starzy? - dopowiedziała panna Marple z lekkim uśmiechem. - Ale nie wydaje mi się, żeby doktor Quimper miał wiele ponad czterdziestkę, choć siwieje na skroniach, najwyraźniej też tęskni za życiem rodzinnym, a Emma jest przed czterdziestką i wcale nie jest za stara, żeby wyjść za mąż i mieć rodzinę. Żona doktora, jak słyszałam, zmarła w połogu dosyć młodo.

- Tak mi się zdaje. Emma mówiła coś o tym któregoś dnia.

- Musi być samotny - stwierdziła panna Marple.

- Ciężko zapracowany lekarz potrzebuje żony wyrozumiałej, niezbyt młodej.

- Zaraz, zaraz. Zajmujemy się sprawą morderstwa czy swatami? - zaprotestowała Lucy.

Rozbawiło to pannę Marple:

- Zdaje mi się, że jestem sentymentalna, jak niemal wszystkie, stare panny. Droga Lucy, uważam, że wypełniłaś zadanie. Jeżeli naprawdę chcesz pojechać na wakacje za granicę przed następnym zleceniem, będziesz miała jeszcze czas na krótką wycieczkę.

- Wyjechać z Rutherford Hall? Nigdy! Jest już teraz ze mnie prawdziwy detektyw. Jestem prawie taka sama jak chłopcy. Po całych dniach nic nie robią, tylko szukają śladów. Wczoraj przetrząsnęli wszystkie kubły na śmieci - to bardzo niesmaczne - i nie mają przy tym najmniejszego pojęcia, czego szukają. Kiedy przyjdą do pana, inspektorze, niosąc triumfalnie podarty skrawek papieru z napisem

”Martine”, niech pan, jeśli panu życie miłe, trzyma się z daleka od Długiej Stodoły! Będzie pan wtedy wiedział, że zlitowałam się nad nimi i ukryłam to w chlewie! - Dlaczego w chlewie, kochanie? - zainteresowała się panna Marple. - Czy oni hodują świnie?

- Och, nie, nie teraz. Po prostu... czasami tam zachodzę.

Z jakiejś przyczyny Lucy zarumieniła się. Panna Marple popatrzyła na nią z rosnącym zainteresowaniem.

- Kto jest teraz w domu? - zapytał Craddock.

- Jest Cedryk, a Bryan wpadł na weekend. Harold i Alfred przyjeżdżają jutro. Dzisiaj dzwonili.

Odniosłam wrażenie, jakby pan wpuścił lisa do kurnika, inspektorze.

Craddock uśmiechnął się:

- Trochę nimi potrząsnąłem. Poprosiłem, aby zdali sprawozdanie ze swoich poczynań w piątek dwudziestego grudnia.

- I zrobili to?

- Harold tak, Alfred nie potrafił albo nie chciał.

- Myślę, że alibi to bardzo trudna sprawa. Godziny, miejsca i daty. Musi być też ciężko je sprawdzić.

- Zajmuje to sporo czasu i wymaga cierpliwości, ale dajemy sobie radę - rzucił okiem na zegarek.

- Jadę teraz do Rutherford Hall zamienić słówko z Cedrykiem, ale najpierw chcę złapać Quimpera.

- Będzie pan mniej więcej we właściwej porze. Od szóstej przyjmuje pacjentów i kończy za pół godziny. Muszę wracać i zająć się kolacją.

- Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jakie jest pani zdanie w pewnej kwestii, panno Eyelesbarrow. Jak rodzina ustosunkowuje się do sprawy Martine, kiedy są sami?

Lucy odpowiedziała natychmiast:

- Wszyscy są wściekli na Emmę, że poszła z tym do pana, i na Quimpera, który podobno zachęcił ją do tego. Harold i Alfred uważają, że to było oszustwo i naciąganie. Cedryk też tak myśli, ale nie bierze całej historii tak poważnie, jak tamci dwaj. Bryan natomiast zdaje się przekonany, że list był prawdziwy.

- A to czemu?

- Bo taki już jest. Akceptuje powierzchowną stronę rzeczywistości. Myśli, że to była żona Edmunda - albo raczej wdowa po nim - i że musiała nagle wrócić do Francji, ale że kiedyś znowu się odezwie. Jest dla niego czymś zupełnie naturalnym, że do tej pory nic napisała, bo sam nigdy nie pisze listów. Bryan jest uroczy. Zupełnie jak pies, który chce, żeby go wziąć na spacer.

- I zabierasz go na spacer, kochanie? - spytała panna Marple. - Może do chlewów?

Lucy rzuciła jej przenikliwe spojrzenie.

- Przez dom przewija się tyłu mężczyzn - zamyśliła się głęboko sędziwa dama.

Wymawiając słowo ”mężczyźni”, panna Marple zawsze nadawała mu w pełni wiktoriańskie brzmienie - dalekie echo epoki, która właściwie skończyła się przed jej własnymi czasami. Natychmiast przywodziło ono na myśl kipiących energią, pełnokrwistych samców, prawdopodobnie noszących bokobrody, czasem łotrów, ale zawsze szarmanckich.’

- Jesteś taka ładna - ciągnęła dalej panna Marple. - Myślę, że muszą ci poświęcać bardzo wiele uwagi, czy się mylę?

Lucy zaczerwieniła się lekko. Przez jej myśl przebiegły okruchy wspomnień. Cedryk, opierający się o ścianę chlewu. Niepocieszony Bryan, siedzący na kuchennym stole. Palce Alfreda, dotykające

jej dłoni, kiedy pomagał uprzątać filizanki po kawie.

- Mężczyźni są wszyscy w pewien sposób bardzo do siebie podobni - powiedziała panna Marple takim tonem, jakby mówiła o jakimś nieznanym i niebezpiecznym gatunku. - Nawet kiedy są zupełnie starzy...

- Kochanie! - wykrzyknęła Lucy. - Kilka wieków temu z całą pewnością spłonęłaby pani jako czarownica! - i opowiedziała o mglistej propozycji małżeństwa starego pana Crackenthorpe.

- Właściwie wszyscy w jakiś sposób robili mi, jak by to pani nazwała, awanse. Harold był bardzo poprawny - korzystna finansowo posada w City. Nie sądzę, żeby sprawiła to moja atrakcyjna powierzchowność. Myślą, że coś wiem - roześmiała się.

Ale inspektor Craddock spowaźniał.

- Proszę być ostrożną - ostrzegł. - Mogą panią zamordować, zamiast robić pani awanse.

- Przypuszczam, że to byłoby prostsze - zgodziła się Lucy i lekko zadrżała.

- Łatwo się zapomina o niebezpieczeństwie. Chłopcy mają tyle radości z tego "śledztwa", że wydało się to niemal zabawą. A to nie zabawa.

- Nie - przyznała panna Marple. - Morderstwo to nie zabawa.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym panna Marple zapytała:

- Czy chłopcy nie idą wkrótce do szkoły?

- Tak, w przyszłym tygodniu. Jutro jadą do domu Jamesa Stoddarda-Westa na kilka ostatnich dni ferii.

- Cieszę się z tego - stwierdziła poważnie panna Marple. - Nie chciałabym, żeby coś się stało, kiedy są w Rutherford Hall.

- Ma pani na myśli, że coś grozi staremu panu Crackenthorpe. Sądzi pani, że ma być następną ofiarą?

- Och, nie. Jemu nic nie będzie. Miałam na myśli chłopców.

- Więc Aleksandra? - Myszkuje wszędzie, szukają śladów. Chłopcy uwielbiają takie rzeczy, ale może to być rzeczywiście bardzo niebezpieczne*.

Craddock spojrział na nią w zamyśleniu:

- Nie jest pani skłonna wierzyć, prawda, panno Marple, że jest to sprawa nieznannej kobiety zamordowanej przez nieznanego mężczyznę? Wiąże to pani zdecydowanie z Rutherford Hall?

- Myślę, że tak.

- Wszystko, co wiemy o mordercy, to że jest wysokim brunetem. Tak mówi pani przyjaciółka i tyle tylko jest w stanie powiedzieć. W Rutherford jest trzech wysokich brunetów. W dniu rozprawy wyszedłem, i zobaczyłem trzech braci czekających przed gmachem sądu na samochód. Wszyscy trzej byli odwróceny do mnie plecami i zaskakujące było, jak byli do siebie podobni w tych grubych płaszczach. Trzech wysokich brunetów. A jednak, są naprawdę zupełnie inni - westchnął. - A to bardzo utrudnia sprawę.

- Zastanawiam się - mruknęła panna Marple - czy przypadkiem to wszystko nie jest znacznie mniej skomplikowane niż sądzimy. Morderstwa mają często przyczyny całkiem proste, z oczywistym, dość przyziemnym motywem...

- Wierzy pani w tajemniczą Martine, panno Marple?

- Jestem raczej skłonna uwierzyć, że Edmund Crackenthorpe ożenił się albo miał zamiar ożenić z dziewczyną o imieniu Martine. Emma Crackenthorpe pokazała panu list od niego, jak rozumiem, a z tego, co widziałam i co wynika ze słów Lucy, jest osobą zupełnie niezdolną do tego, żeby coś takiego

wymyślić. I właściwie po co miałyby to robić?

- Skoro uznajemy istnienie Martine, to mamy rodzaj motywu - stwierdził z namysłem Craddock. - Pojawienie się Martine z synem zmniejszyłoby spadek rodzeństwa Crackenthorpe, chociaż, jak się zdaje, raczej nie do punktu, który mógłby ich pchnąć aż do zbrodni. Wszyscy z nich bardzo cienko przędą...

- Nawet Harold? - spytała Lucy z niedowierzaniem.

- Tak. Nawet pozornie zamożny Harold Crackenthorpe nie jest trzeźwym i konserwatywnym finansistą, jakim się wydaje. Poważnie pograżył się, angażując w niewłaściwe przedsięwzięcia. Duża suma, w krótkim czasie, mogłaby mu pozwolić na uniknięcie katastrofy.

- Ale jeśli tak... - zaczęła Lucy i przerwała.

- Co chciała pani powiedzieć?

- Wiem, moja droga. Nie to morderstwo. To masz na myśli, prawda? - spytała panna Marple.

- Tak. Śmierć Martine na nic by się nie przydała Haroldowi ani żadnemu innemu z nich. Dopóki...

- Dopóki żyje Luther Crackenthorpe. Dokładnie to przyszło mi do głowy. A pan Crackenthorpe senior, jak wnoszę z tego, co mówi jego lekarz, miewa się znacznie lepiej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

- Będzie trwał całe lata - podsumowała Lucy i zmarszczyła brwi.

- Więc? - zachęcająco odezwał się Craddock.

- Chorował w czasie świąt. Skarżył się, że doktor zrobił wokół tego mnóstwo zamieszania. "Každy by pomyślał, że zostałem otruty, przez ten hałas, jaki zrobił" - tak właśnie powiedział.

Spojrzała na Craddocka pytająco:

- Tak. O to chcę spytać doktora Quimpera - oznajmił.

- Wielkie nieba, jak późno! Muszę iść! - wykrzyknęła Lucy.

Starsza pani odłożyła robótkę i wzięła "Timesa" z na wpół rozwiązaną krzyżówką.

- Szkoda, że nie mam tutaj słownika - wymruczała. - Tontina i tokaj - zawsze myślę te dwa słowa.

Jedno, to jak mi się zdaje, węgierskie wino.

- Tokaj - odpowiedziała Lucy odwracając się w drzwiach. - Ale pierwsze jest siedmio - a drugie pięcioliterowe. Jakie hasło?

- Och, to nie z krzyżówki - odpowiedziała niejasno panna Marple. - Miałam je w głowie.

Inspektor Craddock spojrzał na nią bardzo uważnie, następnie pożegnał się i wyszedł.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

I

Craddock musiał parę minut poczekać, nim Quimper skończył przyjmować pacjentów i wyszedł do niego. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Zaproponował inspektorowi drinka i przygotował jednego również dla siebie.

- Biedni dranie - powiedział, zagłębiając się w wytartym fotelu. - Tacy przerażeni i tacy głupi, wszystko bez sensu. Miałem przykry przypadek tego wieczora. Kobieta, która powinna była przyjść do mnie rok temu. Wtedy mogła być skutecznie zoperowana. Teraz jest za późno. Wścieka mnie to. Ludzie są nadzwyczajną mieszanką bohaterstwa i tchórzostwa. Cierpi katusze, znosząc je bez słowa tylko dlatego, że bała się przyjść i dowiedzieć się, że to, czego się obawiała, mogłoby okazać się prawdą. Na drugim końcu skali są ludzie, którzy przychodzą i zajmują mi czas niebezpiecznym zgrubieniem, powodującym straszliwy ból w małym palcu, i myślą, że to może być rak, a okazuje się zwykłym odciskiem od pracy w ogrodzie! Cóż, proszę na mnie nie zwracać uwagi. Jestem wypompowany. Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć?

- Po pierwsze, chciałbym podziękować panu za to, że doradził pan pani Crackenthorpe, żeby przysłała do mnie z tym listem, napisanym rzekomo przez wdowę po jej bracie.

- Ach, to? Było w tym coś? Właściwie to jej nie doradziłem, żeby z tym do pana poszła. Sama chciała. Niepokoila się. Wszyscy kochani, mili braciszku usiłowali ją powstrzymać, rzecz jasna.

- Dlaczego?

Doktor wzruszył ramionami:

- Obawiali się, że ta dama rzeczywiście mogłaby okazać się żoną Edmunda.

- Sądzi pan, że ten list był prawdziwy?

- Nie mam pojęcia. Właściwie nigdy go nie widziałem. Przypuszczam, że wysłał go ktoś, kto znał fakty, i po prostu próbował coś na tym skorzystać, grając na uczuciach Emmy. Tu jednak bardzo się pomylił. Emma nie jest głupia. Nie przygarnęłaby do łona nieznannej szwagierki, nie zadając wpierw kilku rzeczowych pytań.

Z pewnym zainteresowaniem dodał:

- Ale dlaczego pyta pan mnie o zdanie? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Naprawdę przyszedłem spytać o coś zupełnie innego, ale nie bardzo wiem, jak mam to ująć.

Doktor Quimper spojrział na niego z zaciekawieniem.

- O ile mi wiadomo, niezbyt dawno temu, w czasie świąt, pan Crackenthorpe miał dość poważny atak.

Inspektor od razu zauważył zmianę na twarzy doktora. Jego rysy stwardniały.

- Tak.

- Rodzaj zaburzeń gastrycznych?

- Tak.

- Jak by to ująć... Pan Crackenthorpe przechwalał się swoim zdrowiem, mówiąc, że zamierza przeżyć większość rodziny. Określił pana... wybaczy mi pan, doktorze...

- Och, mną proszę się nie przejmować. Nie wzrusza mnie, co moi pacjenci o mnie mówią! - Mówił, że pan robił wokół tego stanowczo zbyt wiele szumu.

Quimper uśmiechnął się.

- Powiedział, że zadawał mu pan najróżniejsze pytania - dodał inspektor. - Nie tylko, co zjadł, ale kto to przyrządzał i podawał.

Teraz doktor już się nie uśmiechał. Twarz znów mu stężała:

- Proszę dalej.

- Wyraził się jakoś podobnie do: "Mówił tak, jak gdyby ktoś mnie próbował otruć".

Na chwilę zapadła cisza.

- Czy miał pan jakieś podejrzenia... tego rodzaju?

Quimper nie odpowiedział od razu. Wstał i przechadzał się tam i z powrotem. W końcu obrócił się na pięcie i zwrócił twarzą do Craddocka.

- Co pan, do cholery, spodziewa się, że powiem? Czy myśli pan, że lekarz może tak sobie pozwolić rzucać na prawo i lewo podejrzenia o otrucie bez jakichkolwiek dowodów?!

- Chciałbym po prostu wiedzieć, tylko dla mojej wiadomości, czy w ogóle zaświtała panu taka myśl?

Doktor odpowiedział wymijająco:

- Stary Crackenthorpe prowadzi zdecydowanie skromne życie. Kiedy zjeżdża się rodzina, Emma zwiększa ilość jedzenia. Efekt: przykry atak nieżyty żołądka. Symptomy odpowiadały tej diagnozie.

- Rozumiem. Był pan zupełnie zadowolony? Nie był pan w ogóle, powiedzmy, zaintrygowany? - naciskał Craddock.

- No dobrze, dobrze. Tak, byłem rzeczywiście, jak pan to ujął, zaintrygowany. Zadowolony pan?

- Interesuje mnie, co pan właściwie podejrzewał, albo czego się pan obawiał? - spytał Craddock.

- Przypadki żołądkowe są, oczywiście, różne. Tu wystąpiły jednak pewne objawy, które byłyby, powiedzmy, bardziej właściwe dla zatrucia arsenikiem, niż dla zwykłego nieżyty żołądka. Proszę jednak pamiętać, że symptomy obu przypadków są do siebie bardzo podobne. Lepszym ode mnie zdarzało się nie rozpoznać zatrucia arsenikiem i wydać orzeczenie w dobrej wierze.

- I jaki był rezultat pańskiego dochodzenia?

- Wydawało się, że to, co podejrzewałem, nie mogło chyba być prawdą. Pan Crackenthorpe zapewniał mnie, że miewał już podobne ataki, zanim zacząłem go odwiedzać i, jak powiedział, z tej samej przyczyny. Miały miejsce zawsze wtedy, gdy było zbyt wiele obfitego pożywienia.

- A tak się działo, kiedy dom był pełen rodziny albo gości?

- Tak. To wydawało się dosyć sensowne. Ale tak szczerze, Craddock, nie byłem zadowolony. Posunąłem się nawet do tego, że napisałem do starego doktora Morrisa. Był moim współnikiem i przeszedł na emeryturę wkrótce po tym, jak do niego dołączyłem. Zapytałem o te wcześniejsze ataki starego.

- I jaką odpowiedź pan otrzymał?

Quimper uśmiechnął się szeroko:

- Odesłał mnie z kwitkiem. Powiedział mi coś w rodzaju: nie bądź cholernym głupcem. Cóż - wzruszył ramionami. - Najpewniej rzeczywiście nim byłem.

- Nie wiem - odrzekł w zamyśleniu Craddock. Wreszcie zdecydował się mówić otwarcie:

- Odkładając na bok dyskrecję, doktorze, są tacy, którzy bardzo skorzystaliby na śmierci Luthera Crackenthorpe - tu doktor skinął głową. - Jest stary, ale rzeński i krzepki. Mógłby pożyć gdzieś do dziewięćdziesiątki?

- Z łatwością. Spędza całe życie na dbaniu o siebie i jest ogólnie zdrowy.

- A jego synowie i córka posuwają się w latach i brak gotówki nieźle im doskwiera?

- Emmę wyłącz pan z tego. Nie jest trucicielką. Te ataki zdarzają się tylko wtedy, kiedy zbiera się tu cała rodzina, a nie wówczas, gdy są tylko we dwoje.

- Elementarna ostrożność - jeśli to właśnie jej sprawka - pomyślał inspektor, ale był zbyt rozsądny, żeby to powiedzieć głośno. Zaczął starannie dobierać słowa:

- Z całą pewnością. Jestem laikiem w tych sprawach, ale zakładając, że rzeczywiście podano arsenik, czyż Crackenthorpe nie miał ogromnego szczęścia, nie padając jego ofiarą?

- Tutaj, widzi pan, mamy coś dziwnego - odparł doktor. - To właśnie ta okoliczność sprawia, że przyznaję rację staremu Morrisowi, który nazwał mnie cholernym głupcem. Widzi pan, nie jest to z całą pewnością przypadek regularnego podawania małych dawek arsenu - co można byłoby nazwać klasyczną metodą trucia arszenikiem. Crackenthorpe nigdy nie miał chronicznych kłopotów z żołądkiem. To właśnie w pewnym sensie sprawia, że te nagłe, gwałtowne ataki wydają się nieusprawiedliwione. Zakładając więc, że nie zostały spowodowane przez przyczyny naturalne, wygląda, jakby truciciel za każdym razem knocił sprawę, co zupełnie nie ma sensu.

- Podając nieodpowiednią dawkę, to ma pan na myśli?

- Tak. Z drugiej strony, Crackenthorpe ma silne zdrowie i to, co załatwiłoby słabszego, jego nie może wykończyć. Zawsze trzeba się liczyć z czynnikami indywidualnymi. Ale mogłoby się zdawać, że do tej pory truciciel - jeżeli nie jest nadzwyczaj bojaźliwy - zwiększyłby dawkę. Czemu tego nie zrobił? Jeśli w ogóle jest jakiś truciciel - dodał. - Ale najprawdopodobniej go nie ma. Pewnie wszystko od początku do końca to moja przeklęta wyobraźnia.

- To dziwna sprawa - zgodził się inspektor. - Zdaje się nie mieć sensu.

II

- Inspektorze Craddock!

Niespodziewany, gorączkowy szept sprawił, że inspektor aż podskoczył. Miał właśnie zadzwonić do drzwi frontowych, kiedy Aleksander i jego przyjaciel Stoddard-West wyłonili się ostrożnie z cienia.

- Usłyszeliśmy pański samochód i chcieliśmy pana zatrzymać.

- Dobrze, wejdźmy do środka - dłoń Craddocka znów powędrowała do dzwonka, lecz Aleksander pociągnął go za płaszcz z psią gorliwością.

- Odkryliśmy ślad - wydyszał.

- Tak, odkryliśmy ślad - powtórzył jak echo Stoddard-West.

- Niech diabli wezmą tę dziewczynę - pomyślał o Lucy nieprzyjaźnie.

- Znakomicie - powiedział machinalnie. - Wejdźmy do środka i spójrzmy na to.

- Nie - Aleksander był natarczywy. - Ktoś na pewno nam przeszkodzi. Chodźmy do siodłarni. Zaprowadzimy pana.

Inspektor dość niechętnie pozwolił się poprowadzić za róg domu i dalej na podwórzec stajenny. Stoddard-West pchnął ciężkie drzwi, wyciągnął rękę i włączył słabiutkie światło. Siodlarnia, niegdyś szczyt wiktoriańskiego przepychu, była teraz smutną rupieciarnią. Połamane krzesła

ogrodowe, zardzewiałe narzędzia, wielki sfatygowany magiel, stare materace sprężynowe, hamaki i siatki do tenisa w stanie rozkładu.

- Często tu przebywamy - oznajmił Aleksander. - Tu można czuć się naprawdę swobodnie.

Wokół rzeczywiście widoczne były pewne oznaki zamieszkania. Zniszczone materace zostały ułożone jeden na drugim, tak że utworzyły rodzaj kanapy, na starym, zmatowiałym stole leżało duże pudełko ciastek w czekoladzie, było tam poza tym mnóstwo jabłek, puszka toffi i puzzle.

- To naprawdę jest ślad, sir - powiedział gorączkowo Stoddard-West z oczami błyszczącymi za szklami okularów. - Znaleźliśmy to dziś po południu.

- Szukaliśmy od wielu dni. W krzakach...

- I w spróchniałych drzewach...

- I sprawdziliśmy kubły na śmieci...

- Właściwie, to były tam bardzo zabawne i ciekawe rzeczy...

- A potem poszliśmy do kotłowni...

- Stary Hillman trzyma tam cynkowaną wannę, pełną starych papierów...

- Bo kiedy w piecu wygasa, a on chce pod nim na nowo zapalić...

- Każdy papier, jaki tylko się zapłaczę, podnosi i tam wpycha...

- I tam właśnie to znaleźliśmy...

- Co znaleźliście? - Craddock przerwał występ duetu.

- Ślad. Ostrożnie, Stodders, włóż rękawiczki. Stoddard-West, w poczuciu własnej ważności, według najlepszych wzorów powieści kryminalnych, naciągnął na dłonie parę raczej brudnych rękawiczek i wyjął z kieszeni kodakowski album fotograficzny. Z niego, odzianymi w rękawiczki palcami, z najwyższą ostrożnością wy dostał przybrudzoną i wymiętą kopertę, którą z namaszczeniem wręczył inspektorowi.

Obaj chłopcy wstrzymali oddech w napięciu.

Craddock przejął kopertę z należytą powagą. Lubił chłopców i był gotów przyłączyć się do ich zabawy.

List przeszedł przez pocztę, wewnątrz nie było nic, tylko sama rozdarta koperta, zaadresowana do pani Martine Crackenthorpe, 126 Elvers Crescent nr 10.

- Widzi pan? - zapytał Aleksander bez tchu. - To dowodzi, że ona tu była, to znaczy ta francuska żona wujka Edmunda, z powodu której jest to całe zamieszanie. Musiała być tu naprawdę i gdzieś się dać wykończyć. Tak to wygląda, prawda...

Stoddard-West wtrącił się:

- Wygląda na to, że to właśnie ona została zamordowana i czy nie sądzi pan, sir, że to po prostu ona musiała być w tym sarkofagu?

Czekali niecierpliwie. Craddock grał dalej:

- To prawdopodobne, bardzo prawdopodobne.

- Ważne odkrycie, prawda?

- Sprawdzi pan odciski palców na tym, sir?

- Oczywiście - potwierdził inspektor.

Stoddard-West głęboko westchnął:

- Mamy niesamowite szczęście, no nie? I to w ostatnim dniu!

- Ostatnim dniu?

- Tak - potwierdził Aleksander. - Jadę jutro do Stoddersa na kilka ostatnich dni ferii. Jego starzy

mają niesamowity dom z czasów królowej Anny, tak?

- Wilhelma i Mary - poprawił Stoddard-West. - Twoja mama mówiła zdaje się...
- Mama jest Francuzką. Nie zna się naprawdę na angielskiej architekturze.
- Ale twój ojciec mówił, że został wybudowany...

Craddock uważnie przyglądał się kopercie. Sprytna ta Lucy Eyelesbarrow. Jak udało jej się podrobić stempel pocztowy? Wpatrywał się uważnie, ale światło było zbyt słabe. Świetna zabawa dla chłopców, ale dla niego to raczej kłopotliwe. Lucy nie wzięła pod uwagę tej strony sprawy. Gdyby to było prawdziwe, spowodowałyby liczne następstwa.

Obok niego trwała ożywiona dyskusja na tematy architektoniczne. Był na nią głuchy.

- Chodźcie - zawołał. - Idziemy do domu. Bardzo mi pomogliście.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

I

Chłopcy wprowadzili Craddocka kuchennymi drzwiami. Wyglądało na to, że był to ich stały sposób wchodzenia do domu. Kuchnia była jasna i wesola. Lucy, w dużym białym fartuchu, zagniała ciasto. Bryan Eastley, opierając się łokciami na kredensie, wodził za nią psim wzrokiem. Jedną ręką podkręcał duże, jasne wąsy.

- Cześć, tato - powitał go poufale Aleksander. - Ty znów tutaj?
- Lubię to miejsce - odparł Bryan i dodał: - Panna Eyelesbarrow nie ma nic przeciwko temu.
- Oczywiście, że nie - potwierdziła Lucy. - Dobry wieczór, inspektorze.
- Przyszedł pan na inspekcję do kuchni? - spytał z zainteresowaniem Bryan.
- Niedokładnie. Pan Cedryk Crackenthorpe wciąż tu jest, prawda?
- Tak, Cedryk jest jeszcze. Czy chce się pan z nim zobaczyć?
- Tak, jeśli to możliwe, chciałbym z nim zamienić dwa słowa.
- Pójdę zobaczyć, czy jest w domu - zaofiarował się Bryan. - Mógł wyskoczyć do pubu.
- Bardzo panu dziękuję. Poszłabym sama, ale mam ręce całe w mące - powiedziała z wdzięcznością Lucy. Co pani robi? - spytał Stoddard-West dociekliwie.
- Flan brzoskwiniowy.
- Doobre - zaaprobował Stoddard-West, przeciągając z australijska.
- Zaraz będzie kolacja? - głos Aleksandra był pełen nadziei.
- Nie.
- O rany! Jestem okropnie głodny!
- W spiżarni jest resztkę ciasta imbirowego. Chłopcy popędzili tam równocześnie i zderzyli się w drzwiach.

- Są jak szarańcza - skomentowała Lucy.
- Gratuluję pani - powiedział Craddock.
- Czego właściwie?
- Pomysłowości!
- W czym?!

Craddock pokazał album z kopertą:

- Bardzo ładnie zrobione.
- O czym pan mówi?
- O tym, droga pani, o tym - wyjął kopertę do połowy.

Patrzyła na niego nic rozumiejąc. Inspektor poczuł, się nagle bardzo dziwnie:

- Nie spreparowała pani tego "śladu" i nie podłożyła w kotłowni, tak żeby go chłopcy znaleźli?
Prędko, proszę mi powiedzieć!

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi - oświadczyła Lucy.

Craddock szybko wsunął album z powrotem do kieszeni, gdyż wrócił Bryan:

- Cedryk jest w bibliotece. Proszę tam pójść. Powrócił na swoje miejsce na kredensie. Inspektor Craddock udał się do biblioteki.

II

Cedryk Crackenthorpe wydawał się zachwycony widząc inspektora.

- Jeszcze na przespiegi tu u nas? - spytał. - Jakież postępy?

- Mogę stwierdzić, że zrobiliśmy pewne postępy, panie Crackenthorpe.

- Odkryliście, kim był trup?

- Nie dokonaliśmy ostatecznej identyfikacji, ale mamy dość prawdopodobną hipotezę.

- To świetnie.

- W związku z naszymi najświeższymi informacjami, chcielibyśmy uzyskać kilka zeznań.

Zaczynam od pana, gdyż jest pan na miejscu.

- Już niedługo. Wracam na Ibizę za dzień lub dwa.

- Czyli, przybyłem w ostatniej chwili.

- Proszę pytać”.

- Prosiłbym pana o szczegółowe sprawozdanie z pańskich czynności w piątek, 20 grudnia.

Cedryk spojrział na niego szybko. Potem rozparł się w fotelu, ziewnął, przyjmując nonszalancką pozę i sprawiał wrażenie, jakby pogrążony był w usiłowaniach przypomnienia sobie owego piątku.

- Jak już panu mówiłem, byłem na Ibizie. Kłopot w tym, że jeden dzień jest tak podobny do drugiego. Malowanie rano, sjesta od trzeciej do piątej. Może troszkę szkiców, jeśli jest odpowiednie światło. Potem aperitif, raz z burmistrzem, kiedy indziej z doktorem, w kafejce na piazzie. Później coś w rodzaju improwizowanego posiłku. Większość wieczorów w barze u Scotty’ego z którymś z moich przyjaciół z niższych klas społecznych. Czy to panu wystarcza?

- Wolałbym raczej usłyszeć prawdę, panie Crackenthorpe.

Cedryk wyprostował się na fotelu.

- To bardzo obraźliwa uwaga, inspektorze.

- Tak pan myśli? Powiedział mi pan, że wyjechał z Ibizy 21 grudnia i przybył do Anglii tego samego dnia?

- Tak powiedziałem. Em! Hej, Em!

Emma Crackenthorpe weszła przez drzwi łączące bibliotekę z małą bawialnią. Popatrzyła na nich pytająco.

- Słuchaj, Em, przyjechałem tu na święta w poprzedzającą je sobotę, prawda? Prosto z lotniska?

- Tak - odpowiedziała Emma ze zdziwieniem.

- Byłeś tu w porze obiadu.

- No i ma pan - zwrócił się do inspektora Cedryk.

- Musi pan uważać nas za zupełnych głupców, panie Crackenthorpe - powiedział uprzejmie Craddock.

- Ale my potrafimy takie rzeczy sprawdzać. Myślę, że gdyby pokazał mi pan paszport...

Zawiesił głos wyczekująco.

- Nie mogę znaleźć tego cholerstwa - odpowiedział Cedryk. - Szukałem dzisiaj rano.

- Jestem pewien, że ma go pan pod ręką, panie Crackenthorpe. Ale nie jest naprawdę konieczne, żebym go oglądał. Nasze dane mówią, że naprawdę przybył pan do kraju wieczorem 19 grudnia.

Może zechce pan teraz zapoznać mnie z pańskimi poczynaniami od tego czasu do pory obiadu 21 grudnia, kiedy pan dojechał do Rutherford Hall.

Cedryk był naprawdę wściekły.

- Życie w dzisiejszych czasach jest piekłem - powiedział ze złością. - Całe to urzędowanie i wypełnianie druków. Oto produkt państwa biurokratycznego. Już w ogóle nie można się ruszyć, gdzie się chce. Zawsze ktoś zadaje pytania. O co to całe zamieszanie z tym dwudziestym? Co szczególnego stało się tego dnia?

- Tak się składa, że jest to dzień, w którym, jak sądzimy, popełniono morderstwo. Oczywiście, może pan odmówić zeznań, ale...

- Kto twierdzi, że odmawiam zeznań? Dajcież człowiekowi chwilkę. A na rozprawie u koronera bardzo niejasno mówiliście o dacie morderstwa. Co nowego pojawiło się od tego czasu?

Craddock nie odpowiedział, a wówczas Cedryk patrząc kątem oka na Emmę zaproponował:

- Może przejdziemy do innego pokoju?

Emma zareagowała pośpiesznie:

- Zostawię was. Zatrzymała się w drzwiach:

- To jest poważne, Cedryku. Jeśli dwudziesty był dniem, kiedy dokonano morderstwa, musisz dokładnie powiedzieć inspektorowi, co wtedy robiłeś.

Przeszła do pokoju obok, zamykając za sobą drzwi.

- Kochana Em - powiedział Cedryk. - No dobra, to było tak. Rzeczywiście wyjechałem z Ibizy dziewiętnastego. Zaplanowałem sobie w Paryżu parodniową przerwę w podróży, żeby zrobić rundkę po przyjaciółkach na lewym brzegu Sekwany. Ale, prawdę mówiąc, w samolocie była bardzo atrakcyjna osóbką... Smakowity kąsek... Mówiąc po prostu, wysiedliśmy razem. Była w drodze do Stanów, musiała spędzić parę dni w Londynie, żeby dopilnować jakichś spraw. Dotarliśmy do Londynu dziewiętnastego. Zatrzymaliśmy się w hotelu Kingsway Palace, jeżeli pańscy szpiedzy jeszcze tego nie wykryli! Zameldowałem się jako John Brown. W takich okazjach nigdy nie należy występować pod własnym nazwiskiem.

- A dwudziestego?

Cedryk skrzywił się:

- Poranek z okropnym kacem.

- A popołudnie? Od trzeciej?

- Chwileczkę. Cóż, można by rzec, że zbijałem baki. Poszedłem do National Gallery - to przynajmniej szacowne miejsce. Byłem na filmie Rawenna z gór. Zawsze uwielbiałem westerny. Ten był rewelacyjny... Potem ze dwa drinki w barze i odrobina snu w pokoju, a koło dziesiątej ruszyliśmy z dziewczyną w kurs po najrozmaitszych spelunkach - nawet nie pamiętam, jak się większość z nich nazywała - jedna z nich to była chyba Skacząca Żaba. Moja towarzyszka wszystkie z nich знаła. Nieźle się urząłem i, prawdę mówiąc, niewiele więcej pamiętam do chwili, w której się obudziłem następnego ranka w jeszcze gorszym stanie. Dziewczyna wyskoczyła złapać samolot, a ja sobie polewałem głowę zimną wodą, poszedłem do apteki, żeby dali mi jakąś diabelską miksturę na tego kaca i w końcu ruszyłem tutaj, udając, że jadę prosto z Heathrow. Pomyślałem sobie, że nic ma potrzeby robić przykrości Emmie. Wie pan, jakie są kobiety. Zawsze boli je, kiedy nie przychodzi się prosto do domu. Musiałem od niej pożyczyć pieniądze, żeby zapłacić za taksówkę. Byłem kompletnie splukany. Starego nawet nie było sensu prosić. Nigdy by nie dał z siebie nic wydusić. Skąpe, stare bydlę. No i cóż, inspektorze, zadowolony pan?

- Czy ktoś mógłby coś z tego potwierdzić, panie Crackenthorpe? Powiedzmy, między godziną trzecią a siódmą?

- To chyba niemożliwe - oznajmił beztrosko Cedryk. - National Gallery, gdzie strażnicy patrzą na człowieka bezmyślnymi oczami i zatłoczona wystawa obrazów. Nie, to niemożliwe.

Wróciła Emma. W ręku miała kalendarzyk.

- Chce pan wiedzieć, co każdy z nas robił 20 grudnia, czy tak, inspektorze?

- Cóż... ee... tak, panno Crackenthorpe.

- Właśnie przeglądałam mój terminarz. Dwudziestego udałam się do Brackhampton, żeby wziąć udział w posiedzeniu komitetu fundacji kościelnej. Skończyło się przed drugą. Zjadłam lunch w Cadena Cafe z lady Adington i panną Bartlett, również członkiniami komitetu. Po lunchu robiłam zakupy: zapasy i prezenty świąteczne. Byłam u Greenforda, Lyalla i Swifta, Bootsa i prawdopodobnie jeszcze w kilku sklepach. Wypiłam herbatę w herbaciarni Shamrocka za kwadrans piąta, a później wyszłam na dworzec kolejowy po Bryana. Wróciłam do domu koło szóstej i stwierdziłam, że ojciec był w bardzo złym humorze. Zostawiłam dla niego lunch, ale pani Hart, która miała przyjść po południu i podać mu herbatę, nie zjawiała się. Był tak zirytowany, że zamknął się w swoim pokoju i nie chciał ani mnie wpuścić, ani ze mną rozmawiać. Nie lubi, kiedy wychodzę po południu, ale upieram się przy tym czasami.

- To chyba rozsądne. Dziękuję, panno Crackenthorpe.

Nie mógł jej powiedzieć, że ponieważ była kobietą mającą pięć stóp i siedem cali wzrostu, jej poczynania owego popołudnia nie były zbyt istotne. Zamiast tego spytał:

- Pozostali dwaj bracia pani przyjechali później, prawda?

- Alfred przyjechał późno wieczorem w sobotę. Mówi, że próbował dodzwonić się do mnie po południu, kiedy mnie nie było, a ojciec, kiedy jest w złym nastroju, nigdy nie podniesie słuchawki. Harold przyjechał dopiero w Wigilię.

- Jeszcze raz dziękuję, panno Crackenthorpe. - Może nie powinnam pytać, ale czy pojawiło się coś nowego, co posunęło dochodzenie do przodu?

Craddock wyjął album z kieszeni. Czubkami palców wydobył kopertę:

- Proszę tego nie dotykać, dobrze? Czy pani to rozpoznaje?

- Ależ... - Emma patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zupełnie zdezorientowana. - Przecież to moje pismo! To list, który napisałam do Martine!

- Tak właśnie przypuszczałam.

- Ale jak pan go zdobył? Czy ona...? Znaleźliście ją?

- Prawdopodobnie ją... znaleźliśmy. Ta pusta koperta została odkryta tutaj.

- W domu?

- Na terenie posiadłości.

- Więc... była tu jednak! Ona... To znaczy... że... Martine... tam w sarkofagu?

- Wydaje się to bardzo prawdopodobne - powiedział łagodnie Craddock.

Stało się to jeszcze bardziej prawdopodobne, kiedy wrócił do miasta. Czekala tam na niego wiadomość od Armanda Dessina: Jedna z dziewcząt z baletu dostała kartkę od Anny Stravinskiej. Historia o rejsie była prawdziwa! Dotarła do Jamajki i znakomicie się tam bawi!

Craddock zmiął kartkę i wrzucił ją do kosza na papiery.

III

- Muszę stwierdzić, że był to mój najfantastyczniejszy dzień w życiu - oznajmił Aleksander,

siedząc na łóżku i konsumując z powagą batonik czekoladowy. - Żeby znaleźć prawdziwy dowód! - jego głos pełen był nabożnego zachwytu.

- Właściwie całe ferie były fantastyczne - dodał pogodnie. - Nie sędzę, żeby jeszcze kiedyś zdarzyło się coś takiego.

- Mam nadzieję, że mnie się nie zdarzy - powiedziała Lucy, która klęcząc pakowała do walizki ciuchy Aleksandra. - Czy chcesz zabrać ze sobą całą tę fantastykę naukową?

- Nie te dwie na wierzchu. Już je przeczytałem. Piłka, korkotrapki i gumowce mogą być osobno.

- Z jakimi dziwnymi rzeczami podróżujecie, wy chłopcy!

- To nie ma znaczenia. Wysyłają po nas rolls-royce'a. Mają fantastycznego rollsa. Mają też nowego mercedesa.

- Muszą być bogaci.

- Nieprawdopodobnie. I bardzo fajni. Jednak wolałbym stąd nie wyjeżdżać. Mogą pojawić się nowe zwłoki.

- Mam szczerą nadzieję, że nie.

- Ale, tak jest często w książkach. Ktoś, kto coś widział albo słyszał, też zostaje wykończony. To by mogła być pani - dodał, odwijając drugi baton.

- Dziękuję ci.

- Nie chcę, żeby to była pani - zapewnił ją Aleksander. - Bardzo panią lubię, Stodders także. Uważamy, że jest z pani kucharka nie z tej ziemi. Żarcie było cudowne! Jest też pani bardzo rozsądna. To ostatnie było wyraźnie zamierzone jako wyraz najwyższego uznania, więc Lucy tak to przyjęła.

- Dziękuję - powiedziała. - Ale nie zamierzam dać się zabić, tylko żeby zrobić wam przyjemność.

- Więc niech pani lepiej uważa - poradził jej.

- A jeśli tatko pojawi się tu od czasu do czasu, to zajmie się nim pani, dobrze?

- Oczywiście - odpowiedziała lekko zaskoczona Lucy.

- Problem z tatkiem polega na tym, że życie w Londynie mu nie służy. Zadaje się z zupełnie nieodpowiednimi kobietami - pokręcił głową z dezaprobatą. - Bardzo go lubię, ale on potrzebuje kogoś, kto by się nim zajął - dodał. - Kręci się tu i tam i przebywa w nienajlepszym towarzystwie. Wielka szkoda, że mama umarła. Bryan potrzebuje prawdziwego domu - popatrzył poważnie na Lucy i sięgnął po następny baton.

- To już czwarty, Aleksandrze. Nie jedz go, bo będzie ci niedobrze - poprosiła.

- Nie przypuszczam. Kiedyś zjadłem sześć na raz i nic mi nie było. Mam strusi żołądek.

Zamilkł na moment i po chwili rzekł:

- Bryan panią lubi, wie pani?

- To bardzo mile z jego strony.

- Trochę z niego osioł w niektórych sprawach - powiedział pobłaźliwie. - Ale był świetnym pilotem myśliwskim. Jest okropnie odważny. I strasznie dobroduszny - urwał. Potem, zwróciwszy oczy ku sufitowi, powiedział z dość dużą pewnością siebie:

- Myślę, że naprawdę dobrze by było, gdyby się znowu ożenił... Ja sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mieć macochę... Gdyby, oczywiście, była odpowiednią osobą...

Lekko wstrząśnięta Lucy zdała sobie sprawę, ku czemu zmierza Aleksander.

- Te wszystkie bzdury o macochach są zupełnie przestarzałe - ciągnął dalej, wciąż zwracając się do sufitu. - Mnóstwo typów, których znamy, Stodders i ja ma macochy, rozwody i tak dalej, i całkiem nieźle z nimi żyją. Oczywiście, dużo zależy od tego, jaka jest ta macocha. No i oczywiście powoduje

to trochę zamieszania w dniach różnych szkolnych świąt. Mam na myśli te dwa komplety rodziców. Ale za to jest wtedy nieźle z forszą! - przerwał, rozważając problemy współczesnego życia. - Najprzyjemniej mieć swój własny dom i własnych rodziców, ale jeśli matka nie żyje, powinien ją ktoś zastąpić. Jeśli jest kimś odpowiednim - powtórzył po raz trzeci.

Lucy poczuła się wzruszona.

- Myślę, że ty jesteś bardzo rozsądny, Aleksandrze. Musimy spróbować znaleźć jakąś miłą żonę dla twojego ojca.

- Tak - odpowiedział Aleksander i dodał jakby mimochodem:

- Właśnie o tym mówiłem. Bryan bardzo panią lubi. Powiedział mi to...

- Doprawdy, za dużo tu wokoło swatania! Najpierw panna Marple, a teraz Aleksander! - pomyślała Lucy. Z jakiegoś powodu przyszły jej do głowy chlewy. Wstała.

- Dobranoc, Aleksandrze. Zostały już do spakowania rano tylko rzeczy z prania i piżama. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział Aleksander. Wśliznął się pod kołdrę, położył głowę na poduszce, zamknął oczy i natychmiast zasnął. Wyglądał dokładnie jak śpiący aniołek na obrazku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

I

- Nie da się tego nazwać dowodem rozstrzygającym - skomentował sierżant Wetherall ze zwykłym dla niego pesymizmem.

Inspektor Craddock wczytywał się w raport dotyczący alibi Harolda Crackenthorpe w dniu 20 grudnia. Był widziany u Sotheby'ego około wpół do czwartej, ale podobno wyszedł zaraz potem. Nie rozpoznano go na zdjęciu okazanym w herbaciarni Russella, ale w tym czasie - była to pora herbaty - mieli duży ruch, a Harold nie był stałym klientem, więc nie było to zbyt zaskakujące. Służący potwierdził, że kwadrans przed siódmą wrócił na Cardigan Gardens, żeby przebrać się do uroczystego obiadu, dość późno, zważywszy, że obiad miał być o wpół do ósmej, i pan Crackenthorpe był w efekcie cokolwiek poirytowany. Nie słyszał go wracającego wieczorem ale, ponieważ było to pewien czas temu, może nie pamięta dokładnie. W każdym razie często nie słyszy, kiedy pan Crackenthorpe wchodzi. Oboje z żoną lubią kłaść się tak wcześnie, jak tylko mogą. Wynajęty garaż w dawnych stajniach, gdzie Harold Crackenthorpe trzyma swój samochód, jest oddzielny i osobno zamykany, toteż nikt nie zauważył, kto się tam pojawiał i nie było żadnego powodu, żeby zapamiętał ten właśnie wieczór.

- Wszystko negatywne - westchnął Craddock.

- Był na obiedzie w swoim klubie, ale wyszedł dosyć wcześnie, jeszcze przed końcem przemówień.

- Co na dworcach?

Nie było żadnych śladów, ani z Brackhampton, ani z Paddington. Minęły już prawie cztery tygodnie i było bardzo mało prawdopodobne, żeby ktoś jeszcze coś pamiętał.

Craddock westchnął i wyciągnął rękę po dane dotyczące Cedryka. Tu również brakowało pewnego alibi, chociaż taksówkarz niejasno pamiętał, że miał kurs na Paddington, gdzieś po południu, z kimś, kto "wyglądał cokolwiek jak ten facet. Brudne spodnie i strzecha włosów. Kłął trochę, bo opłaty za przejazd poszły w górę od kiedy ostatnio był w Anglii". Potrafił podać dzień, gdyż koń imieniem Pełzak wygrał przy stawce dwa do trzydziestu, a on nieźle na tym wyszedł. Zaraz po tym, jak wysadził gościa, usłyszał o tym przez radio w swojej taksówce i prosto stamtąd pojechał do domu świętować.

- Dzięki Bogu za wyścigi konne! - westchnął Craddock odkładając raport na bok.

- A tu jest Alfred - powiedział sierżant Wetherall. Ton jego głosu sprawił, że Craddock posłał mu uważne spojrzenie. Wetherall wyglądał, jak ktoś zadowolony z siebie, który zachował smakowity kąsek na sam koniec.

W zasadzie sprawdzenie wypadło też niezadowolająco. Alfred mieszkał sam, w mieszkaniu pojawiał się i znikał o nieokreślonych porach. Jego sąsiedzi nie należeli do rodzaju wścibskich, poza

tym jako urzędnicy biurowi cały dzień byli poza domem. Ale Wetherall wskazał swym dużym palcem ostatni akapit raportu.

Sierżant Leake, oddelegowany do sprawy kradzieży z ciężarówek, był w zajeździe Ładunek Cegieł, na drodze między Waddington a Brackhampton, obserwując niektórych kierowców. Zauważył przy sąsiednim stoliku Chicka Evansa, jednego z ludzi gangu Dicky Rogersa. Był z nim Alfred Crackenthorpe, znany mu z sali sądowej, gdzie widział go zeznającego w sprawie Dicka Rogersa. Zastanowiło sierżanta, co razem knuli ci dwaj. Czas: 11.30 wieczorem, piątek, 20 grudnia. Parę minut później Alfred Crackenthorpe wszedł do autobusu jadącego w kierunku Brackhampton. William Baker, konduktor na stacji Brackhampton, skasował bilet pewnemu gentlemanowi, którego znał z widzenia jako jednego z braci panny Crackenthorpe, dosłownie parę minut przed odjazdem pociągu o 11.55 do Paddington. Pamięta tę datę, bo akurat wtedy była ta historia ze stukniętą staruszką, która zarzekała się, że widziała owego popołudnia, jak kogoś mordowano w pociągu.

- Alfred? - mruknął Craddock odkładając raport. - Alfred? Ciekawe...

- To tutaj ukazuje go dokładnie we właściwym miejscu i czasie - orzekł Wetherall.

Craddock przytaknął. Tak, Alfred mógł jechać do Brackhampton pociągiem o 4.33 po południu i po drodze popełnić morderstwo. Pojechałby potem autobusem do Ładunku Cegieł. Posiedziałby tam aż do dziewiątej trzydzieści i miałby mnóstwo czasu, żeby pojechać do Rutherford Hall, przenieść ciało z nasypu do sarkofagu i wrócić do Brackhampton na czas, żeby złapać pociąg o 11.55 do Londynu. Jeden z ludzi gangu Dicka Rogersa mógł mu nawet pomóc w przenoszeniu zwłok, choć Craddock w to wątpił. To nieprzyjemni faceci, ale nie zabójcy.

- Alfred? - powtórzył z namysłem.

II

W Rutherford Hall odbywało się zgromadzenie rodziny Crackenthorpe. Harold i Alfred przyjechali z Londynu i bardzo prędko tony głosów uniosły się, podobnie jak emocje.

Z własnej inicjatywy Lucy zmieszała coctail z lodem w dzbanku i zaniosiła do biblioteki. Głosy rozlegały się wyraźnie aż w hallu; pod adresem Emmy kierowano wiele gorzkich słów.

- To wyłącznie twoja wina, Emmo - bas Harolda grzmiał złością. - Oburza mnie, że mogłaś być aż tak krótkowzroczna i lekkomyślna. Gdybyś nie zaniosiła tego listu do Scotland Yardu i nie zaczęła tego wszystkiego...

- Musiałaś chyba postradać zmysły! - wykrzyknął piskliwym głosem Alfred.

- Przestańcie już ją maltretować - zażądał Cedryk. - Co się stało, to się nie odstanie. Byłoby znacznie gorzej, gdyby zidentyfikowali tę kobietę jako zaginioną Martine, a my siedzielibyśmy cicho o tym, że się z nami skontaktowała.

- Bardzo to dla ciebie pomyslnie, Cedryku - powiedział ze złością Harold. - Nie było cię w kraju dwudziestego, dnia, o który pytają. Ale dla Alfreda i dla mnie samego to bardzo kłopotliwe. Na szczęście, ja potrafię sobie przypomnieć, gdzie byłem owego popołudnia i co wtedy robiłem.

- Założę się, że tak jest - zareplikował z przekąsem Alfred. - Gdybyś zaplanował morderstwo, jestem pewien, że alibi przygotowałbyś sobie bardzo dokładnie.

- Jak rozumiem, ty nie masz tego szczęścia - odpowiedział zimno Harold. - To zależy - odparł Alfred. - Wszystko jest lepsze od przedstawiania policji stuprocentowego alibi, jeśli naprawdę wcale nie jest takie stuprocentowe. Oni są sprytni w obalaniu takich rzeczy.

- Jeżeli insynuujesz, że to ja zabiłem tę kobietę...

- Och, przestańcie wszyscy - krzyknęła Emma. - Oczywiście, że żaden z was jej nie zabił.

- A tak dla waszej wiadomości, to dwudziestego nie byłem poza Anglią - oznajmił Cedryk. - I policja doskonale zdaje sobie z tego sprawę! Więc podejrzani jesteśmy wszyscy.

- Gdyby nie Emma...

- Och, nie zaczynaj znowu, Haroldzie! - wykrzyknęła Emma.

Doktor Quimper wyszedł do hallu z gabinetu, gdzie zamknął się z panem Crackenthorpe. Jego wzrok zatrzymał się na dzbanku w ręku Lucy.

- A to co, jakaś uroczystość?

- Raczej oliwa na wzburzone fale. Walczą tam na noże.

- Wzajemne wyrzuty?

- W większości napaści na Emmę.

Doktor Quimper uniósł brwi.

- Doprawdy? - wziął dzbanek z rąk Lucy, otworzył drzwi i wszedł.

- Dobry wieczór.

- Ach, doktor Quimper. Chciałbym zamienić z panem słówko - rozległ się głos Harolda, podniesiony i pełen irytacji. - Chciałbym się dowiedzieć, co miał pan na celu, mieszając się do prywatnej, rodzinnej sprawy i każąc mojej siostrze iść do Scotland Yardu.

Doktor Quimper odpowiedział spokojnie:

- Panna Crackenthorpe spytała mnie o radę. Udzieliłem jej. Moim zdaniem, miała zupełną rację.

- Śmie pan twierdzić...

- Dziewczyno!

Był to stały sposób zwracania się do Lucy przez pana Crackenthorpe. Wyglądał przez drzwi gabinetu do hallu.

Lucy odwróciła się dość niechętnie:

- Słucham, panie Crackenthorpe?

- Co podajesz nam dzisiaj na kolację? Chcę curry. Robisz dobre curry. Od wieków nie było curry.

- Wie pan, że chłopcy nie przepadają za tym.

- Chłopcy, chłopcy. Czy oni są ważni? To ja jestem ważny. Ale i tak chłopców już nie ma - nareszcie! Chcę dobre, ostre curry, słyszysz?

- W porządku, panie Crackenthorpe, dostanie je pan.

- To dobrze. Jesteś dobrą dziewczyną, Lucy. Dbasz o mnie, a ja zatroszczę się o ciebie.

Wróciła do kuchni. Porzuciwszy potrawkę z kurczęcia, którą zaplanowała na kolację, zaczęła przygotowywać curry. Drzwi frontowe zamknęły się z hukiem i przez okno zobaczyła, jak doktor Quimper wychodzi ze złością z domu i wsiada do samochodu.

Lucy westchnęła. Tęskniła za chłopcami. W pewien sposób tęskniła też za Bryanem. No dobrze. Usiadła i zaczęła czyścić grzyby. Niezależnie od wszystkiego poda rodzinie znakomity posiłek. Nakarmić bestie!

III

Była trzecia rano, kiedy doktor Quimper wprowadził samochód do garażu, zamknął jego drzwi i wszedł do domu, czując wielkie znużenie. Cóż, pan Simpkins dodał ładną, zdrową parę bliźniąt do swojej ósemki. Pan Simpkins nie przejawiał zadowolenia z ich nadejścia. - Bliźniaki - powiedział ponuro. - Co z nich za pożytek? Czworaczki, te są dobre. Ludzie przysyłają człowiekowi najróżniejsze rzeczy, zjeżdża się prasa, i w gazecie są zdjęcia, i mówi się o tym, i Jej Królewska

Mość przysłała telegram. A czym są bliźniaki, poza dwiema gębami do wykarmienia zamiast jednej? Nigdy w mojej rodzinie ani u mojej ślubnej nie bywało bliźniaków. To jakoś nie w porządku.

Doktor Quimper poszedł na górę do sypialni i zaczął zrzucać ubranie. Spojrzał na zegarek. Pięć po trzeciej. Przyjęcie na świat tych bliźniąt okazało się nieoczekiwanie skomplikowane, ale wszystko poszło dobrze. Ziewnął. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Spojrzał tęsknie na swoje łóżko. Wtedy zadzwonił telefon. Doktor Quimper zaklął i podniósł słuchawkę.

- Doktor Quimper?

- Przy telefonie.

- Tu Lucy Eyelesbarrow z Rutherford Hall. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pan przyjechał. Zdaje się, że wszyscy zachorowali.

- Zachorowali? Jak? Jakie są objawy?

Lucy podała je ze szczegółami.

- Zaraz tam będę. Tymczasem... - wydał jej krótkie polecenia. Potem ponownie włożył ubranie, wrzucił kilka dodatkowych rzeczy do torby lekarskiej i popędził do samochodu.

IV

Jakieś trzy godziny później doktor i Lucy, wyczerpani, usiedli przy kuchennym stole, by wypić po dużej filiżance czarnej kawy.

- Ha! - doktor opróżnił swoją i odłożył ją z hukiem na spodek. - Tego mi było trzeba. A teraz, panno Eyelesbarrow, przejdźmy do rzeczy.

Lucy spojrzała na niego. Zmęczenie pozostawiło na jego twarzy wyraźne ślady, które sprawiały, że wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści cztery lata. Jego ciemne włosy były na skroniach poprzetykane siwizną, a pod oczami rysowały się cienie.

- Wydaje mi się, że nic im już nie grozi. Ale jak to się stało? To chcę wiedzieć. Kto gotował obiad?

- Ja - odpowiedziała Lucy.

- I co to było? Dokładnie!

- Zupa grzybowa. Kurczę w curry z ryżem. Sos winno-śmietanowy z białkami jajek. Na przystawkę wątróbka drobiowa z boczkiem.

- Canapés Diane - powiedział nieoczekiwanie doktor Quimper.

Lucy uśmiechnęła się słabo.

- Tak, Canapés Diane.

- W porządku. Idźmy po kolei. Zupa grzybowa - z puszki, jak sądzę?

- Oczywiście, że nie. Sama ją zrobiłam.

- Zrobiła ją pani. Z czego?

- Z pół funta grzybów, wywaru z kurczęcia, mleka, zasmażki i soku z cytryny.

- Ach. I każdy teraz powie: "to musiały być grzyby".

- To nie były grzyby. Zjadłam sama trochę zupy i czuję się zupełnie dobrze.

- Tak, pani nie zachorowała. Nie zapomniałem o tym.

Lucy poczerwieniała.

- Jeśli rozumie pan przez to...

- Nic nie rozumiem przez to. Jest pani bardzo inteligentna. Pani też by jęczała tam na górze, gdybym rozumiał przez to, co pani myślała, że rozumiem. Poza tym, wiem o pani wszystko. Zadałem sobie trud dowiedzenia się.

- A po cóż pan to robił?!

Usta doktora były zaciśnięte w surową linię:

- Ponieważ zawsze staram się interesować ludźmi, którzy przyjeżdżają tu i osiedlają się. Jest pani uczciwą, młodą kobietą, która wykonuje ten szczególny rodzaj pracy, żeby się utrzymać i nie miała pani, jak się zdaje, żadnej styczności z rodziną Crackenthorpe, zanim pani tu przybyła. Nie jest więc pani dziewczyną żadnego z nich: Cedryka, Harolda, ani Alfreda, która pomagałaby im przy odrobinie brudnej roboty.

- Naprawdę myśli pan?...

- Myślę o wielu rzeczach - odpowiedział Quimper. - Ale muszę być ostrożny. To jest właśnie najgorsze w zawodzie lekarza. A teraz idźmy dalej. Kurczę w curry. Jadła to pani?

- Nie. Zauważyłam, że jeśli gotuje się curry, to człowiek najada się samym zapachem. Oczywiście, spróbowałam doprawiając. Zjadłam zupę i tylko trochę sosu.

- Jak podała pani sos?

- W osobnych sosjerkach.

- A teraz, co zostało oczyszczone?

- Jeśli chodzi panu o zmywanie, to wszystko zostało umyte i odłożone na miejsce.

Doktor Quimper jęknął:

- Jest coś takiego, co nazywa się nadgorliwością.

- Tak, rozumiem, ale to się już nie odstanie.

- Może coś jeszcze z tego pani ma?

- Zostało trochę curry w misce w spiżarni. Planowałam, że użyję go dziś wieczorem. Zostało też trochę zupy grzybowej. Nie zostało nic sosu i z przystawki.

- Wezmę curry i zupę. A co z ćatni? Było też ćatni?

- Tak, resztką jest w jednym z tych kamionkowych pojemników.

- Wezmę je również.

Wstał: - Idę teraz rzucić na nich jeszcze raz okiem. Ale czy może pani utrzymać fortecę do rana? Doglądać ich wszystkich? Mogę tu przysłać pielęgniarkę, dokładnie poinformowaną, przed ósmą rano.

- Chcę, żeby powiedział mi pan wprost. Czy myśli pan, że to zatrucie pokarmowe czy... czy... cóż, trucizna?

- Już pani mówiłem. Lekarze nie mogą myśleć - muszą być pewni. Jeżeli będzie pozytywny rezultat badań tych próbek żywności, będę mógł pójść dalej. W innym wypadku...

- W innym wypadku? - powtórzyła Lucy.

Doktor Quimper położył rękę na jej ramieniu:

- Niech się pani opiekuje szczególnie dwojgiem osób. Nie chciałbym, żeby coś stało się Emmie... - jego głos drżał uczuciem, którego nie dało się ukryć.

- Nawet nie zaczęła jeszcze żyć - powiedział. - Tacy jak Emma Crackenthorpe są solą tej ziemi... Emma, cóż, Emma wiele dla mnie znaczy. Nigdy jej tego nie powiedziałem, ale zrobię to. Proszę się nią opiekować.

- Może pan być pewien.

- I niech się pani troszczy o starego. Nie mogę powiedzieć, żeby to był mój ulubiony podopieczny, ale jest moim pacjentem, i niech mnie cholera, jeśli pozwolę go sprzątnąć z tego świata tylko dlatego, że jeden czy drugi z jego nieprzyjemnych synów - albo może wszyscy trzej - chcą go

usunąć z drogi, żeby zagarnąć pieniądze.

Spojrzał na nią nagle pytająco:

- Za dużo powiedziałem. Proszę mieć oczy szeroko otwarte, dobra dziewczyno, a co najważniejsze, trzymać usta na kłódkę.

V

Inspektor Bacon był najwyraźniej wytracony z równowagi.

- Arszenik? - spytał. - Arszenik?!

- Tak. Był w curry. Tu jest reszta curry - dla pańskiego kumpla do zbadania. Testowałem to tylko z grubsza, niewielką ilość, ale wynik był jednoznaczny.

- A więc działa tu truciciel?

- Tak by się zdawało - powiedział beznamiętnie doktor Quimper.

- I mówi pan, że to dotknęło wszystkich, oprócz tej panny Eyelesbarrow?

- Oprócz panny Eyelesbarrow.

- Nie wygląda to dla niej zbyt dobrze...

- A jaki mogłaby mieć motyw?

- Może jest szurnięta - podsunął Bacon. - Ci odchyleni wydają się czasami w porządku, a jednak hysia mają ciągle, że tak powiem.

- Panna Eyelesbarrow nie ma hysia. Mówię to jako lekarz. Jest tak samo zdrowa psychicznie, jak pan czy ja. Jeśli panna Eyelesbarrow karmi rodzinę arszenikiem w curry, robi to dla jakiejś racjonalnej przyczyny. Ponadto, będąc kobietą wybitnie inteligentną, uważałaby, żeby nie być jedyną, której to nie dotknęło. Zrobiłaby to, co każdy inteligentny truciciel by zrobił, to znaczy zjadłaby bardzo niewielką ilość zatrutego curry, a następnie przesadnie demonstrowała objawy.

- A wtedy nie potrafiłby pan odróżnić?

- Że zjadła mniej od innych? Raczej nie. W ogóle nie wszyscy ludzie reagują jednakowo na trucizny. Ta sama ilość zaszkodziłaby jednym bardziej, innym mniej. Oczywiście, jeśli pacjent nie żyje, można ocenić dość dokładnie, ile trucizny przyjął - dodał pogodnie Quimper.

- Wiec może być tak... - inspektor Bacon przerwał, żeby sprecyzować swą myśl. - Może być tak, że jest ktoś z rodziny, kto robi koło siebie więcej zamieszania, choć w rzeczywistości nic mu nie jest, ktoś, kto, można by rzec, ukrywa się pośród innych, żeby nie wzbudzić podejrzeń? Co pan na to?

- Taka myśl przyszła mi do głowy już wcześniej. Dlatego pana informuję. Teraz to jest w pańskich rękach. Zatrudniłem tam pielęgniarkę, której mogę ufać, ale nie może być wszędzie naraz. Moim zdaniem, nikt nie przyjął wystarczająco dużo arszeniku, żeby to spowodowało śmierć.

- Truciciel się pomylił?

- Nie. Ludzie mają zawsze obsesję na punkcie zatrucić grzybami. Potem komuś by się pogorszyło i zmarłby.

- Ponieważ podano by mu drugą dawkę? Doktor przytaknął.

- Dlatego właśnie od razu pana informuję i z tego samego powodu zaangażowałem tam specjalną pielęgniarkę.

- Wie o arszeniku?

- Oczywiście. Wiedzą ona i panna Eyelesbarrow. Pan najlepiej zna się na swojej robocie, ale na pańskim miejscu poszedłbym tam i jasno im przedstawił, że cierpią na zatrucie arszenikiem. To prawdopodobnie porządnie nastraszyłoby naszego mordercę i nie ośmieliliby się przeprowadzić swojego planu. Przypuszczalnie opiera wszystko na teorii zatrucia pokarmowego.

Zadzwoił telefon na biurku inspektora. Podniósł go i powiedział:

- OK. Połączcie ją.

Zwrócił się do Quimpera:

- Dzwoni pańska pielęgniarka. Tak, halo, przy telefonie - powiedział do słuchawki. - A cóż to?

Groźny nawrót... Tak... Doktor Quimper jest tu teraz ze mną... Jeśli chce pani zamienić z nim parę słów... - oddał słuchawkę doktorowi.

- Mówi Quimper... Rozumiem... Tak... Bardzo słusznie... Tak, proszę kontynuować. Będziemy tam.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Bacona.

- Kto?

- Alfred - odpowiedział doktor. - Nie żyje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I

- Nie, doprawdy. W rzeczy samej, właśnie jego sobie wytypowałem na mordercę!

- Słyszałem, że zauważył go konduktor. Kiepsko to dla niego wyglądało. Tak, zdawało się, że mamy naszego ptaszka. Cóż, myliliśmy się - powiedział bezbarwnym tonem Craddock. Na moment zapanowała cisza. Po chwili zapytał:

- Dyżurowała tam pielęgniarka. Jak mogła tego nie upilnować?

- Nie możemy jej za to winić. Panna Eyelesbarrow była wykończona i poszła trochę się przespać. Pielęgniarka miała na głowie pięcioro pacjentów: starego, Emmę, Cedryka, Harblida i Alfreda. Nie mogła być wszędzie naraz. Zdaje się, że stary pan Crackenthorpe zaczął odstawiać wielkie przedstawienie. Mówił, że umiera. Weszła do niego, uspokoiła, wróciła znowu i zaniósła Alfredowi trochę herbaty z glukozą. Wypił ją i to było to.

- Znowu arszenik?

- Na to wygląda. Oczywiście, mogło to być nagłe pogorszenie, ale Quimper tak nie sądzi i Johnstone się z nim zgadza.

- Zastanawiam się, czy to właśnie Alfred miał być ofiarą? - powiedział z powątpiewaniem Craddock.

Bacon zainteresował się: - Rozumie pan przez to, że jeżeli zgon Alfreda ani za grosz nie przydałby się nikomu, to na śmierci starego skorzystałoby każde z nich? Sądzę, że to mogła być pomyłka. Ktoś mógł pomyśleć, że herbata miała być dla starego.

- Czy są pewni, że tak właśnie to świństwo podano?

- Nie, oczywiście, że nie są pewni. Pielęgniarka, jak to dobra pielęgniarka, zmyła całą zastawę. Filiżanki, łyżeczki, dzbanek - wszystko. Ale to był, zdaje się, jedyny sensowny sposób: wsypanie trucizny do herbaty.

- To znaczy, że któryś z pacjentów nie był tak chory, jak pozostali? - powiedział z namysłem Craddock. - Dojrzał sposobność i zaprawił filiżankę?

- No, nie będzie więcej żadnych podobnych historii - oświadczył groźnie inspektor Bacon. - Mamy tam dwie pielęgniarki, nie mówiąc o panie Eyelesbarrow, mam też tam paru ludzi. Przyjeżdża pan?

- Najszybciej, jak mi się uda!

II

Lucy Eyelesbarrow przeszła przez hali na spotkanie inspektora Craddocka. Była blada, z zapadniętymi policzkami.

- Miała pani ciężkie przejścia - powiedział ze współczuciem Craddock.

- To było jak jeden długi, przerażający koszmar - odpowiedziała Lucy. - Wczorajszej nocy

naprawdę myślałam, że oni wszyscy umierają.

- Jeśli chodzi o to curry...

- To było curry?

- Tak, bardzo zręcznie doprawione arsenikiem. Zupełnie jak ręką Borgiów.

- Jeśli to prawda, to musiał być... był ktoś z rodziny.

- Żadnej innej możliwości?

- Nie, bo widzi pan, zaczęłam robić to przekłete curry dość późno, dopiero po szóstej, ponieważ pan Crackenthorpe specjalnie o nie prosił. Musiałam też otworzyć nową puszkę z curry, więc nikt nie mógł przy niej majstrować. Czy curry zabiłoby smak trucizny?

- Arsenik nie ma żadnego smaku - odpowiedział myśląc o czymś innym Craddock. - Teraz pomówmy o sposobności. Kto z nich miał dostęp do curry, w czasie, kiedy się gotowało?

Lucy zastanowiła się:

- Właściwie każdy mógł wśliznąć się do kuchni, kiedy nakrywałam stół w jadalni.

- Rozumiem. A kto wtedy był w domu? Stary pan Crackenthorpe, Emma, Cedryk...

- Harold i Alfred. Przyjechali z Londynu po południu. Ach, i Bryan, Bryan Eastley. Ale on wyszedł przed samą kolacją. Miał się z kimś spotkać w Brackhampton.

Craddock powiedział z namysłem:

- To się wiąże z chorobą starego podczas świąt. Quimper podejrzewał, że to mógł być arsenik.

Czy ostatniej nocy wszyscy wyglądali na jednakowo chorych?

Lucy znów pomyślała chwilę.

- Zdaje się, że najgorzej wyglądał stary pan Crackenthorpe. Doktor Quimper musiał się nad nim uwijać jak szalony. Jest, moim zdaniem, znakomitym lekarzem. Cedryk robił wokół siebie zdecydowanie najwięcej zamieszania. Oczywiście, silni, zdrowi ludzie zawsze tak robią.

- A co z Emmą? - Z nią było dość kiepsko.

- Zastanawiam się, dlaczego Alfred?. - zamyślił się Craddock.

- Ja także - powiedziała Lucy. - Przecież był najbardziej podejrzany.

- Zabawne - też tak rozumowałam!

- Wydaje się to takie bezsensowne.

- Gdybym tylko dotarł do motywu tej całej sprawy. Na pozór to się ze sobą zupełnie nic wiąże.

Przyjmijmy, że uduszona kobieta w sarkofagu, Martine, była wdową po Edmundzie Crackenthorpe. Do tej pory udało się to zupełnie niezłe poprzeć dowodami. Musi być jakiś związek między tym, a otruciem z premedytacją Alfreda. To wszystko jest gdzieś tu, w rodzinie. Nawet Stwierdzenie, że któreś z nich jest szalone, niewiele pomaga.

- Istotnie - zgodziła się Lucy.

- Proszę na siebie uważać - ostrzegł ją Craddock. - W tym domu jest truciciel, proszę o tym pamiętać, a jeden z pani pacjentów na górze nie jest taki chory, jakiego udaje.

Po wyjściu Craddocka Lucy wolno poszła z powrotem na górę. Władczy głos, nieco osłabiony cierpieniem, wezwał ją, kiedy przechodziła obok pokoju starego pana Crackenthorpe.

- Dziewczyno, dziewczyno! Czy to ty? Chodź tu.

Lucy weszła do pokoju. Pan Crackenthorpe leżał na łóżku, wygodnie wsparty na poduszkach. Jak na chorego, pomyślała Lucy, wyglądał szczególnie pogodnie.

- Dom jest pełen przeklętych szpitalnych pielęgniarek - poskarżył się. - Szeleszczą wokół, rządzą się, mierzą mi temperaturę, nie dają mi jeść tego, czego chcę - musi to wszystko kosztować

niezły grosz! Powiedz Emmie, żeby je odesłała. Mogłabyś się mną całkiem dobrze opiekować.

- Wszyscy zachorowali, panie Crackenthorpe - powiedziała Lucy. - Nie mogę zajmować się wszystkimi.

- Grzyby - orzekł Crackenthorpe. - Cholernie niebezpieczna rzecz, grzyby. To ta zupa, którą jedliśmy wczoraj wieczorem. Ty ją zrobiłaś - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Grzyby były w zupełnym porządku, panie Crackenthorpe.

- Nie potępiam cię, dziewczyno, nie potępiam cię. To zdarzało się już przedtem. Jeden przeklęty grzyb wśliznie się między inne i po sprawie. Nikt nie potrafi odróżnić jadalnego od trującego. Wiem, że jesteś dobrą dziewczyną. Nie zrobiłabyś tego specjalnie. Jak tam Emma?

- Teraz, po południu, czuje się chyba lepiej.

- Ach, a Harold?

- Jemu też jest lepiej.

- A co się stało, że Alfred wykorkował?

- Mieli panu o tym nie mówić.

Luter Crackenthorpe zaśmiał się wysokim, przypominającym końskie rzenie śmiechem; był rozbawiony: - Słyszę różne rzeczy - powiedział. - Nie można nic przed starym ukryć. Ale próbują. Więc Alfred nie żyje, tak? Nie będzie więcej na mnie pasożytował, ani nie dostanie pieniędzy. Wiesz, oni wszyscy ciągle czekali, żebym umarł, a szczególnie Alfred. A teraz on nie żyje. Rzekłbym, że to niezły kawał.

- To niezbyt miłe z pańskiej strony - upomniała go Lucy surowo.

Crackenthorpe znów się zaśmiał;

- Przeżyję ich wszystkich - zakrakał. - Zobaczysz, że tak będzie. Zobaczysz. Lucy poszła do swojego pokoju, sięgnęła po słownik i sprawdziła słowo "tontina". W zamyśleniu zamknęła książkę i wpatrzyła się przed siebie.

III

- Nie rozumiem, czemu chcecie się ze mną widzieć - powiedział z irytacją doktor Morris.

- Bo od dawna zna pan rodzinę Crackenthorpe - odparł inspektor Craddock.

- Tak, tak, znałem ich wszystkich. Pamiętam starego Josiaha Crackenthorpe. Był twardy i sprytny. Zarobił masę pieniędzy - odwrócił się w krzesło i spojrzął spod krzaczastych brwi na Craddocka. - A więc słucha pan tego młodego głupca Quimpera! Ci nadgorliwi młodzi lekarze! Zawsze im w głowach niestworzone historie. Ten wbił sobie do głowy, że ktoś próbował otruć Luthera Crackenthorpe. Bzdura! Melodramat! Oczywiście, miewał ataki żołądkowe. Leczyłem go z nich. Nie zdarzały się zbyt często i nic szczególnego w nich nie było.

- Doktor Quimper zdaje się sądził, że jednak było.

- Nie jest dobrze dla lekarza, jeśli zaczyna myśleć. W każdym razie, mam nadzieję, że potrafiłbym rozpoznać zatrucie arsenikiem, gdybym je zobaczył.

- Sporo dobrych lekarzy tego nie dostrzegło - zauważył Craddock. - Była sprawa Greenbarrow, pani Teney, Charlesa Leedsa, trzech osób z rodziny Westbury. Wszyscy pogrzebani ładnie i spokojnie, bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń ich lekarzy, doskonała reputacja.

- Dobrze, dobrze - powiedział doktor Morris. - Mówi pan, że mogłem się pomylić. Cóż, ja nie sądzę, żeby tak było. Zamilkł i po chwili dodał:

- Kto to może robić, według Quimpera, jeżeli w ogóle coś takiego ma miejsce?

- Nie wie. Jest zaniepokojony. W każdym razie, jak pan wie, wchodzą tam w grę duże pieniądze.

- Tak, tak, wiem, które dostaną, kiedy umrze Luther Crackenthorpe. I bardzo im ich trzeba. To rzeczywiście prawda, ale nie wynika z tego, że zabiliby starego, żeby je dostać.

- Niekoniecznie - zgodził się Craddock.

- W każdym razie moją zasadą jest, żeby nie podejrzewać niczego bez należytej przyczyny. Dostatecznej przyczyny - powtórzył. - Zgodzę się, że to, o czym pan mi właśnie powiedział, trochę mnie poruszyło. Arsenik na dużą skalę najwidoczniej, ale wciąż nie wiem, czemu przychodzi pan z tym do mnie. Wszystko, co mogę panu powiedzieć, to tyle, że nic spodziewałem się tego. Może powinienem był. Może należało potraktować o wiele poważniej te ataki żołądkowe Luthera Crackenthorpe. Ale teraz sprawy zaszły już znacznie dalej.

Craddock zgodził się.

- Czego naprawdę potrzebuję, to dowiedzieć się nieco więcej o rodzinie Crackenthorpe - powiedział. - Czy jest w niej jakieś obciążenie psychiczne, jakieś dziwactwo?

Ostre spojrzenie spod krzaczastych brwi przewierciło go na wylot:

- Rozumiem, że pańskie myśli mogą biec w tym kierunku. Cóż, stary Josiah był zupełnie zdrowy psychicznie. Twardy jak stal, miał doskonale poukładane w głowie. Jego żona była neurotyczką, miała skłonność do melancholii. Pochodziła z rodziny nadmiernie ze sobą skoligaconej. Zmarła wkrótce potem, jak urodził jej się drugi syn. Rzekłbym, że Luther odziedziczył po niej pewną, powiedziałbym, niestabilność. Był zupełnie zwyczajnym młodzieńcem, ale zawsze całkowitym przeciwieństwem ojca. Josiah przeżył rozczarowanie w związku z synem, a on, jak sędzę, nie mógł tego ścierpieć, gryzł się, aż w końcu dostał na tym punkcie obsesji. Przeniósł to w swoje życie małżeńskie. Zauważy pan, jeżeli w ogóle pan z nim rozmawia, że serdecznie nie znosi swoich synów. Lubił córki. Zarówno Emmę, jak i Eddie - tę, która zmarła.

- Dlaczego tak bardzo nie znosi synów? - spytał Craddock.

- Będzie pan musiał pójść do tych nowomodnych psychiatrów, żeby się tego dowiedzieć. Ja bym tylko powiedział, że Luther sam nigdy nie czuł się zbyt pewnie jako mężczyzna i że nie może pogodzić się ze swą sytuacją Finansową. Posiada pewien dochód, ale nie ma żadnej mocy decyzyjnej w sprawach kapitału. Gdyby był w stanie wydziedziczyć synów, to, być może, łatwiej by ich znosił. Upokarza go, że jest w tym względzie bezsilny.

- To dlatego tak bardzo podoba mu się pomysł, żeby ich wszystkich przeżyć? - spytał Craddock.

- Prawdopodobnie. Wypływa to również z jego skąpstwa, jak sędzę. Z pewnością udało mu się zaoszczędzić pokaźną sumę z jego dużego dochodu, rzecz jasna, zanim opodatkowanie wzrosło do obecnych absurdalnych wyżyn.

Nowy pomysł przyszedł do głowy Craddockowi:

- Spodziewam się, że w testamencie zostawił komuś swoje oszczędności? To mógł zrobić.

- O, tak, choć Bóg jeden wie, komu. Może Emmie, ale raczej w to wątpię. Będzie miała część z własności starego Josiaha. Może Aleksandrowi, jedynemu wnukowi?

- Lubi chłopca, prawda?

- Tak było. Jest przecież dzieckiem jego córki, a nie syna. To mogło zaważyć na decyzji. I lubił Bryana Eastleya, męża Eddie. Nie znam dobrze Bryana, minęło trochę lat, od kiedy widziałem kogokolwiek z tej rodziny. Ale uderzyło mnie, że miał sporo szansę, żeby po wojnie okazać się nieprzydatnym do roboty. Ma te cechy, które na wojnie są potrzebne: odwagę i skłonność do lekceważenia przyszłości. Ale nie wydaje mi się, żeby był w ogóle zrównoważony. Prawdopodobnie zmieni się w pasożyta.

- Czy nie wiadomo panu o żadnych szczególnych dziwactwach w młodszym pokoleniu?

- Cedryk jest typem ekscentryka, jednym z tych urodzonych buntowników. Nie powiedziałbym, że zupełnie normalnym, ale może pan spytać, kto taki naprawdę jest? Harold jest bardzo zachowawczy, jego charakteru nie nazwałbym zbyt przyjemnym, ma zimne serce, to wielki materialista. Alfred ma w sobie coś z niebieskiego ptaszka. Jest zepsuty i zły, zawsze taki był. Widziałem, jak kradł pieniądze ze skarbonki na datki misyjne, którą trzymali w hallu. Tego typu sprawy. Ach tak, biedak nie żyje, wydaje mi się, że nie powinienem się źle o nim wyrażać.

- A co z... - Craddock zawahał się - Emmą Crackenthorpe?

- Miła dziewczyna, cicha, człowiek nigdy nie wie, co naprawdę myśli. Ma swoje własne plany i pomysły, które jednak trzyma dla siebie. Ma więcej charakteru, niż mógłby pan sądzić na podstawie jej wyglądu.

- Znał pan Edmunda, syna, który zginął we Francji?

- Tak. Powiedziałbym, że był najlepszy z nich wszystkich. Miły chłopak, wesoły, miał dobre serce.

- Czy słyszał pan kiedykolwiek o tym, że zamierzał się ożenić lub że się ożenił z Francuzką, krótko przedtem, zanim zginął?

Doktor Morris zmarszczył brwi.

- Coś jakbym o tym słyszał, ale to było dawno temu.

- Na początku wojny, czy tak?

- Tak. No cóż, podejrzewam, że gdyby przeżył, to żałowałby, że wziął sobie cudzoziemkę.

- Są pewne powody, które pozwalają przypuszczać, że jednak się ożenił.

W kilku krótkich zdaniach zdał relację z ostatnich wypadków.

- Czytałem coś w gazetach o kobiecie znalezionej w sarkofagu. A więc to było w Rutherford Hall.

- I być może ta kobieta była wdową po Edmundzie Crackenthorpe.

- No, no, to brzmi nadzwyczajnie. Bardziej jak powieść, niż jak prawdziwe życie. Ale ktoś mógłby chcieć zabić to biedactwo, to znaczy, jak to się wiąże z zatruciem arszenikiem w rodzinie Crackenthorpe?

- W jeden z dwóch sposobów, ale oba są bardzo naciągane - odpowiedział Craddock. - Ktoś może być pazerny i chcieć całości fortuny po Josiahu Crackenthorpe.

- Jeśli tak, to cholerny z niego głupiec - powiedział doktor Morris. - Będzie musiał płacić od tego niewyobrażalnie wysoki podatek dochodowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Paskudna sprawa z tymi grzybami - powiedziała pani Kidder.

Wygłosiła tę samą uwagę już chyba z dziesięć razy w ciągu ostatnich kilku dni. Lucy nie odpowiedziała.

- Ja tam ich nigdy nie tykam - podjęła na nowo pani Kidder. - Zbyt niebezpieczne. Tylko dzięki miłosiernej Opatrzności skończyło się na jednej śmierci. Oni wszyscy mogli zejść i panienka też. Cudem tylko panienka tego uniknęła.

- To nie grzyby. Żaden nie był trujący.

- Niech panienka w to nie wierzy. Grzyby są niebezpieczne. Jeden muchomor między nimi i oto co się dzieje. Zabawne, jak te rzeczy wydają się przychodzić razem - mówiła dalej pani Kidder pośród grzechotu zmywanych i talerzy i sztućców. - Mojej siostry najstarsza miała odrę, nasz Ernie upadł i złamał rękę, a mojego męża całego obsypało. Wszystko w jednym tygodniu! Trudno w to uwierzyć, prawda? Tu było to samo - ciągnęła. - Najpierw to paskudne morderstwo, a teraz pan Alfred nie żyje zatruty grzybami. Ciekawam, kto będzie następny?

Lucy pomyślała z pewnym zakłopotaniem, że ona również chciałaby to wiedzieć.

- Mój mąż to teraz nie lubi, żebym tu przychodziła - oświadczyła pani Kidder. - Uważa, że to pechowe miejsce, ale ja mówię, że znam pannę Crackenthorpe już długo, że jest miłą panią i na mnie polega. I nie mogłabym zostawić biednej panny Eyelesbarrow, powie - działam, żeby robiła wszystko sama koło domu. To dla panienki takie ciężkie, te wszystkie tace.

Lucy była zmuszona zgodzić się, że dominujący element w jej życiu stanowiły w tym momencie tace. Właśnie je nakrywała, żeby zanieść różnym poszkodowanym.

- Te tam pielęgniarki, to nigdy nie ruszą palcem - orzekła zgryźliwie pani Kidder. - Wszystko, czego bez przerwy chcą, to dzbanki mocnej herbaty. I podanych pod nos posiłków. Wykończona jestem, ot co - stwierdziła z głębokim przekonaniem, choć właściwie zrobiła niewiele więcej ponad swoje zwykłe, poranne obowiązki.

- Pani się nigdy nie oszczędza, pani Kidder - powiedziała Lucy, starając się, aby zabrzmiało to poważnie.

Pani Kidder wyglądała na zadowoloną. Lucy podniosła pierwszą tacę i ruszyła po schodach na górę.

- A to co? - spytał z dezaprobatą pan Crackenthorpe.

- Bulion i omlet - odparła Lucy.

- Zabierz to - rozkazał pan Crackenthorpe. - Nie dotknę tego świństwa. Mówiłem pielęgniarce, że chcę stek wołowy.

- Doktor Quimper uważa, że jeszcze nie powinien pan jeść steków.

Pan Crackenthorpe prychnął.

- Właściwie jest już ze mną dobrze. Jutro wstaję. Jak inni?

- Pan Harold czuje się znacznie lepiej - poinformowała go Lucy. - Jutro wraca do Londynu.

- I bardzo dobrze - ucieszył się pan Crackenthorpe. - A jak Cedryk? Jest jakaś nadzieja, że także jutro odleci na swoją wyspę?

- Nie zamierza jeszcze wyjechać.

- Szkoda. Co robi Emma? Dlaczego nie przychodzi mnie odwiedzić?

- Wciąż leży w łóżku, panie Crackenthorpe.

- Kobiety zawsze się ze sobą cackają. Ale ty jesteś dobrą, silną dziewczyną - dodał z uznaniem. -

Cały dzień biegania, prawda?

- Mam teraz trochę gimnastyki.

Stary pan Crackenthorpe pokiwał głową z aprobatą.

- Jesteś dobrą, silną dziewczyną - powtórzył. - I nie myśl, że zapomniałem, o czym ci mówiłem.

Pewnego dnia sama zobaczysz. Emma nie zawsze będzie robić po swojemu. I nie słuchaj, kiedy inni ci mówią, że jestem skąpym starcem. Uważam na wydatki. Mam odłożony mały pakiecik i wiem, dla kogo go przeznaczę, kiedy przyjdzie pora - uśmiechnął się do niej pożądliwie.

Lucy dość szybko wyszła z pokoju, uchylając się od jego uścisku. Następną tacę zaniosiła do Emmy.

- Och, Lucy, dziękuję pani. Wreszcie czuję się znów sobą. Jestem głodna, a to dobry znak, prawda? - mówiła Emma, kiedy Lucy stawiała tacę na jej kolanach. - Tak mi przykro z powodu pani ciotki. Zdaje się, że nie miała pani zupełnie czasu, żeby ją odwiedzić?

- Nie, nie miałam.

- Z pewnością musi jej pani brakować.

- Och, proszę się nie martwić, panno Crackenthorpe. Rozumie, przez jakie straszne rzeczy musieliśmy tu przechodzić.

- Dzwoniła pani do niej?

- Nie, ostatnio nie.

- Więc proszę to zrobić. Proszę do niej telefonować codziennie. Kontakt z bliskimi jest bardzo ważny dla starszych ludzi. - Jest pani bardzo uprzejma - podziękowała Lucy. Kiedy schodziła na dół po następną tacę, poczuła lekkie ukłucie wyrzutów sumienia. Komplikacje, związane z chorobą w domu zaabsorbowały ją do tego stopnia, że nie miała czasu myśleć o niczym innym. Postanowiła, że zadzwoni do panny Marple, jak tylko zanieś Cedrykowi jego posiłek.

W domu była teraz tylko jedna pielęgniarka, z którą minęły się na półpiętrze, wymieniając pozdrowienia. Cedryk, wyglądający niezwykle schludnie, siedział wyprostowany na łóżku i pilnie coś pisał.

- Halo, Lucy. Cóż to za piekielny wywar masz dla mnie dzisiaj? Czemuż nie pozbyła się pani tej przeokropnej pielęgniarki. Ona jest tak zabawna, że się tego po prostu nie da opowiedzieć słowami. Zwraca się do mnie z jakiegoś powodu przez "my": "I jak się dzisiaj mamy? Dobrze spaliśmy? Och, kochanie, byliśmy bardzo niegrzeczni, tak rozrzucając tę pościel" - naśladował wysokim falsetem specyficzną wymowę pielęgniarki.

- Jest pan bardzo wesoły - stwierdziła Lucy. - Czym pan jest taki zajęty?

- Planami - odpowiedział Cedryk. - Planami, co zrobić z tym miejscem, kiedy stary wykorkuje. Wie pani, jest tu piękny kawałek gruntu. Nie mogę się zdecydować, czy chciałbym sam trochę tu zainwestować, czy sprzedać to wszystko na parcele za jednym zamachem. Bardzo cenne dla

przemysłu. Dom nada się na przytułek dla starców albo szkołę. Nie jestem pewien, czy by nie sprzedać połowy gruntu, a z resztą zrobić coś niezwykłego. Jak uważasz?

- Jeszcze go pan nie ma - powiedziała sucho Lucy.

- Ale będę miał - odparł Cedryk. - Nie jest podzielony, jak reszta posiadłości. Ja dostaję całość.

A jeśli sprzedam go, to za dobre, grube pieniądze i to będzie kapitał, a nie dochód, a więc nie będę musiał płacić od tego podatków. Masa pieniędzy. Tylko pomyśl.

- Zawsze wydawało mi się, że raczej gardził pan pieniędzmi.

- Oczywiście, że gardzę pieniędzmi, kiedy ich nie mam. To jedyna godna postawa. Jakaż z ciebie cudowna dziewczyna, Lucy, czy też może dlatego tylko tak myślę, że już od tak dawna nie widziałem żadnej ładnej kobiety?

- Myślę, że raczej o to chodzi.

- Wciąż zajęta sprzątaniami wszystkiego i wszystkich?

- Ktoś, zdaje się, wypucował pana - powiedziała Lucy, spoglądając na niego.

- To ta przekłeta pielęgniarzka - powiedział Cedryk czule. - Czy była już rozprawa u koronera w sprawie Alfreda? Co się wydarzyło?

- Została odroczone.

- Policja udaje Greka. Takie masowe zatrucie każdego potrafi przenicować, prawda? Psychicznie, oczywiście. Nie mam tu na myśli bardziej oczywistych aspektów. Lepiej uważaj na siebie, skarbie - dodał.

- Uważam.

- Czy mały Aleksander już wrócił do szkoły?

- Chyba jest u Stoddard-Westów. Zdaje się, że szkoła zaczyna się pojutrze.

Zanim usiadła sama do lunchu, Lucy zadzwoniła do panny Marple.

- Jest mi strasznie przykro, że nic mogłam przyjść, ale, naprawdę, byłam taka zajęta.

- Oczywiście, moja droga, oczywiście. Poza tym, teraz i tak nic się nie da zrobić. Po prostu musimy czekać.

- Ale na co?

- Elspeth McGillicuddy powinna już wkrótce być w domu. Napisałam do niej, żeby natychmiast wracała do kraju. Stwierdziłam, że jest to jej obowiązkiem. Wiec nie martw się za bardzo, moja droga - powiedziała panna Marple głosem łagodnym i pocieszającym.

- Czy nie uważa pani... - zaczęła Lucy, ale urwała.

- Że będą jeszcze jakieś ofiary? Mam nadzieję, że nie, moja droga. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś jest naprawdę podły. A tu istnieje jakaś wielka podłość.

- Albo szaleństwo - zawahała się Lucy.

- Oczywiście wiem, że to jest nowoczesny sposób patrzenia na te sprawy, ale ja osobiście się z nim nie zgadzam.

Lucy odłożyła słuchawkę, poszła do kuchni i wzięła swoją tacę z lunchem. Pani Kidder uwolniła się z fartucha i miała właśnie wychodzić.

- Mam nadzieję, że da sobie panienka radę? - spytała z przesadną troskliwością.

- Oczywiście, że dam sobie radę - ucieła Lucy. Zniosła swoją tacę nie do dużej, ponurej jadalni, ale do małego gabinetu. Kończyła właśnie jeść, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Bryan Eastley.

- Halo - przywitała go Lucy. - Cóż za niespodzianka.

- Spodziewam się. Jak się wszyscy mają?

- O wiele lepiej. Harold wraca jutro do Londynu.

- Co pani o tym wszystkim myśli? To był naprawdę arszenik?

- Z całą pewnością.

- W gazetach nie było jeszcze o tym mowy.

- Nie. Myślę, że policja trzyma na razie to wszystko w sekrecie.

- Ktoś musiał się nieźle uwziąć na rodzinę - powiedział Bryan. - Ktoś mógł się tu wśliznąć i zaglądać do garnków.

- Wydaje mi się, że ja jestem najbardziej prawdopodobną osobą - odpowiedziała Lucy.

Bryan spojrział na nią ze zdumieniem.

- Ale nie zrobiła pani tego, prawda? - spytał skonsternowany.

- Nie, nie zrobiłam. I nikt nie mógł zbliżyć się do rondla z curry. Zrobiłam je sama, w kuchni, potem wniosłam na stół, a jedyną osobą, która mogła tam coś dodać, był ktoś z pięciorga siedzących przy kolacji.

- Ale nic ma powodu, dla którego miałyby to pani robić? Nic dla pani nie znaczą, prawda? Chciałem powiedzieć... Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że wróciłem - dodał.

- Nie, oczywiście, że nie. Zostaje pan?

- Chciałbym, gdyby to nie było dla pani zbyt przykre.

- Nie będzie. Damy sobie radę.

- Wie pani, jestem w tej chwili bez pracy i... Cóż, miałem dość. Jest pani pewna, że nie będzie miała nic przeciwko temu?

- To nie ja jestem osobą, która może mieć coś przeciwko, tylko Emma.

- Och, Emma pozwoli. Zawsze była dla mnie bardzo miła. Na swój sposób, rozumie pani. Jest skryta i zamknięta, ale dużo widzi i wie. Życie tutaj i opiekowanie się starym załamałoby wielu, a ona to wytrzymuje. Szkoda, że nie wyszła za męża. Teraz już chyba za późno.

- Nie sądzę, żeby było za późno, na pewno nie - zaprotestowała Lucy.

- Cóż... - zastanowił się Bryan. - Może jakiś duchowny... Byłaby użyteczna w parafii, a jej takt przydałby się w Stowarzyszeniu Matek. Istnieje Stowarzyszenie Matek, prawda? Nie wiem, co to naprawdę jest, ale czasem napotykam tę nazwę w książkach. I nosiłaby kapelusz w niedziele - dodał ni stąd ni zowąd.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco - powiedziała Lucy, podnosząc się i biorąc tacę.

- Ja to zrobię - zaproponował Bryan, biorąc od niej tacę.

Weszli razem do kuchni.

- Czy pomóc pani w zmywaniu? Lubię tę kuchnię. Ludzie nie znoszą teraz takiego stylu, ale mnie się podoba cały ten dom. Potworny gust, wiem, ale jest, jaki jest. W parku można by z łatwością wylądować samolotem - dodał z entuzjazmem.

Wziął ściereczkę do szkła i zaczął wycierać łyżki i widelce:

- Trochę szkoda, że to przejdzie na Cedryka. Pierwsze, co zrobi, to sprzeda całość i pojedzie dalej rozbijając się za granicą. Nie rozumiem, dlaczego Anglia nikomu już nie wystarcza. Harold również nie chciałby tego domu, no i oczywiście jest za duży dla Emmy. Gdyby tak przypadł Aleksandrowi, byłibyśmy tu razem szczęśliwi, jak para psiaków. Byłoby oczywiście miło mieć w domu kobietę - spojrział zamyślony na Lucy. - No dobrze, ale o czym tu gadać? Gdyby Aleksander miał to odziedziczyć, to by znaczyło, że ojciec i rodzeństwo musieliby wcześniej umrzeć, a to nie jest naprawdę możliwe, prawda? Z tego, co widzę, nasz staruszek może z łatwością dożyć setki, żeby

tylko zrobić im na złość. Nie wydaje mi się zbytnio poruszony śmiercią Alfreda, prawda?

- Nie, nie jest - odpowiedziała krótko Lucy.

- Pyskaty stary diabeł - orzekł wesoło Bryan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Przerazające, czego to ludzie nie opowiadają - powiedziała pani Kidder. - Nie słucham tego z ciekawości, chyba, że mogę coś na to pomóc. Ale pewno by pani nie uwierzyła - czekała z nadzieją.

- Chyba nie.

- O tym trupie, znalezionym w Długiej Stodole - pani Kidder nie zareagowała na chłodny ton Lucy, poruszając się jak krab do tyłu, na kolanach przy szorowaniu podłogi w kuchni. - Że to była kochanica pana Edmunda w czasie wojny i że zjechała tutaj, a za nią jej zazdrosny mąż i wykończył ją. To podobne do cudzoziemca, ale żeby po tych wszystkich latach tu przyjeżdżać?

- Dla mnie brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie.

- Ale mówią jeszcze gorsze rzeczy. Ludzie wszystko by powiedzieli. Zdziwiłaby się pani. O panu Haroldzie, że ożenił się gdzieś 'za granicą i ona tu zjechała i odkryła, że on popełnił bigamię z tą lady Alicją i że miała podać go do sądu i że z nią się tu spotkał i ją wykończył i ukrył ciało w sarkofagu. Pomyślałby kto!

- Wstrząsające - powiedziała Lucy zdawkowo, będąc daleko myślami.

- Oczywiście nie słuchałam - oznajmiła pani Kidder z godnością. - Ani dbam o takie gadanie. Jak ludzie mogą wymyślać takie rzeczy, a co dopiero mówić! Mam tylko nadzieję, że nic z tego nie dojdzie do uszu panienki Emmy. To by ją zasmuciło, a tego bym nic chciała. Jest bardzo miłą panią, i przeciwko niej nie usłyszałam ani słówka, ani jednego. No i oczywiście, od kiedy panicz Alfred nie żyje, nikt przeciwko niemu teraz nie mówi. Nawet nie, że dosięgła go sprawiedliwość, choć mogliby. Ale to jest okropne, panienko, takie podle gadanie - pani Kidder była niezwykle przejęta.

- Musi być pani bardzo przykro tego słuchać - powiedziała Lucy.

- O, tak, doprawdy. Powiadam mężowi, jak też oni tak mogą?

Odezwał się dzwonek.

- To doktor, panienko. Wpuści go panienka, czy ja mam to zrobić?

- Ja pójdę.

Ale to nie był lekarz. W progu stała wysoka, elegancka kobieta w futrze z norek. Na żwirowym podjeździe mrucał rolls-royce z szoferem za kierownicą.

- Czy mogłabym widzieć się z panną Emmą Crackenthorpe?

Miała przyjemny głos, lekko grasejący i była atrakcyjną, ciemnowłosą kobietą lat około trzydziestu pięciu, z kunsztownym makijażem.

- Przykro mi, ale panna Crackenthorpe leży chora w łóżku i nie może się z nikim widzieć.

- Wiem, że choruje, tak, ale to bardzo ważna sprawa.

- Obawiam się... - zaczęła Lucy.

- Pani jest chyba panną Eyelesbarrow, prawda? - uśmiechnęła się przybyła. - Mój syn opowiadał mi o pani, stąd wiem. Jestem lady Stoddard-West. Aleksander jest teraz u mnie.

- Ach, rozumiem.

- Proszę mi wierzyć, że muszę porozmawiać z panną Crackenthorpe. Wiem doskonale o jej chorobie i zapewniam panią, że nie jest to towarzyska wizyta.

Chłopcy mi powiedzieli o czymś niezwykle ważnym i chciałabym pomówić o tym z panną Crackenthorpe. Bardzo proszę zapytać ją, czy mnie przyjmie?

- Proszę wejść - Lucy wprowadziła gościa do salonu i powiedziała:

- Pójdę na górę spytać pannę Crackenthorpe.

Weszła po schodach, zapukała do drzwi Emmy i weszła:

- Jest tu lady Stoddard-West i bardzo pilnie chce się z panią widzieć.

- Lady Stoddard-West? - Emma wyglądała na zaskoczoną. Wyraz popłochu pojawił się na jej twarzy. - Nic złego nie stało się chłopcom, Aleksandrowi, prawda?

- Nie, nie - zapewniła ją Lucy. - Jestem pewna, że u chłopców wszystko w porządku. Zdaje się, że chodzi o coś, o czym chłopcy jej powiedzieli.

- No, cóż... - Emma zawahała się. - Powinam się z nią chyba zobaczyć. Jak wyglądam?

- Bardzo ładnie - odpowiedziała Lucy.

Emma siedziała na łóżku, z ramionami otulonymi miękkim wełnianym szalem, który rzucał bladuróżowy refleks na jej policzki. Ciemne włosy były porządnie uczesane i wyszczotkowane przez pielęgniarkę. Lucy postawiła poprzedniego dnia na toaletce wazon z jesiennymi liśćmi. Sypialnia wyglądała przyjemnie i zupełnie nie przypominała pokoju chorego.

- Naprawdę jestem już dostatecznie zdrowa, żeby wstać - powiedziała Emma. - Doktor Quimper powiedział, że już jutro będę mogła.

- Z pewnością. Doszła już pani do siebie. Czy mam wprowadzić lady Stoddard-West?

- Tak, proszę. Lucy zeszła na dół. - Zechce pani udać się do pokoju panny Crackenthorpe - zaprowadziła gościa na górę, otworzyła przed nią drzwi i zamknęła je. Lady Stoddard-West zbliżyła się do łóżka z wyciągniętą ręką.

- Panna Crackenthorpe? Bardzo przepraszam za wtargnięcie do pani w ten sposób. Zdaje się, że widziałam już panią na zawodach szkolnych.

- Tak. Ja także panią sobie przypominam. Proszę usiąść.

Lady Stoddard-West usiadła na krześle przy łóżku. Cichym, niskim głosem powiedziała:

- Musi pani uznać za dziwne to moje najście bez uprzedzenia, ale mam powód. Sądzę, że ważny. Chłopcy mówili mi różne rzeczy. Byli bardzo podekscytowani morderstwem, które się tu zdarzyło. Muszę przyznać, że nie podobało mi się to z początku. Denerwowałam się. Chciałam od razu zabrać Jamesa, ale mój mąż się śmiał. Powiedział, że to przestępstwo nie miało oczywiście nic wspólnego z państwa domem i rodziną, i że z tego, co pamięta ze swoich chłopięcych lat i z listów od Jamesa wie, że obaj z Aleksandrem bawią się tak wspaniale, i że byłoby niezwykle okrucieństwem zabrać ich stąd. Ustąpiłam więc i zgodziłam się, że będą mogli zostać aż do umówionego dnia, którego obaj przyjadą do nas.

- Uważa pani, że powinniśmy byli wysłać pani syna do domu wcześniej? - spytała Emma.

- Nie, nie, zupełnie o co innego mi chodzi. Och, trudno to wyrazić, ale muszę wreszcie o tym powiedzieć, muszę. Otóż chłopcy sporo o tym dramacie wiedzieli, sądzą, że trochę podsłuchiwali. Podobno zamordowana kobieta, jak przypuszcza policja, mogła być Francuzką, którą pani najstarszy brat, ten, poległy na wojnie, poznał we Francji. Czy tak?

- Jest taka możliwość, którą musimy brać pod uwagę - potwierdziła Emma lekko drżącym głosem.

- Tak mogło być.

- Czy jest jakiś powód do przypuszczeń, że uduszoną była owa Martine?

- Powiedziała pani, że istnieje taka możliwość.

- Ale dlaczego... dlaczego mieliby uważać, że to była ona? Czy miała przy sobie listy, dokumenty?

- Nie. Nic w tym rodzaju. Ale ja dostałam list od tej dziewczyny, czy żony mego brata.

- Dostała pani list? Od Martine?

- Tak. List, w którym pisała, że jest w Anglii i że chciałaby przyjechać, spotkać się ze mną. Zaprosiłam ją tutaj, ale przysłała telegram, że wraca do Francji. Być może rzeczywiście tam wróciła. Nie wiemy. Ale potem znaleziono tu kopertę mego listu zaadresowaną do niej. To zdaje się wskazywać, że była tutaj. Ale doprawdy nie rozumiem... - urwała.

- ... w czym to może mnie dotyczyć? To prawda. Na pani miejscu też bym nie wiedziała. Ale kiedy usłyszałam, ich nieskładną relację o tym wydarzeniu, musiałam przyjechać, żeby się upewnić, czy rzeczywiście tak było, ponieważ...

- Ponieważ?

- Muszę wyznać pani coś, czego nigdy nie miałam zamiaru wyjawić. Widzi pani, jestem Martine Dubois.

Emma wpatrywała się w gościa, jakby nie mogła pojąć znaczenia tych słów.

- Pani! Pani jest Martine? Przybyła energicznie skinęła głową.

- Jest pani zaskoczona, to jasne, ale to prawda. Poznałam pani brata Edmunda w pierwszych dniach wojny. Zakwaterowano go w naszym domu. Zna pani resztę. Zakochaliśmy się w sobie. Mieliśmy zamiar się pobrać, a potem była ewakuacja Dunkierki, Edmund został uznany za zaginionego, później za poległego. Nie będę pani mówiła o tamtym czasie. To było dawno temu i skończyło się. Ale powiem pani, że bardzo kochałam pani brata... Potem nadeszła ponura, wojenna rzeczywistość. Niemcy okupowali Francję. Pracowałam dla Résistance. Byłam jedną z tych, które odkomenderowano do przetrzymywania Anglików do Francji. W ten sposób poznałam mojego obecnego męża. Był oficerem RAF, zrzuconym na spadochronie do Francji dla wykonania specjalnej misji. Kiedy wojna się skończyła, pobraliśmy się. Parę razy zastanawiałam się, czy nie napisać albo nie odwiedzić pani, ale zdecydowałam inaczej. Na nic by się nie zdało rozgrzebywanie wspomnień. Miałam nowe życie i nie miałam ochoty wracać myślą do przeszłości - urwała na chwilę, po czym podjęła opowieść:

- Ale sprawiało mi dziwną przyjemność, kiedy dowiedziałam się, że najlepszym przyjacielem w szkole mojego syna Jamesa jest, jak odkryłam, siostrzeniec Edmunda. Aleksander, ośmielę się przypuszczać, że pani to również zauważyła, jest bardzo podobny do Edmunda. Wydało mi się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że James i Aleksander zostali tak dobrymi przyjaciółmi.

Pochyliła się i położyła rękę na ramieniu Emmy:

- Ale rozumie pani, droga Emmo, że kiedy usłyszałam tę historię o morderstwie, o tej zmarłej, którą jak sądzono, mogła być Martine, ukochana Edmunda, musiałam przyjechać do pani i powiedzieć prawdę. Pani albo ja musimy poinformować o tym policję. Kimkolwiek była ta kobieta, to na pewno nie Martine.

- Nie mieści mi się w głowie, że pani, pani jest tą Martine, o której pisał mi Edmund - Emma westchnęła, kręcąc głową i zmarszczyła brwi:

- Ale jednego nie rozumiem. Więc to pani do mnie pisała?

Lady Stoddard-West energicznie potrząsnęła głową:

- Nie, nie, oczywiście, że nie pisałam do pani.

- Więc...

- Więc był ktoś, kto podszywał się pod Martine i prawdopodobnie chciał od pani wyciągnąć pieniądze. Tak właśnie musiało być. Tylko kto to mógł być?

Emma odpowiedziała wolno:

- Sądzę, że musieli być wtedy wokół was obojga ludzie, którzy wiedzieli, że macie zamiar się pobrać?

- Prawdopodobnie tak. Ale nie przypominam sobie nikogo bliskiego, zaufanego. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam, od kiedy przyjechałam do Anglii. I dlaczego ten ktoś czekał tyle czasu? To dziwne, bardzo dziwne.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Emma. - Zobaczmy, co inspektor Craddock będzie miał do powiedzenia - spojrzała ciepłym wzrokiem na gościa. - Bardzo się cieszę, że mogłam panią w końcu poznać, moja droga.

- Ja również, że poznałam panią... Edmund bardzo często mówił o pani. Przepadał za panią. Jestem szczęśliwa w moim nowym życiu, ale o tamtej miłości nie zapomniałam.

Emma położyła się i westchnęła:

- Cóż to za ulga! Dopóki obawialiśmy się, że zmarłą mogła być Martine, cała sprawa była jakoś związana z rodziną. A teraz - och, spadł mi ciężar z serca. Nie wiem, kim było to biedactwo, ale nic mogła mieć nic wspólnego z nikim z nas!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sekretarka o opływowych kształtach przyniosła Haroldowi Crackenthorpe jego zwykłą popołudniową filiżankę herbaty.

- Dziękuję, panno Ellis. Dziś wracam wcześniej do domu.

- Uważam, że nie powinien pan być dzisiaj w ogóle przychodzić, panie Crackenthorpe. Wciąż nie wygląda pan najlepiej - powiedziała.

- Czuję się już dobrze - odparł Harold Crackenthorpe, ale w rzeczywistości wcale nie czuł się najlepiej. Nie ma wątpliwości: to było paskudne. Dobrze, że już po wszystkim.

To niezwykle, rozważał w myślach, żeby Alfred zmarł, a stary z tego wyszedł. W końcu ile on ma - siedemdziesiąt trzy, cztery? Jeżeli by ktoś w ogóle pomyślał, że jeden z nas ma umrzeć, od razu przyszedłby mu na myśl stary. A musiał to być Alfred. Alfred, który, o ile Harold wiedział, był zdrowym, silnym chłopem. Nic poważnego mu nie dolegało.

Odchylił się na krześle z westchnieniem. Dziewczyna miała rację. Nie czuł się jeszcze na siłach pracować, ale chciał wpaść do biura, zobaczyć co się dzieje. Wejść i wyjść. To wszystko - spojrzał wokół siebie: kosztownie urządzone biuro, jasne, błyszczące drewno, nowoczesne krzesła, wszystko sprawiało wrażenie powodzenia i solidności. Tu właśnie Alfred zawsze popełniał błąd. Kiedy wygląda się na dobrze prosperującego, ludzie myślą, że takim się jest. Nie rozeszły się jeszcze żadne pogłoski o stanie jego finansów. Jednak katastrofa nie mogła być już długo powstrzymywana. Gdyby zamiast Alfreda zmarł ojciec, jak z całą pewnością powinien być zrobić! Wyglądało, że arsenik mu służy! Tak, gdyby to ojciec zmarł, wtedy nie byłoby żadnych powodów do żałobienia.

W każdym razie, najważniejsze, żeby nie okazywać z troskaniem. Mieć wygląd człowieka sukcesu. Nie jak biedny Alfred, który zawsze był zaniedbany i robił wrażenie przegranego, czyli wyglądał na tego, kim rzeczywiście był - jednego z tych drobnych spekulantów, nigdy nie mierzących śmiało w duże pieniądze. Wiązał się z ciemnymi typkami, robił wątpliwe interesy, nigdy nie narażając się na sankcje karne, ale zawsze zbliżając się bardzo blisko krawędzi prawa. I dokąd go to zaprowadziło? Krótkie okresy zamożności i znów zaniedbanie i obszarpanie. Żadnego szerszego spojrzenia. Zważywszy wszystko, nie można powiedzieć, żeby strata Alfreda była zbyt bolesna. Nigdy szczególnie nie przepadał za Alfredem, a bez Alfreda suma pieniędzy, przypadających mu po tym starym zrzędzie, jego dziadku, przyzwoicie się powiększała, podzielona nie na pięć, a na cztery części. O wiele lepiej.

Twarz Harolda nieco się rozjaśniła. Wstał, wziął płaszcz, kapelusz i wyszedł z biura. Lepiej trochę zwolnić tempo przez dzień lub dwa. Nie był jeszcze zbyt silny. Jego samochód czekał na dole i wkrótce potem kluczył wśród londyńskiego ruchu, jadąc do domu.

Darwin, służący, otworzył drzwi:

- Lady właśnie przybyła, sir.

Przez chwilę Harold wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc. Alicja! Dobrze nieba, to dzisiaj Alicja miała wrócić do domu? Zupełnie o tym zapomniał. Dobrze, że Darwin go ostrzegł. Nie wyglądałoby najlepiej, gdyby poszedłszy na górę sprawiał wrażenie nadmiernie zaskoczonego jej widokiem. Nie dlatego, że to miało naprawdę jakieś znaczenie, pomyślał. Ani on, ani Alicja nie mieli żadnych złudzeń co do swych wzajemnych uczuć. Może. Alicja lubiła go trochę, ale nie był tego pewien. Zaś co do niego, Alicja była wielkim rozczarowaniem. Nie był w niej zakochany, oczywiście, ale, choć urodę miała raczej pospolitą, była dość miła. Jej rodzina i koneksje były niewątpliwie pożyteczne. Może mniej niż mogłyby być, ponieważ żeniąc się z Alicją brał pod uwagę pozycję potencjalnych dzieci. Dobrych kuzynów z jej strony dla swoich chłopaków. Ale nie było żadnych chłopaków ani dziewczyn, a jedyne, co pozostało, to on i Alicja starzejący się razem, nie mający sobie zbyt wiele do powiedzenia i nieszczęśliwie cieszący się swoim towarzystwem.

Alicja przebywała sporo czasu u krewnych i zazwyczaj na zimę wyjeżdżała na Riwierę. Jej to odpowiadało, a jemu nie przeszkadzało. Poszedł teraz na górę do salonu i przywitał się z nią z zachowaniem należnych form.

- A więc wróciłaś, moja droga. Przepraszam, że nie mogłem po ciebie wyjechać, ale zatrzymano mnie w City. Wyrwałem się najwcześniej, jak tylko mogłem. Jak było w San Raphael?

Alicja opowiedziała, jak było w San Raphael. Była szczupłą kobietą o włosach w kolorze piasku, haczykowanym nosie i orzechowych oczach. Mówiła monotonnym, matowym głosem. Podróż powrotna była dobra, choć na Kanale trochę kołysało. Celnicy w Dover, jak zwykle, bardzo uciążliwi.

- Powinnaś była polecieć samolotem - powiedział Harold, jak to mówił za każdym razem. - To o wiele prostsze.

- Słusznie, ale naprawdę, nie lubię podróżować samolotami. Nigdy nie lubiłam. Denerwuję się podczas lotu - to była też tradycyjna odpowiedź.

- Oszczędza to wiele czasu.

Lady Alicja nie odpowiedziała. Możliwe, że jej problemem w życiu nie było oszczędzanie czasu, ale raczej wypełnianie go. Spytała uprzejmie o zdrowie męża.

- Telegram od Emmy bardzo mnie zaniepokoił - powiedziała. - Zdaje się, że wszyscy zachorowaliście.

- Tak, tak.

- Czytałam ostatnio w gazecie o czterdziestu osobach w hotelu, które uległy zatruciu pokarmowemu. Te wszystkie chłodziarki są niebezpieczne. Ludzie trzymają w nich żywność za długo.

- To możliwe - odparł Harold. Opowiedzieć o arseniku, czy nie? Patrząc na Alicję, czuł, że jakoś nie potrafi. Wydawało mu się, że w świecie Alicji nie ma miejsca na trucie arsenikiem. To było coś, o czym czytało się w gazetach. W jej rodzinie to się nie zdarzało. Ale zdarzyło się w rodzinie Crackenthorpe...

Poszedł do siebie na górę i położył się na parę godzin, zanim przebrał się do kolacji. W jej trakcie, sam na sam z żoną, wiedli konwersację w bardzo podobnym tonie. Powierzchniowo i uprzejmie. Wspominano znajomych i przyjaciół w San Raphael.

- Jest dla ciebie jakaś mała paczka na stole w hallu - przypomniała sobie Alicja.

- Nie zauważyłem.

- Ktoś opowiadał mi niesamowitą historię o zamordowanej kobiecie, znalezionej w stodole albo czymś podobnym. Mówiono, że to było w Rutherford Hall. Sądzę, że musiał to być jakiś inny

Rutherford Hall.

- Nie. Nie inny. W rzeczy samej, było to w naszej stodole.

- Naprawdę, Haroldzie! Zamordowana kobieta w stodole w Rutherford Hall, a ty mi o tym nie dałeś znać!

- No cóż, naprawdę nie było kiedy i cała sprawa dość nieprzyjemna. Nie miało to, rzecz jasna, nic wspólnego z nami. Prasa pętała się wokół. Musieliśmy oczywiście mieć do czynienia z policją i tak dalej.

- To bardzo przykre. Czy wykryto sprawcę? - spytała mechanicznie.

- Jeszcze nie.

- Co to była za kobieta?

- Nikt nie wie. Przypuszczalnie Francuzka.

- Ach, Francuzka - powiedziała Alicja i uwzględniwszy różnice klas, jej ton nie różnił się zbytnio od tonu inspektora Bacona. - To dla was rzeczywiście denerwujące.

Wyszli z jadalni do małego gabinetu, gdzie zwykle siadywali, gdy byli sami. Harold czuł się już zupełnie wyczerpany. Postanowił położyć się wcześniej. Ze siołu w hallu wziął małą paczuszkę, o której mówiła mu żona. Była zapakowana z pedantyczną dokładnością. Harold rozdarł papier idąc w kierunku swojego ulubionego fotela przy kominku. Wewnątrz znajdowało się małe opakowanie tabletek z napisem "Zażywać dwie na noc". Dołączony był mały kawałek papieru z nagłówkiem apteki w Brackhampton, na którym napisano: "Wysłane na zlecenie dr. Quimpera".

Harold Crackenthorpe zmarszczył brwi. Otworzył opakowanie i spojrzał na tabletki. Tak, były takie same, jak te, które brał przedtem. Ale z całą pewnością Quimper powiedział, że już nie musi ich zażywać. "Teraz nie będzie pan ich już potrzebował" - były to jego słowa.

- Co to jest, mój drogi? Wyglądasz na zmartwionego.

- Nic takiego... jakieś tabletki. Zażywałem je na noc. Ale wydawało mi się, że doktor powiedział, że nie muszę ich już dłużej brać.

- Pewnie powiedział, żebyś nie zapomniał ich zażywać - uspokoiła go Alicja.

- Może - odparł nieprzekonany Harold. Spojrzał na żonę. Obserwowała go. Przez moment zastanawiał się - niezbyt często zastanawiał się nad Alicją - co właściwie myślała. Łagodne spojrzenie nic mu nie mówiło. Jej oczy były jak okna w pustym domu. Co Alicja o nim myślała, co do niego czuła? Czy kiedyś była w nim zakochana? Przypuszczał, że tak. A może wyszła za niego, gdyż sądziła, że dobrze mu się powodzi w City i zmęczyła ją skromna egzystencja? Cóż, w sumie nieźle na tym wyszła. Dostała samochód i dom w Londynie, mogła wyjeżdżać za granicę, kiedy tylko miała ochotę i kupować sobie drogie stroje, choć faktem jest, że na Alicji nie prezentowały się dobrze. Tak, w sumie nieźle jej się powodziło. Zastanowiło go, czy ona też tak uważa. Właściwie nic ich nie łączyło. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, nie mieli o czym mówić, nie mieli żadnych wspólnych wspomnień. Gdyby były dzieci - ale ich nie było. Dziwne, że w rodzinie nie było żadnych dzieci oprócz chłopaka małej Eddie. Mała Eddie. Była niemądra, decydując się tak głupio, tak pośpiesznie na to wojenne małżeństwo. Cóż, radził jej dobrze. Pamięta, że powiedział: "Rozumiem, że ci się podobają ci dzielni młodzi piloci, pociągający, odważni i tak dalej, ale on będzie do niczego w czasie pokoju. Prawdopodobnie nie będzie w ogóle w stanic cię utrzymać". A Eddie odparła, że to nie ma znaczenia. Kocha Bryana, a Bryan kocha ją i może wkrótce zginąć. Dlaczego by nie mieli przeżyć trochę szczęścia? Po co patrzeć w przyszłość, jeśli w każdej chwili grozi śmierć pod bombami. Poza tym, mówiła Eddie, nie ma co martwić się przyszłością, ponieważ pewnego dnia

będą mieli pieniądze dziadka. Harold pokręcił się w fotelu. Doprawdy, ten testament dziadka był strasznie niesprawiedliwy! Trzymać ich wszystkich na sznurku! Ostatnia wola, która nie zadowoliła nikogo. Niecierpliwiła wnuki i przydała życia ojcu. Staruszek twardo postanowił nie umierać. To właśnie sprawiło, że tak dba o siebie. Ale wkrótce będzie musiał umrzeć. Z całą pewnością, tak, wkrótce będzie musiał umrzeć. W przeciwnym wypadku... Wszystkie zmartwienia Harolda naszły go znowu, sprawiając, że ponownie poczuł się chory, zmęczony i niepewny.

Zauważył, że Alicja wciąż na niego patrzyła. Te blade, zamyślane oczy w jakiś sposób sprawiały, że czuł się zakłopotany.

- Pójdę się położyć - powiedział. - To był mój pierwszy dzień w City.

- Tak, to dobry pomysł. Jestem pewna, że doktor kazał ci się na początku oszczędzać.

- Lekarze zawsze tak mówią.

- I nie zapomnij wziąć swoich tabletek, kochanie - powiedziała, wręczając mu opakowanie.

Powiedział dobranoc i poszedł na górę. Tak, potrzebował tabletek. Byłoby błędem, gdyby je zbyt szybko odstawił. Połknął dwie, popijając wodą ze szklanki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Nikt nie potrafiłby schrzanić tego bardziej ode mnie - powiedział ponuro Dermot Craddock.

Siedział z wyciągniętymi nogami, co wydawało się nieco nie na miejscu w przeładowanym meblami saloniku wiernej Florencji. Był zupełnie wyczerpany, przygnębiony i przybity.

Panna Marple wydała z siebie łagodne, uspokajające dźwięki wyrażające sprzeciw.

- Nie, nie, zrobił pan bardzo dobrą robotę, drogi chłopcze. Naprawdę bardzo dobrą robotę.

- Zrobiłem bardzo dobrą robotę, tak? Pozwoliłem otruć całą rodzinę. Alfred Cracknethorpe nie żyje, a teraz nie żyje też i Harold. Co się tu do diabła dzieje?! Chciałbym to wiedzieć.

- Zatrute tabletki - powiedziała panna Marple z namysłem.

- Tak. Diabelnie sprytnie, rzeczywiście. Wyglądały dokładnie tak, jak te, które zażywał. Wysłano z nimi zadrukowany kawałek papieru z napisem: "na zlecenie doktora Quimper". Ale Quimper nigdy ich nie zamawiał. Użyto druków z apteki. Aptekarz też o niczym nie wie. Nie. To opakowanie pochodzi z Rutherford Hall.

- Czy rzeczywiście wie pan, że pochodzi z Rutherford Hall?

- Tak. Sprawdziliśmy bardzo dokładnie. Jest to opakowanie, w którym były tabletki uspokajające, przepisane Emmie.

- Ach rozumiem, dla Emmy... - Tak. Są na nim odciski palców jej i obu pielęgniarek oraz odcisk palca aptekarza, który je zrobił. Niczyich innych, oczywiście. Ten, kto je wysłał, był ostrożny.

- Pigułki uspokajające usunięto, zamieniając je na coś innego?

- Tak. To, oczywiście, kłopot z tabletkami. Wszystkie wyglądają tak samo.

- Ma pan zupełną rację - zgodziła się panna Marple. - Tak dobrze pamiętam, jak za moich młodych dni była czarna mikstura, brązowa mikstura - tę brano na kaszel - i różowa mikstura doktora Jakiegoś tam. Ludzie ich tak bardzo nie mylili. Właściwie, wie pan, w mojej wsi, w St Mary Mead wciąż lubimy takie lekarstwa. Zawsze prosi się o butelkę, nie pigułki. Co to było?

- Akonityna, tojad mordownik. Tabletki tego rodzaju, które trzyma się zwykle w specjalnej fiolce na truciznę, rozpuszczone w proporcji jeden do stu stosuje się zewnętrznie.

- Więc Harold zażył je i zmarł - powiedziała panna Marple z namysłem.

Dermot Craddock wydał z siebie coś zbliżonego do jęku.

- Proszę nie mieć mi za złe, że się tak przed panią wywnętrzam."Opowiedz wszystko cioci Jane"
- tak się czuję.

- To bardzo miłe z pańskiej strony i doceniam to. Mam do pana, jako chrześniaka sir Henry'ego, zupełnie inny stosunek niż do innych detektywów-inspektorów.

Dermot Craddock uśmiechnął się do niej blado:

- Pozostaje jednak faktem, że narobiłem w czasie śledztwa najokropniejszego bałaganu, jaki sobie tylko można wyobrazić. Tutejszy komisarz okręgowy dzwoni do Scotland Yardu i kogo

dostaje? Mnie, robiącego z siebie konkursowego osła!

- Ależ nie! - zaprotestowała panna Marple.

- Ależ tak! Nie wiem, kto otrul Alfreda, nie wiem, kto otrul Harolda, a już szczytem wszystkiego jest, że nie mam najmniejszego pojęcia, kim naprawdę była pierwsza ofiara! Ta sprawa z Martine wyglądała na całkiem pewny trop! Wszystko zdawało się ładnie wiązać. I co się dzieje? Prawdziwa Martine pojawia się i okazuje się, co zgoła nieprawdopodobne, żoną sir Roberta Stoddard-West. A więc kim jest kobieta ze stodoły? Któż to wie? Najpierw rzucam się na koncepcję, że to Anna Stravinska, co też odpada...

Zaintrygowało go jedno z charakterystycznych, szczególnie znaczących chrząknięć panny Marple.

- Czy na pewno? - mruknęła.

Craddock patrzył się na nią nie rozumiejąc.

- Ale ta kartka z Jamajki...

-..nie jest prawdziwym dowodem, prawda? Każdy może załatwić wysłanie kartki niemalże skądkolwiek chce. Pamiętani panią Brierly, przeżywającą straszne załamanie nerwowe. W końcu powiedziano jej, że musi pójść do szpitala psychiatrycznego na obserwację. Tak się martwiła, że dowiedzą się o tym jej dzieci, że napisała czternaście pocztówek i zorganizowała to tak, że miały być wysyłane z różnych miejsc za granicą. Oznajmiła dzieciom, że mamusia wyjeżdża na wakacje za granicę - spojrzała na Dermota Craddocka. - Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak, oczywiście - odpowiedział Craddock wpatrując się w nią. - Z całą pewnością sprawdziłbym tę pocztówkę, gdyby nie sprawa z Martine, która tak dobrze do tego wszystkiego pasowała.

- Bardzo wygodnie - zamruczała panna Marple. - To się wiązało. Był w końcu też list, który dostała Emma, podpisany Martine Crackenthorpe. Lady Stoddard-West go nie wysłała, ale ktoś to zrobił. Ktoś, kto chciał udawać Martine i zamierzał na tym, jeśli by się udało, zarobić. Temu nie może pani zaprzeczyć.

- Nie, nie.

- A potem ta koperta z listu, który napisała Emma. Znaleziona w Rutherford Hall, wskazywała, że ta kobieta tam była.

- Ale żywa nie przyjechała - podkreśliła panna Marple.

- Owszem, przybyła do Rutherford Hall po śmierci. Wypchnięta z pociągu na nasyp kolejowy.

- No, tak.

- Czego naprawdę dowodzi koperta, to tylko tego, że w Rutherford Hall był morderca. Prawdopodobnie zabrał ją wraz z pozostałymi dokumentami i drobiazgami, i upuścił niechcący - czy... Zastanawiam się teraz, czy to był rzeczywiście przypadek? Na pewno inspektor Bacon i pańscy ludzie szczegółowo przeszukali to miejsce i nie znaleźli jej, prawda? Pojawiła się dopiero później w kotłowni.

- To zrozumiale - odrzekł Craddock. - Stary ogrodnik ma zwyczaj nabijać na pręt każdy skrawek papieru i tam go pakować.

- Tak. Właśnie tam, gdzie chłopcy myszkowali i mogli go bardzo łatwo znaleźć - powiedziała z namysłem panna Marple.

- Uważa pani, że to było zaaranżowane?

- Po prostu się zastanawiam. W końcu nie było tak trudno zgadnąć, gdzie chłopcy mogą szukać, albo nawet coś im zasugerować. Tak, zastanawiam się. Po tym Anna Stravinska przestała już pana

zajmować, prawda?

- I myśli pani, że naprawdę to może być cały czas ona?

- Myślę, że kogoś mogło zaniepokoić, kiedy zaczął pan o nią wypytywać, to wszystko...

Przypuszczam, że ktoś nie chciał tego dochodzenia.

- Trzymajmy się zasadniczego faktu, że jakaś kobieta próbowała udawać Martine - zaproponował Craddock. - A potem, z jakiegoś powodu, wycofała się. Dlaczego?

- To bardzo interesujące pytanie.

- Ktoś wysłał depezę, że Martine wraca do Francji, potem zorganizował to tak, że jechał z dziewczyną i po drodze ją zabił. Zgadza się pani na razie?

- Niezupełnie. Nie sądzę, doprawdy, żeby pan ujmował to dostatecznie prosto.

- Prosto! - wykrzyknął Craddock. - Zbija mnie pani z tropu - poskarżył się.

Panna Marple powiedziała z ogromnym zakłopotaniem, że nigdy by o czymś podobnym nawet nie pomyślała.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani wie, kim była zamordowana, czy też nie?

Panna Marple westchnęła:

- Tak trudno to właściwie ująć. To znaczy, nie wiem, kim była, ale jednocześnie wiem, kim była, jeśli domyśla się pan, co mam na myśli.

Craddock odrzucił w tył głowę:

- Czy wiem, co pani ma na myśli? Nie mam najmniejszego pojęcia.

Wyjrzał przez okno.

- Panna Lucy Eyelesbarrow idzie tu z wizytą. Ja wychodzę. Moja miłość własna jest dzisiejszego popołudnia mocno zraniona i zabawianie młodej kobiety, spostrzegawczej, logicznie myślącej i odnoszącej sukcesy, to więcej, niż jestem w stanie znieść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Sprawdziłam w słowniku słowo tontina - oświadczyła Lucy.

Chodziła po pokoju z kąta w kąt, to dotykając porcelanowego pieszka, to znów pokrowca na oparciu krzesła, wreszcie pudełka na robótkę na oknie.

- Wiedziałam, że tak zrobisz - powiedziała spokojnie panna Marple.

Lucy mówiła wolno, cytując: "Lorenzo Tonti, włoski bankier, zapoczątkował w 1653 roku formę dożywotniej renty rocznej, w której udziały zmarłych udziałowców są dodawane do oprocentowanych udziałów żyjących" - urwała. - To jest to, prawda? Bardzo dobrze pasuje, a myślała pani o tym, jeszcze zanim nastąpiły dwie nowe śmierci.

Zaczęła znów swoją niespokojną wędrówkę po pokoju. Panna Marple siedziała obserwując ją. To była zupełnie inna Lucy Eyelesbarrow, od tej, którą знаła dotychczas.

- Moim zdaniem, aż się o to prosiło - powiedziała Lucy. - Testament, który sprowadza się do tego, że gdyby przeżyła tylko jedna osoba, dostałaby całość zapisu. Chodzi o ogromne pieniądze, prawda? Można by pomyśleć, że po podziale i tak by było sporo dla każdego... - jej głos zszedł do szeptu.

- Kłopot w tym, że ludzie są chciwi - powiedziała panna Marple. - Niektórzy. Tak często wszystko się od tego zaczyna! Nie od morderstwa, ani od chęci popełnienia go, ani nawet od myśli o nim. Zaczyna się od chciwości, od chęci posiadania więcej, niż się ma otrzymać.

Panna Marple odłożyła robótkę na kolana i zapatrzyła się przed siebie:

- Po raz pierwszy zetknęłam się z inspektorem Craddockiem z okazji pewnej sprawy na wsi, koło uzdrowiska Medenham. Zaczęło się tak samo. Po prostu miła, ale słaba osoba, która chciała dużo pieniędzy. Nie miała do nich prawa, ale wydawało jej się, że istnieje łatwy sposób, żeby je zdobyć. Nie morderstwo. Po prostu coś tak prostego i prymitywnego, że nie wydawało się czymś złym. Tak to się zaczyna... A zakończyło się trzema morderstwami.

- Dokładnie tak, jak to - zauważyła Lucy. - Były już trzy morderstwa. Kobieta, która podawała się za Martine i która mogłaby zażądać udziału dla swego syna, potem Alfred, a teraz Harold. Czyli zostają tylko dwie osoby, prawda?

- Tylko Cedryk i Emma?

- Emma nie. Emma nie jest wysokim brunetem. Nie. Mam na myśli Cedryka i Bryana Eastleya. Nigdy nie pomyślałam o Bryanie, ponieważ jest blondynem. Ma jasne wąsy i niebieskie oczy, ale widzi pani, ostatnio... - urwała.

- Mów dalej - zachęciła ją panna Marple. - Powiedz mi. Coś cię bardzo mocno wytrąciło z równowagi, prawda?

- To było wtedy, kiedy lady Stoddard-West wychodziła. Pożegnała się już i nagle, wsiadając do samochodu, spytała mnie, kim był ten wysoki brunet, który stał na tarasie, kiedy przyjechała.

Najpierw nie mogłam sobie uzmysłowić, kogo miała na myśli, ponieważ Cedryk wciąż leżał w łóżku. Więc odparłam dość zdezorientowana, że nie miała chyba na myśli Bryana Eastleya. A ona odpowiedziała, że to właśnie on, że oczywiście musiał to być major Eastley. Ukrywał się na ich strychu we Francji w czasie wojny. Zapamiętała jego sylwetkę i układ jego ramion. Powiedziała, że chciałaby z nim porozmawiać, ale nie mogłyśmy go nigdzie znaleźć. Panna Marple milczała.

- A potem... Później spojrzałam na niego... Stał do mnie odwrócony plecami i zobaczyłam to, co powinnam była zauważyć wcześniej. Nawet jeśli mężczyzna jest blondynem, to jego włosy wydają się ciemniejsze, bo czymś je smaruje. Bryan jest zdaje się jasnym szatynem, ale może wyglądać na bruneta. Wiec tym, "którego pani przyjaciółka widziała w pociągu, mógł być Bryan. Mógł...

- Tak. Myślałam o tym - odparła panna Marple.

- Zdaje się, że pani myśli o wszystkim! - powiedziała gorzko Lucy.

- Cóż, moja droga, ktoś musi.

- Ale nie widzę, co Bryan mógłby z tego mieć. Pieniądze dostałby Aleksander, nie on. Być może ułatwiłoby im to życie, mogliby mieć trochę więcej luksusu, ale nie mógłby uszczknąć kapitału na swoje pomysły, więc...

- Ale gdyby coś stało się Aleksandrowi przed osiągnięciem pełnoletności, Bryan dostałby pieniądze, jako jego ojciec i najbliższy krewny - przerwała panna Marple.

Lucy spojrzała na nią ze zgrozą:

- Tego by nigdy nie zrobił. Żaden ojciec nigdy by nie zrobił czegoś takiego, tylko po to żeby... żeby zdobyć pieniądze.

Panna Marple westchnęła:

- A jednak ludzie robią takie rzeczy, moja droga. To bardzo smutne i przerażające, ale tak jest. Znam kobietę, która otruła troje swoich dzieci tylko po to, żeby zdobyć trochę pieniędzy z ubezpieczenia. Potem była stara kobieta, na pozór bardzo miła staruszka, która otruła syna, kiedy przyjechał na urlop. Była też stara pani Stanwich. O tej sprawie pisały gazety. Podejrzewam, że musiałaś o tym czytać. Jej córka umarła, potem syn, a później ją samą próbowano otruć. Rzeczywiście, w owsiance była trucizna, ale wydało się, że to ona sama ją tam wsypała. Właśnie zamierzała otruć ostatnią córkę. To akurat nie było dokładnie dla pieniędzy. Była zazdrosna, że byli od niej młodszy i obawiała się, aż strach o tym mówić, ale to prawda, że kiedy odejdzie, będą się dobrze bawić. Zawsze bardzo mocno ścisnęła portmonetkę. Oczywiście, była trochę zdziwiona, jak mówiono, ale ja nie uważam tego za żadne usprawiedliwienie. Można być dziwakiem na tyle różnych sposobów. Czasem wpadnie komuś do głowy, aby rozdawać wszystkie swoje rzeczy i wypisywać czeki bez pokrycia, żeby wspomóc bliźnich. A to znaczy, że poza dziwactwem ma się dobry charakter. Ale oczywiście, jeśli się jest dziwakiem, ze złym charakterem wtedy... No, czy to ci choć trochę pomaga, droga Lucy?

- Co mi pomaga?! - spytała zupełnie zdezorientowana Lucy.

- To, co ci opowiadam. Nie powinnaś się martwić - dodała łagodnie panna Marple. - Naprawdę nie powinnaś się martwić. Elspeth McGillicuddy wróci lada moment.

- Nie widzę, co ma wspólnego jedno z drugim.

- Może masz rację. Ale ja uważam, że to ważne.

- Nie mogę przestać się martwić. Zżyłam się z tą rodziną.

- Wiem, kochanie, to dla ciebie bardzo trudne, gdyż jesteś dość mocno zainteresowana zarówno jednym, jak i drugim, choć w bardzo różny sposób, prawda?

- O co pani chodzi? - spytała sucho Lucy. - Mówiłam o dwóch synach domu, a raczej o synu i szwagrze. To pech, że dwaj mniej przyjemni członkowie rodziny nie żyją, a zostali dwaj bardziej atrakcyjni. Widzę, że Cedryk Crackenthorpe jest bardzo interesujący. Ma zwyczaj robić z siebie gorszego, niż naprawdę jest i zachowuje się prowokująco.

- Sprawia, że czasem walczę z nim jak wściekła - przyznała Lucy.

- I podoba ci się to, prawda? Jesteś silną dziewczyną i lubisz walkę. Tak, wiem, na czym polega jego atrakcyjność. Natomiast pan Eastley jest typem melancholijnym, jak nieszczęśliwy, mały chłopiec. To, oczywiście, jest również pociągające.

- A któryś z nich jest mordercą - powiedziała z goryczą Lucy. - I może nim być zarówno jeden, jak i drugi. Naprawdę, nie ma co między nimi wybierać. Cedryk, którego nic a nic nie obchodzi śmierć ani Alfreda, ani Harolda. Po prostu siedzi sobie i spokojnie snuje plany, co zrobi z Rutherford Hall i że będzie potrzebował dużo pieniędzy, żeby przekształcić posiadłość według swego gustu. Oczywiście wiem, że jest typem, który przesadza ze swą bezwzględnością i tym wszystkim. Ale to też może być tylko maska. To znaczy, kiedy wydaje się nam, że udaje bardziej bezwzględnego, niż jest naprawdę, może w rzeczywistości jest nawet bardziej okrutny.

- Kochana, kochana Lucy. Bardzo ci współczuję.

- A Bryan? - mówiła dalej Lucy. - To niezwykle, ale zdaje się, że Bryan naprawdę chce tam zamieszkać. Uważa, że on i Aleksander mogliby się tam znakomicie bawić i ma mnóstwo pomysłów.

- On ma zawsze mnóstwo takich czy innych pomysłów, prawda?

- Tak, chyba tak. Wszystkie brzmią naprawdę wspaniale, ale mam nieodparte wrażenie, że nigdy by z nich nic nie wyszło. Nie są realne. Sama idea brzmi świetnie, ale nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek brał pod uwagę rzeczywiste trudności w ich realizacji.

- Są, że tak powiem, zawieszony w powietrzu?

- Tak, w więcej niż jednym znaczeniu. Zazwyczaj są dosłownie w powietrzu. Wszystkie plany dotyczą latania. Być może dobry pilot myśliwski nigdy nie schodzi zupełnie na ziemię... A Rutherford Hall dlatego tak bardzo lubi, że przypomina mu wielki, równie brzydki, wiktoriański dom, w którym mieszkał jako dziecko.

- Rozumiem - powiedziała w zamyśleniu panna Marple. - Tak, rozumiem...

Potem, spoglądając z ukosa na Lucy, rzuciła jej znienacka:

- Ale to nie wszystko, prawda, kochanie? Jest jeszcze coś.

- O, tak, jest. Coś, z czego zdałam sobie sprawę dopiero parę dni temu. Bryan mógł być w tym pociągu.

- O 4.33 z Paddington?

- Tak.. Widzi pani, Emmie wydawało się, że musi zdać relację ze swoich poczynań 20 grudnia i opisała je bardzo szczegółowo: rano spotkanie komitetu, potem zakupy, po południu herbata w Great Shamrock, a później, jak powiedziała, wyszła po Bryana na dworzec. Pociąg, na który wyszła, był tym o 4.50 z Paddington, ale mógł przyjechać tamtym i udawać, że wysiadł z późniejszego. Powiedział mi, tak od niechcienia, że miał stłuczkę i oddał samochód do naprawy i dlatego musiał jechać pociągiem - "okropna nuda", jak to określił, nie cierpi kolei. Wydawał się przy tym wszystkim zupełnie naturalny... Może i w tym nic nie ma, ale jakoś wolałabym, żeby nie przyjechał wtedy pociągiem.

- Rozumiem - powiedziała z namysłem panna Marple. - To zresztą niczego naprawdę nie dowodzi. Najokropniejsze w tym wszystkim są podejrzenia. To gorzej, niż gdyby wiedzieć nawet

najgorsze. A może nigdy się nie dowiemy prawdy?

- Oczywiście, że tak, kochanie - odparła żywo panna Marple. - To wszystko się tak po prostu nie skończy. Jedną rzeczą, którą naprawdę wiem o mordercach, jest to, że nigdy nie potrafią nie przedobrzyć. A może powinnam powiedzieć: nic przeżyć. W każdym razie nie po drugim morderstwie - ucięła panna Marple. - A ty się zbytnio nie zamartwiaj. Policja robi wszystko, co może i zajmuje się każdym, a najważniejsze, że Elspeth McGillicuddy będzie tu już wkrótce!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

I

- Elspeth, czy dobrze zrozumiałaś, czego od ciebie oczekuję?

- Dostatecznie jasno, ale nic ukrywam, że wydaje mi się to bardzo dziwne - odpowiedziała Elspeth McGillicuddy.

- To nie jest ani trochę dziwne.

- No cóż, ja tak nie uważam. Przyjść do domu i prawie od razu spytać, czy mogę... hm... pójść do w.c.?

- Jest bardzo zimno - zwróciła jej uwagę panna Marple. - Poza tym mogłaś zjeść coś, co ci nie posłużyło i... ee... musisz spytać, czy mogłabyś pójść do toalety. Przecież takie sytuacje się zdarzają. Pamiętam, jak pewnego razu biedna Luiza Felby przysłała mnie odwiedzić i pięć razy w ciągu pół godziny musiała mnie pytać, czy może pójść do łazienki. To był nieświeży pieróg kornwalijski, jak się okazało.

- Czemu mi po prostu nie powiesz, do czego zmierzasz, Jane?

- Tego właśnie nie chcę zrobić.

- Jakaś ty irytująca! Najpierw zmuszasz mnie do wcześniejszego powrotu do Anglii z tak daleka...

- Przykro mi, ale nie miałam innego wyjścia. Ktoś, widzisz, może w każdej chwili zginąć. Wiem, oczywiście, że wszyscy się pilnują i że policja podejmuje wszelkie środki ostrożności, ale zawsze jest cień możliwości, że morderca może się okazać od nich sprytniejszy. Widzisz więc, Elspeth, że miałaś obowiązek wrócić. W końcu wychowano nas w poczuciu odpowiedzialności, prawda?

- Z całą pewnością. W naszych czasach nie było pobłażania.

- Więc to, co robimy teraz, jest słuszne. O, jest taksówka - dodała, kiedy przed domem dał się słyszeć słaby dźwięk klaksonu.

Pani McGillicuddy wdziała swój ciężki płaszcz w jodełkę, a panna Marple owinęła się w okazałą ilość szali i szalików. Następnie obie damy wsiadły do taksówki, która powiozła je w kierunku Rutherford Hall.

II

- Kto to mógł przyjechać? - spytała Emma wyglądając przez okno, kiedy taksówka przemknęła pod nim. - Wydaje mi się, że to ciotka Lucy.

- Ta nudziara! - skomentował Cedryk, który leżał na kozetce z nogami opartymi na półce nad kominkiem i czytał jakiś magazyn.

- Powiedz jej, że cię nie ma.

- Masz na myśli, że mam pójść i sama jej to powiedzieć czy też może mam kazać Lucy, żeby to przekazała swojej ciotce?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Cedryk. - Zdaje się, że myślałem o czasach kamerdynerów i

odźwiernych w naszym domu, jeżeli kiedykolwiek tacy u nas byli. Zdaje się, że pamiętam sprzed wojny jakiegoś odźwiernego. Miał romans z kuchcią i była straszliwa awantura z tego powodu. Czy to nie z jedną z tych starych wiedźm, które tu teraz sprzątają?

Ale w tym momencie drzwi otworzyła pani Hart, której tego popołudnia przypadała kolej czyszczenia sreber i do pokoju weszła panna Marple, bardzo rozswiergotana i otoczona wirem chust, szali i szalików, prowadząc ze sobą pełną determinacji panią McGillicuddy.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - powiedziała panna Marple chwytając rękę Emmy. - Ale pojutrze jadę do domu i nie mogłam tu nie przyjść, żeby się z państwem spotkać i jeszcze raz podziękować za dobroć dla Lucy. Och, byłabym zapomniała! Czy mogę przedstawić moją przyjaciółkę, panią McGillicuddy, która u mnie gości?

- Miło mi państwa poznać - powiedziała pani McGillicuddy, patrząc bardzo uważnie na Emmę, a następnie przenosząc swe świdrujące spojrzenie na Cedryka, który w tym momencie wstał. W tej samej chwili do pokoju weszła Lucy.

- Ciociu Jane, nie miałam pojęcia...

- Musiałam przyjść i pożegnać się z panną Crackenthorpe, która cały czas jest dla ciebie taka dobra - odparła panna Marple, zwracając się ku niej.

- To Lucy była dla nas bardzo dobra - powiedziała Emma.

- Tak, rzeczywiście - odezwał się Cedryk. - Pracowała tu jak galernik. Doglądała chorych, biegała bez przerwy po schodach, gotowała różne paskudztwa dla poszkodowanych...

Panna Marple wtrąciła:

- Było mi tak bardzo, bardzo przykro, kiedy usłyszałam o chorobie w domu. Mam nadzieję, że już państwo są zdrowi, czy tak, panno Crackenthorpe?

- O tak, teraz już czujemy się zupełnie dobrze. - Lucy mówiła mi, że byli państwo wszyscy bardzo chorzy. To takie niebezpieczne, zatrucie pokarmowe grzybami, jak sądzę?

- Przyczyna nie jest całkiem jasna.

- Niech pani w to nie wierzy - powiedział Cedryk. - Założę się, że pani słyszała plotki, które krążą po okolicy, panno... ee...

- Marple - podpowiedziała stara dama.

- Więc, jak mówiłem, założę się, że pani słyszała plotki, od których trzęsie się miasto. Nie ma to, jak arsenik, żeby trochę rozruszać sąsiedztwo.

- Cedryku, wolałabym, żebyś przestał - upomniała brata Emma. - Wiesz, że inspektor Craddock powiedział...

- Ba, wszyscy wiedzą - odrzekł Cedryk. - Nawet panie coś słyszały, prawda? - zwrócił się do nich.

- Dopiero co wróciłam z zagranicy. Dokładnie przedwczoraj - oznajmiła pani McGillicuddy.

- Ach, więc nie jest pani wprowadzona w nasz lokalny skandal - ucieszył się Cedryk. - Arsenik w curry, to było to. Założę się, że ciocia naszej Lucy wie na ten temat wszystko.

- Tak - przyznała panna Marple. - Słyszałam rzeczywiście, że istnieje pewna sugestia o truciznie, ale oczywiście nie chciałam pani w żaden sposób zakłopotać, panno Crackenthorpe.

- Proszę nie zwracać uwagi na mojego brata. Po prostu lubi stawiać ludzi w trudnej sytuacji - mówiąc to Emma uśmiechnęła się do niego czule.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł pan Crackenthorpe, stukając ze złości laską.

- Gdzie podwieczorek? Dlaczego podwieczorek nie gotowy? Ty, dziewczyno! - zwrócił się do

Lucy. - Czemu nie podałaś podwieczorku?

- Już jest gotowy, panie Crackenthorpe. Już podaję. Nakrywałam tylko do stołu.

Lucy wyszła znowu z pokoju, a pan Crackenthorpe został przedstawiony panie Marple i pani McGillicuddy.

- Lubię moje posiłki o właściwej porze - oświadczył. - Punktualność i gospodarność. To moja dewiza.

- To słuszne, szczególnie w dzisiejszych czasach, z takimi podatkami i tym wszystkim - powiedziała panna Marple.

Pan Crackenthorpe prychnął:

- Podatki! Proszę mi nie mówić o tych bandytach! Żałosny biedak - oto, czym jestem. A idzie na gorsze, nie na lepsze. Poczekaj tylko, mój chłopcze - zwrócił się do Cedryka. - Jak tylko przejmiesz to tutaj, dziesięć do jednego, że socjaliści odbiorą ci dom i zmienią w Centrum Dobrobytu albo coś takiego. I zabiorą ci całe dochody z kapitału na jego utrzymanie!

Lucy pojawiła się z tacą z herbatą, a za nią Bryan Eastley z drugą pełną kanapek, oraz chlebem, masłem i tortem.

- Co to jest? Co to jest? - pan Crackenthorpe zbadał zawartość tacy. - Tort z lukrem? Wydajemy dzisiaj przyjęcie? Nikt mi o tym nic nie mówił.

Lekki rumieniec pojawił się na twarzy Emmy.

- Doktor Quimper przychodzi na podwieczorek, ojciec. Dzisiaj są jego urodziny i...

- Urodziny? - prychnął znów stary. - A na cóż mu urodziny? Urodziny są tylko dla dzieci. Nigdy nie obchodzę urodzin i nie pozwolę innym.

- To znacznie taniej - zgodził się Cedryk. - Oszczędzasz na świeczkach na swoim torcie.

- Dość tego, chłopcze! - podniósł głos pan Crackenthorpe.

Panna Marple uściśniła dłoń Bryana.

- Oczywiście słyszałam o panu od Lucy. Ależ pan jest podobny do kogoś, kogo znałam w St Mary Mead. To wioska, w której mieszkam już od wielu lat. Przypomniałam sobie: Ronnie Wells, syn radcy prawnego. Jakoś nie mógł się ustatkować, kiedy przejął interes ojca. Wyjechał do Afryki Wschodniej i założył linię statków towarowych na tamtejszym Jeziorze Wiktorii, czy Niasa, a może to było Jezioro Alberta? W każdym razie, przykro powiedzieć, nie powiodło mu się i stracił cały majątek. Bardzo niefortunne! Czy to nie był ktoś z panem spokrewniony? Podobieństwo jest uderzające!

- Nie - odpowiedział Bryan. - Nie wydaje mi się, żebym miał jakichś krewnych o nazwisku Wells.

- Był zaręczony z bardzo miłą i rozsądną dziewczyną - powiedziała panna Marple. - Próbowała mu wyperswadować ten pomysł, ale nie chciał jej słuchać. Nie miał, oczywiście, racji. Wie pan, kobiety mają sporo rozsądku, gdy chodzi o pieniądze. Nie w wielkich sprawach finansowych, rzecz jasna. Żadna kobieta nie powinna łudzić się, że coś z tego zrozumie, jak mawiał mój drogi ojciec. Codzienne rozliczenia, funty, szylingi, pensy - owszem. Cóż za cudowny widok mają państwo z tego okna - dodała przechodząc przez pokój i wyglądając na zewnątrz.

Emma przyłączyła się do niej.

- Jaka ogromna powierzchnia parku! Jakże malowniczo wyglądają te drzewa. Człowiekowi nawet nie śniłoby się, że jest w środku miasta.

- Zdaje się, że jesteśmy raczej anachroniczni - powiedziała Emma. - Gdyby okna były otwarte,

mogłaby pani usłyszeć w oddali hałas uliczny.

- Tak, oczywiście. Hałas jest wszędzie, czyż nie? Nawet w St Mary Mead. Blisko od nas jest teraz lotnisko wojskowe, więc pani, a te odrzutowce latają nad nami! Przerazające. Dwie szyby w mojej małej szklarni pękły pewnego dnia. Przekraczają barierę dźwięku, czy coś podobnego, ale co to znaczy, tego nigdy nie byłam w stanie pojąć.

- To naprawdę bardzo proste - wyjaśniał Bryan, zbliżając się z przyjazną miną. - Widzi pani, to jest tak...

Panna Marple upuściła torebkę, a Bryan uprzejmie ją podniósł. W tej samej chwili pani McGillicuddy zbliżyła się do Emmy i wymruczała, zakłopotana, a jej zażenowanie było szczere, gdyż pani McGillicuddy bardzo nie podobało się zadanie, jakie właśnie wykonywała:

- Przepraszam, czy mogłabym na moment pójść do toalety?

- Oczywiście - odpowiedziała Emma.

- Zaprowadzę panią - powiedziała Lucy.

Lucy i pani McGillicuddy wyszły z pokoju razem.

- Bardzo chłodno, dzisiejsza jazda... - mówiła panna Marple niejasno.

- Jeśli chodzi o barierę dźwięku, widzi pani, to jest tak... - zaczął Bryan i wykrzyknął: - O, słuchajcie, jest Quimper!

Doktor zajechał samochodem. Wszedł, zacierając ręce. Wyglądał na bardzo zmarzniętego.

- Będzie padał śnieg. Czuję to. Witaj, Emmo, jak się masz? Wielkie nieba, a co to wszystko znaczy?

- Zrobiliśmy ci tort urodzinowy - powiedziała Emma. - Pamiętasz? Mówiłeś, że dzisiaj są twoje urodziny.

- Nie spodziewałem się tego. Całe lata... to musi być... Tak, szesnaście lat, od kiedy ktoś ostatnio pamiętał o moich urodzinach - wyglądał na bardzo wzruszonego i zakłopotanego. - Znasz pannę Marple? - spytała go Emma.

- O tak - powiedziała panna Marple. - Poznaliśmy się tu z doktorem już poprzednim razem, poza tym był u mnie, kiedy się tak nieprzyjemnie przeziębiam i był bardzo miły.

- Już w porządku, mam nadzieję? - zapytał doktor. Panna Marple zapewniła, że już jest zupełnie zdrowa.

- Mnie ostatnio jakoś pan nie odwiedzał - burknął pan Crackenthorpe. - Mógłbym umierać przy tej uwadze, jaką mi pan poświęca.

- Na razie nic widzę, żeby pan umierał - odparł doktor Quimper.

- Nie mam takiego zamiaru - oświadczył pan Crackenthorpe. - No, dalej, napijmy się herbaty. Na co czekamy?

- Ależ proszę nie czekać na moją przyjaciółkę. Inaczej byłaby niezwykle zakłopotana.

Usiedli i zaczęli podwieczorek. Panna Marple przyjęła najpierw kawałek chleba z masłem, potem przeszła do kanapek.

- Czy one... - zawahała się.

- Ryba - powiedział Bryan. - Pomagałem je robić.

Pan Crackenthorpe wybuchnął gdaczącym śmiechem.

- Zatruta pasta rybna. Oto z czym są. Niech pani je na własną odpowiedzialność.

- Ojczy, błagam!

- Trzeba uważać, co się je w tym domu - powiedział pan Crackenthorpe do panny Marple. -

Dwóch z moich synów padło zamordowanych jak muchy. Kto to robi, chciałbym wiedzieć.

- Niech mu się pani nie daje zniechęcać - powiedział Cedryk, podając ponownie tacę pannie Marple.

- Odrobina arszeniku dobrze robi na cerę, jak mówią, dopóki się nie weźmie za dużo.

- Zjedz sam jedną, chłopcze - powiedział stary pan Crackenthorpe.

- Chcesz, żebym był oficjalnym próbowaczem? - spytał Cedryk. - Proszę bardzo.

Wziął kanapkę i włożył ją całą do ust. Panna Marple zaśmiała się cichutko i wzięła kanapkę. Ugryzła kęs i powiedziała:

- Naprawdę uważam, że to bardzo odważne z państwa strony, żeby sobie tak żartować. Tak, to naprawdę bardzo odważne. A ja wysoko cenię odwagę.

Nagle gwałtownie zaczerpnęła powietrza i zaczęła się dławić.

- Ość - wykrztusiła. - W gardle.

Quimper szybko wstał. Podeszedł do niej, poprowadził do okna, ustawił tyłem i kazał otworzyć usta. Z kieszeni wyciągnął futerał, z którego wybrał jedną z peset. Z profesjonalną sprawnością zajrzał starszce w gardło. W tym momencie otworzyły się drzwi i pani McGillicuddy, a za nią Lucy, weszły do pokoju. Pani McGillicuddy gwałtownie nabrała powietrza, kiedy jej wzrok padł na scenę, jaka się przed nią rozgrywała. Panna Marple, odchylona do tyłu i doktor, trzymający ją za szyję i przechylający jej głowę.

- Ależ to jest on! - krzyknęła pani McGillicuddy.

- To jest mężczyzna z pociągu!...

Panna Marple wysliznęła się z uścisku doktora z niezwykłą zwinnością i podeszła do swojej przyjaciółki.

- Byłam pewna, że go poznasz, Elspeth! - powiedziała. - Nie, nie mów ani słowa więcej. - Odwróciła się triumfalnie do doktora Quimpera. - Nie wiedział pan, doktorze, kiedy dusił pan tę kobietę w pociągu, że ktoś pana widział, jak pan to robił? To była moja tu obecna przyjaciółka. Widziała pana na własne oczy. Była w innym pociągu, który jechał równo z pańskim.

- Co do diabła? - doktor Quimper zrobił szybki krok w kierunku pani McGillicuddy, ale znów panna Marple znalazła się zwinnie między nimi.

- Tak, widziała pana i rozpoznaje pana i przysięgnie na to w sądzie - powiedziała swym spokojnym głosem panna Marple. - Nieczęsto się zdarza, jak mi się zdaje, żeby ktoś widział sam akt popełniania zbrodni. Są to zwykle dowody pośrednie, rzecz jasna. Ale w tym wypadku warunki były bardzo niezwykle. Był prawdziwy naoczny świadek morderstwa.

- Ty diabelska stara wiedźmo! - wrzasnął Quimper i rzucił się w jej kierunku, ale tym razem za ramię przytrzymał go Cedryk.

- A więc to ty jesteś tym mordującym diabłem, tak? - spytał obracając go w miejscu. - Nigdy cię nie lubiłem i zawsze uważałem, że z ciebie nic dobrego, ale, Bóg mi świadkiem, nigdy nic podejrzewałem o zbrodnię.

Bryan Eastley przyszedł szybko na pomoc Cedrykowi. Inspektorzy Craddock i Bacon weszli do pokoju drugimi drzwiami.

- Doktorze Quimper! - powiedział Bacon. - Muszę pana ostrzec, że...

- Możecie zabrać do diabła wasze ostrzeżenia - powiedział Quimper. - Czy myślicie, że ktokolwiek uwierzy w to, co te dwie stare baby plotą? Kto w ogóle słyszał o tych głupotach z pociągiem?

Panna Marple odpowiedziała:

- Elspeth McGillicuddy od razu 20 grudnia złożyła zeznanie o morderstwie na policji i podała opis mężczyzny.

Doktor Quimper wzruszył ramionami.

- Jeżeli ktoś kiedykolwiek miał takiego piekielnego pecha... - powiedział.

- Ale... - zaczęła pani McGillicuddy.

- Bądź cicho, Elspeth! - przerwała jej panna Marple.

- Dlaczego miałbym zamordować zupełnie obcą kobietę? - spytał doktor Quimper.

- To nie była obca kobieta - odparł inspektor Craddock. - Była pańską żoną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- No i widzicie - okazało się, że jest to, jak zaczynałam podejrzewać, bardzo, bardzo oczywiste. Najpospolitszy rodzaj zbrodni. Tak wielu mężczyzn, zdaje się, morduje swoje żony.

Pani McGillicuddy spojrzała na pannę Marple, na inspektora Craddocka i zażądała:

- Byłabym zobowiązana, gdybyście mnie trochę wprowadzili w tę sprawę.

- Dostrzegł szansę na poślubienie bogatej Emmy Crackenthorpe - zaczęła panna Marple. - Tyle, że nie mógł się z nią ożenić, bo już miał żonę. Żyli od lat w separacji, ale nie dałaby mu rozwodu. To bardzo dobrze pasowało do tego, co mówił mi inspektor Craddock o dziewczynie, która przyjęła nazwisko Anna Stravinska. Miała męża Anglika, jak zwierzyła się jednej ze swoich koleżanek, i ktoś powiedział, że była bardzo gorliwą katoliczką. Doktor Quimper nie mógł zaryzykować bigamii, żeniąc się z Emmą, wobec tego postanowił, jako człowiek okrutny i bezwzględny, że pozbędzie się swojej żony. Pomysł, żeby zamordować ją w pociągu, a potem włożyć jej ciało do sarkofagu w stodole, był rzeczywiście dosyć sprytny. Chciał, widzisz, żeby to się wiązało z rodziną Crackenthorpe. Przedtem wysłał list do Emmy, w którym podszywał się pod dziewczynę imieniem Martine, z którą chciał się ożenić Edmund Crackenthorpe. Emma opowiedziała Quimperowi wszystko o swoim bracie, rozumiesz? Potem, we właściwym momencie, zachęcił ją do pójścia na policję i opowiedzenia o tej historii. Chciał, żeby zamordowana kobieta została zidentyfikowana jako Martine. Sądzę, że mógł usłyszeć o dochodzeniu, prowadzonym przez policję paryską w sprawie Anny, więc załatwił wysłanie pocztówki, niby od niej, z Jamajki. Łatwo mu było zorganizować spotkanie z żoną w Londynie, żeby zaproponować jej pogodzenie i wspólną podróż do jego rodziny. Nic będziemy mówić o dalszym ciągu, który jest bardzo przykry. Oczywiście, był chciwy. Kiedy pomyślał o podatkach i o tym, jak ograniczają dochody, zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby przyjemniej mieć o wiele więcej kapitału. Być może myślał o tym już przed decyzją o zamordowaniu żony. W każdym razie, żeby przygotować grunt, zaczął rozsiewać pogłoski o tym, że ktoś próbuje otruć starego pana Crackenthorpe, a w końcu podał arsenik całej rodzinie. Nie za dużo oczywiście, bo nie chciał, żeby stary pan Crackenthorpe umarł.

- Wciąż jednak nie wiem, jak mu się to udało - powiedział Craddock. - Nie było go w domu podczas przygotowywania curry.

- Bo wtedy w curry nie było żadnego arszeniku - wyjaśniła panna Marple. - Dodał go później, kiedy zabrał resztki do zbadania. Prawdopodobnie wcześniej dosypał arszeniku do dzbanka z cocktailem. Potem, oczywiście, bardzo mu było łatwo, jako lekarzowi domowemu, otruć Alfreda Crackenthorpe, jak również wysłać tabletki Haroldowi do Londynu, zabezpieczywszy się uprzednio, mówiąc, że nie będzie ich więcej potrzebował. Wszystko co robił, było zuchwałe, okrutne i chciwe, i naprawdę, bardzo, bardzo, bardzo żałuję, że zniesiono karę śmierci, ponieważ czuję, że jeśli ktokolwiek powinien wisieć, to doktor Quimper - zakończyła panna Marple, wyglądająca tak

bezwzględnie, jak tylko nieporadna staruszka wyglądać - Brawo, brawo! - wykrzyknął inspektor Craddock.

- Wiecie, przyszło mi do głowy, że nawet kiedy się kogoś widzi od tyłu, to ten widok jest w każdym razie, że tak powiem, w pewien sposób charakterystyczny. Pomyślałam, że gdyby Elspeth zobaczyła doktora Quimpera dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała go w pociągu, tyłem, pochylonego nad kobietą, którą trzymał za gardło, to byłam prawie pewna, że poznałaby go, albo przynajmniej, zaskoczona, wydała z siebie jakiś okrzyk przerażenia. Oto dlaczego musiałam uknuć mój mały plan z uprzejmą pomocą Lucy.

- Muszę przyznać, że nieźle to mną wstrząsnęło - sapnęła pani McGillicuddy. - Wyrwało mi się: "To on!", zanim zdążyłam się powstrzymać. Przecież nie widziałam twarzy tego mężczyzny i...

- Bardzo się bałam, że to powiesz, Elspeth - westchnęła panna Marple.

- Miałam taki zamiar. Miałam powiedzieć, że, oczywiście, nie widziałam jego twarzy.

- To by było fatalne - orzekła panna Marple.

- Wiesz, moja droga, on naprawdę pomyślał, że go poznałaś. Uwierzył, ponieważ nie mógł wiedzieć, że nie widziałas jego twarzy.

- A więc to dobrze, że trzymałam język za zębami - pani McGillicuddy była zadowolona.

- Nie pozwoliłabym ci powiedzieć więcej ani słowa - oznajmiła panna Marple. Craddock zaśmiał się nagle:

- Obie panie jesteście niezwykle. Co dalej, panno Marple? Jaki jest happy end? Co się stanie z biedną Emmą, na przykład?

- Zapomni o doktorze, to jasne. Przypuszczam też, że gdyby umarł jej ojciec, a nie sądzę, żeby był tak krzepki, jak mu się wydaje, to mogłaby pojechać w podróż morską albo wyjechała za granicę, jak Geraldine Webb i spodziewam się, że coś by z tego wyszło. Jakiś miłszy człowiek od Quimpera, mam nadzieję.

- Co z Lucy Eyelesbarrow? Tam też weselne dzwony?

- Może. Nie zdziwiłoby mnie to.

- Którego z nich wybierze? - Spytał Dermot Craddock.

- Nie wie pan?

- Nie, nie wiem. A pani?

- O, tak, myślę, że wiem - powiedziała panna Marple i mrugnęła do niego.

* Niektóre wagony brytyjskich kolei mają wejścia bezpośrednio z peronu do przedziałów (przyp. tłum.)

* Women's Institute - organizacja założona w 1897 r. w Kanadzie, a od 1915 r. działająca w Wielkiej Brytanii, szkoląca kobiety z terenów wiejskich w zakresie działalności rzemieślniczej, artystycznej i kulturalnej. Obecnie rozpowszechniona niemal na całym świecie (przyp. tłum.)

* Distinguished Flying Cross - odznaczenie przyznawane szczególnie zasłużonym oficerom lotnictwa (przyp. tłum.).

* Women's Auxiliary Air Force (Service) - Kobięca Służba Pomocnicza Lotnictwa.

* Brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych (przyp. tłum.)

* Dawne złote monety jednofuntowe (przyp. tłum.).